

# Wrażenia z podróży





MARIA KONOPNICKA

# Wrażenia z podróży

## I. ISCHL

I.

*Wezwanie do drogi — Parasole — Domki i żaluzje — Dzieci — Gdzie szczęście? — Podstawa i szczyt górala — Miejsca w kościółku — Fajki codzienne i świąteczne — Kobiety — Cmentarz.*

Jeżeli kochasz przyrodę i chcesz wypatrzeć jej tajemnicze piękności, i posłyszec jej gwary a szumy<sup>1</sup>, i uczuc jej pieszczotę pełną świeżości i siły — weź odzież wędrowca, kij w rękę i pójdź ze mną w góry.

Prócz kija — weź także parasol.

Jest on tu sprzętem niezbędnym. Można nie mieć całych butów, rozumu, paszportu, rodziny; można nie mieć przyjaciół, humoru, kredytu, dachu nad głową ni centa w kieszeni; można nie mieć — nawet — nadziei; ale parasol mieć trzeba.

Ile głów w domu, ile łyżek u misy — tyle parasoli musi kupować nieszczęsny patriarcha rodu; zdaje się nawet, że bywają parasole zapasowe, czekające na pomnożenie błogosławieństwa Bożego.

Widziałam tu ludzi, którzy nosili pod pachą dwa, trzy parasole: byli to prawdopodobnie biedni samotnicy, których wszystko w życiu odbiegło, zostawując<sup>2</sup> tylko wspomnienia; widziałam młode pary tulące głowy — pełne marzeń i uśmiechów — pod jeden szczęśliwy parasol, podczas gdy drugi miał smutny przywilej przeszkadzania dłoniom w uścisku; widziałam starców, którym parasol służył lepiej niż własne, wlokące się bezwładnie nogi; widziałam dzieci harujące konno na parasolach podczas ulewnego deszczu; ale nie widziałam ani jednej tak upośledzonej od losu istoty, która by parasola nie miała.

Z parasolem pod pachą wybiera się strzelec w góry; z parasolem chłop drzewo znosi; z parasolem idzie młoda dziewczyna obok pięknego górala, który, uśmiechając się do niej, pokazuje białe zęby i niesie — także parasol.

Są parasole czerwone, niebieskie, zielone, czarne, szare, w kraty i gładkie; są parasole poważne, roztrzepane, melancholiczne, podupadłe, parasole wielkich nadziei, dyplomatyczne, gospodarskie, rodzinne, cyniczne, filuterne<sup>3</sup>; są parasole wyzywające, filozoficzne, parasole, które nie mają nic do stracenia, ale zawsze — są.

Mniemam nawet, że mają one swoją charakterystykę odrębną, której udzielają piastującym je osobom — i niezmiernie żałuję, że czas nie pozwolił mi zbadać wyłącznie tego ciekawego przedmiotu.

Idziemy tedy<sup>4</sup> w góry.

Po drodze spotykamy domki białe, świeżuchne, nęcące zielonością winogradów, rozpiętych po ścianach; stojące bez linii, tu, tam i jeszcze ówdzie; patrzące okienkami, jak Bóg dał: to na wschód, to na zachód, to zgoła na wszystkie cztery strony świata.

<sup>1</sup>*gwary a szumy* (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: gwary i szumy. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*zostawować* (daw.) — zostawiać. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*filuterny* — figlarny. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*tedy* (daw.) — zatem. [przypis edytorski]

Kokieteryę okienek tych stanowią żaluzje i kwiaty. Żaluzje cieszą się prawie tak szerokim uznaniem jak parasole.

Na drodze do Kaltenbach widziałam w kapliczce przydrożnej obrazek, na którym św. Józef, zajęty ciesielską robotą, dopasowywa<sup>5</sup> zielone żaluzje do okienka w Nazarecie. Żaluzje — to reguła, od której, na pociechę wszystkich trzecioklasistów, nie ma żadnego wyjątku.

Od willi cesarskiej aż do chaty drwala, zgubionej w głuchym lesie, widzimy je wszędzie i zawsze.

Po żaluzjach — kwiaty. Kwiaty są wszędzie, gdzie są kobiety.

Nie ma tak ubogiego domku, gdzie by choć parę doniczek jaskrawego kwiecica nie stało za czystą szybką lub na deseczce przybitej zewnątrz do ściany. Szczególniej pelargonie, pełne, duże, w różnych odcieniach, hodowane są z zamilowaniem.

Tyle o oknach. Co do samych domków, to kokieteryę ich stanowi snycerszczyzna<sup>6</sup>.

Architektura tutejsza, fantastyczna, kapryśna, pozwalająca mieszkaniom ludzkim być prawie altanami, prawie gniazdami ptasimi, improwizująca dachy wygięte, podlatujące w górę, uprawniająca szczyty i przystawki niemożliwe, rzucająca przejrzyste ganki na słupy, słupki i podpórki przeróżne, architektura ta daje gustowi do snycerszczyzny rozległe zastosowanie.

Lada gzyms, lada okap, lada deszczułka, dzierga się tu w zęby, w palmy, w arabeski dziwne i obrzuca ciętą w drzewie koronką.

Nie jest to klasyczne — zapewne — ale jest bardzo wdzięczne.

Przed każdym domkiem — kundys<sup>7</sup>, ogródek i dzieci.

O kundysie nie mam nic do powiedzenia. Jest to stworzenie Boże, które nie ma najmniejszego pojęcia o etnologii lub politycznych ustrojach — i zupełnie tak samo szczeka tu, jak kędys<sup>8</sup> na Mazowszu, pod Maćkowym płotem.

Ogródki utrzymywane wszędzie z wielkim staraniem. Obok głów kapuścianych, tak wielkich, że można by je nazwać głowami parlamentarnymi, obok dorodnych ćwikłowych buraków, widzieć tu można nieraz piękną herbacianą różę, na wysoko puszczonej łodydze rozkwitła i widocznie zażenowaną sąsiedztwem warzywa; co do goździków, astrów, ostróżek i innego liberalnego kwiecica, to brat za brat<sup>9</sup> rosną one obok marchwi i cebuli, nic sobie nie robiąc z przesądów kastowych.

Dzieci — mnóstwo.

Nie wiem, czemu się to dzieje, ale wszędzie w górach niezmiernie wiele jest dzieci.

Małe, maleńkie, jeszcze mniejsze, biega to, trzepie się, harcuje, po płotach się wiesza a śmieje się, a szumi, a szczebiocze<sup>10</sup> jako stado szpaków.

Takich posepnych, odętych<sup>11</sup>, ciężkich w sobie dzieci, takich dzieci bałwanowatych, całymi dniami bezmyślnie na piasku lub nad kałużą siedzących, na jakie z bólem po wioskach naszych patrzyłam, tu nie ma wcale.

Nie widać też owych śniadych, wychudzonych, w tył przegiętych dziewczątek, które zmuszone są piastować mało co mniejszego od nich samych Jaśka, ani tych zziąjanych, obdartych pastuszków, co to na bosaka po ściernisku uganiają się za jałowizną, gęśmi albo trzodą chlewną i zalewając się gorzkimi łzami, klną, jako słyszą u starszych: „A bodajżeś! A żeby was!”.

Tego nie widać i nie słychać tutaj.

Tu ludzie pozwalają, mogą pozwolić, dzieciom być dziećmi.

Nic więc dziwnego, że każda zagroda rozlega się weselem i pustotą tego drobiazgu; nic dziwnego, że żadne z tych chłopiąt nie patrzy na ciebie spode łba i nie ucieka za węgiel; biorą one swój dział swobody w życiu i rozwijają się normalnie, nieprzysłone przedwczesnym jego ciężarem. Z dzieci tych wyrastają z czasem piękni, o gibkich ruchach mężczyźni i mniej wprawdzie piękne, ale z jakąś pogodą w twarzy chodzące, kobiety.

<sup>5</sup>dopasowywa — dziś: dopasowuje. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>snycerszczyzna (daw.) — snycerstwo, sztuka rzeźbienia w drewnie. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>kundys (daw.) — pies pasterski lub gospodarski. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>kędys (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>brat za brat — dziś raczej: za pan brat. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wiesza a śmieje się, a szumi, a szczebiocze (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: wiesza i śmieje się, i szumi, i szczebiocze. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>odęty (daw.) — nadąsany, bez humoru. [przypis edytorski]

Może się to komu wyda śmiesznym z mojej strony, ale przyznać się muszę, że miałam nieraz serdeczną ochotę zagarnąć kupkę takich rumianych, czystych, bystrych dzieciaków, tak jak to się w fartuch kurczęta zagarnia, dać im w piersi polskie serce, w usta polskie słowo i wysypać kupkę taką w którejś z naszych wiosek — ot na pokaz po prostu.

Ale po roku, po dwu nie chciałabym ich widzieć!

Zdawałoby się, że tam, gdzie jest taki domek, taki ogródek i takie dzieci — że już o kundysie nie wspomnę — to już chyba i szczęście, i spokój być musi; że ludzie, mieszkający w białych tych i zielonych gniazdach, kochać się muszą bardzo, bardzo!

— Różnie tu bywa — rzekł mi nieznajomy góral, którego zagadnęłam o to. — Co do mnie, było tak: kiedyś jednego lata sam skosił łąkę i ustożył<sup>12</sup> siano, dał mi ojciec starą swoją fajkę i rzekł: „Czas ci, chłopcze, żony poszukać”. I wydobył ojciec nową porcelankę i zapalił ją, zapaliłem i ja, i poszliśmy do Weissenbachu, gdzie podówczas najwięcej było dziewcząt na wydaniu.

Idziemy przez wieś; dziewczęta w okienkach siedzą, w proggu stoją, a wdzięczą się a śmieją, i ja się śmieję, i patrzę na nie — aż fajka wypadła mi z zębów, a ojciec precz idzie, na dziewczęta ani spojrzy, jeno po oborach pogląda<sup>13</sup>.

Aż dopiero pod koniec wsi jakoś zatrzymał się ojciec przed niepozornym domostwem, a wskazując palcem ogromną kupę nawozu, z której kurzyło się jak z pieca: „*Hier wirst du heiraten*”<sup>14</sup> — rzekł mi uroczystym głosem.

— I cóż? — zapytałam ciekawie.

— A cóż! Ożeniłem się, dostałem bydła sztuk sześć, nie licząc żony.

— I jesteście szczęśliwi?

— Ha! Lasem wicher tłucze, a człowiekiem dola; a ile gór widać na lewo i na prawo, każda ma czas swój taki, że we mgłach stoi.

Umilkł, poszedł dalej z głową schyloną, stukając po kamienistej ścieżce drewnianą podeszwą grubych swoich, podkutych dokoła trzewików.

Trzewiki takie, tkwiące na długich, zielonych pończochach, stanowią podstawę górala, podstawę — o ile sądzić mi wolno — daleko pewniejszą od tej, na jakiej wspierają się niektóre systemata<sup>15</sup> filozoficzne, niektóre potęgi i niektóre — nadzieje.

Szczyt górala stanowi — kapelusz.

Jest to ów znany od czasów Tella<sup>16</sup>, pełny fantazji kapelusz, opięty zieloną taśmą jak Kateberg świerkami; kapelusz bujny, z zatkniętym z tyłu kwiatkiem albo pawim piórkiem, co to od niego wicherzą się w głowach marzenia swobody i nieograniczonego prawa postawienia stopy tam, gdzie człowiek wdrzeć się potrafi.

Kapelusze takie i takie głowy widziano nieraz na wysokich szczytach.

Kiedy kapelusz taki pojawi się w górach, biada kozicom, gdzie między kosodrzewiną błysnie jego pawie oczko! Ono sprzymierza się na ich zgubę z przenikliwym spojrzeniem strzelca; iskrzy się, obraca i mruży w słońcu jak żywa żrenica, i rzuca urok przerażenia na smukłą giemzę, co wbiwszy wszystkie cztery nogi w kamień nad przepaścią wiszący, wymierza wielkim, drżącym okiem skok swój śmiertelny.

Takie pawie piórko nosił niegdyś u kapelusza ów sławny Alois Gemsjäger, którego nazwisko wyczytałam na małej miedzianej tabliczce, przybitej u bocznej ławki, po prawej stronie od wejścia, w katolickim kościółku w Ischlu. Tabliczki takie, numerowane (naliczyłam ich w kościółku siedemset), oznaczają miejsca tych wszystkich szczęśliwych ludzi, którzy za tyle a tyle talarów mają prawo klęknąć lub usiąść w danej ławce i modlić się w swoim odświętnym, zielonym spencerze<sup>17</sup> na czarnej, zatłuszczonej książce. A po śmierci — bo i ci szczęśliwcy, pomimo przywileju swego, umierać muszą — mają prawo miejsce takie przekazać synom i wnukom. Tym sposobem przywilej nieśmiertelnym się staje.

Ale wróćmy do ubioru mężczyzn.

Integralną jego część stanowi fajka.

<sup>12</sup>ustożyć — ułożyć w stogi. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>poglądać — dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Hier wirst du heiraten* (niem.) — Tutaj się ożenisz. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>systemata (daw.) — Im od rzeczownika systemat; dziś: systemy. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Wilhelm Tell* — legendarny szwajcarski bohater narodowy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

Fajka, jak spencer, inna bywa na dzień powszedni, a inna na święto.

Nie znam potulniejszego stworzenia nad fajkę codzienną górala. Sama się prawie trzyma zębów jego krótkim, wiśniowym cybuszkiem; pozwala właścicielowi swemu pracować, płuć, pozdrawiać przechodniów, uśmiechać się do dziewcząt, odpowiadać na pytania cudzoziemców, kłąć nawet; słowem, ignorować się zupełnie i jakkolwiek długo nie zasilana żadnym świeżym podmuchem, zawsze przecież znajdzie w swoim wnętrzu jakąś iskierkę, rozżarzającą podejrzany tytoń z narożnego „trafiku”. Niedzielny poranek za to jest prawdziwą wystawą fajek „od parady”.

Począwszy od owej drobnej, zręcznej, kokietującej przechodniów malowanym kwiatkiem, z której młody elegant w otwartym na piersiach spencerze siny dymek puszcza, aż do owej wielkiej, ciężkiej fajki, którą, sapiąc i spluwając w rzekę, pali — o poręcz mostu oparty — tłusty młynarz z Weissenbachu; ileż w nich jest odcieniów<sup>18</sup> pretensji, zalotności i pychy!

Fajka nabijana srebrnymi ćwieczkami ma się koniecznie za coś lepszego od tej, którą okręciono prostym, tombakowym łańcuszkiem.

Ale i jej życie nie jest bez goryczy!

Oto na potężnych piersiach rymarza z Schornstrasse kołysze się pyszna, niesłychanej wielkości fajka, z imponującym napisem: „*Der Kaiser lebe hoch!*”<sup>19</sup> i z zielonym, jedwabnym kutasem<sup>20</sup>. Oto się wzdyma, iskrzy i roztacza zwycięskie kłęby dymu. Wszystkie oczy ku niej się zwracają. Nie ma co! Przegrana!

Mniej zalotności od mężczyzn i fajek mają tutejsze kobiety. Sztywne i ciche, chodzą one w swoich krochmalnych spódnicach i niebieskich fartuchach, pełne rumieńców tłumionych, póki młode, pełne powagi w zoranych<sup>21</sup> twarzach, gdy stare.

Życie tu, jak górskie potoki, zostawia na drogach swoich głębokie ślady. Może jest ono namiętniejszym, burzliwszym niż gdzie indziej, może cięższą stopą niżli po dolinach chodzi: nie wiem, ale nigdzie nie widziałam twarzy tak głęboko rzeźbionych, o rysunku tak wydatnym — zwłaszcza u starych kobiet — o skórze tak wyschłej, tak grubymi szwami ściągniętej, o tak zapadłych i zgasłych źrenicach.

Od gór rodzinnych, szczytami w chmurach i we mgłach stojących, nauczyły się tu kobiety owijać głowę czarną, jedwabną chustą.

Cień, jaki chustka taka rzuca na jasne dziewcząt warkocze, jest niezrównanego malarzkiego efektu. Starym prababkom niemniej w niej pięknie.

Niby troska jakaś dawna owija ona te głowy drżące, tak długo bite nawałnicą życia, i zmierzchem grobu rzuca się na te zorane czoła. Głowy takie, dobrej rady nieraz pełne, umieją zajaśnieć w sobie słonecznie uśmiechami drobnych prawnuków i bywają błogosławieństwem chaty przez długie nieraz pokolenia, a zaś kładą się ciche na onym cmentarzu, co na piersiach góry leży, utulony ciszą samotną.

Kiedy pierwszy raz cmentarz ten ujrzałam, stanął mi on w oczach jako „ziemia krzyżów”<sup>22</sup>.

Nie ma tam bowiem ani jednego drzewa, ani krzaka nawet, tylko las czarnych, żelaznych krzyżów, a pod nimi groby.

Na każdym z krzyżów takich świecił w lunach zachodu Chrystus.

Na czole cmentarnego muru pełen ufności napis, z którego zapamiętałam wiersz pierwszy:

*Dein sind wir, Vater, im Leben und im Tode...*<sup>23</sup>

Poza lasem krzyżów, osłaniających mogiły biedaków, pod murem, dokoła grobowce wielkich tego świata. Marmur i kwiaty są czarodziejstwem tego miejsca. Pomiędzy tymi to grobami spotkałam jeden, który mnie długo przy sobie zatrzymał.

Był to grób Polki. Na szczycie swoim nosił herby dwu szlacheckich rodzin, a pod nimi taki napis: „Tu spoczywa Józia B...ska z Ukrainy, zmarła w 1871. Żyła lat 14”.

<sup>18</sup>odcieniów (daw.) — dawna forma dopełniacza 1m rzeczownika odcień, dziś: odcieni. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Der Kaiser lebe hoch!* (niem.) — Niech żyje Cesarz! [przypis edytorski]

<sup>20</sup>kutas (daw.) — pompon, frędzel. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zorany (daw.) — zaorany, zmęczony pracą. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>krzyżów (daw.) — dawna forma dopełniacza 1m rzeczownika krzyż, dziś: krzyży. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Dein sind wir, Vater, im Leben und im Tode...* (niem.) — Jesteśmy twój, ojczy, w życiu i po śmierci... [przypis edytorski]

Biedne ty dziecię! Zamiast wieńca róż białych, rzucono ci na głowę — godło próżności  
W rogu cmentarza był grób opuszczony, smętny nędzarz, nad którym żaden krzyż nie  
wyciągał czarnych ramion swoich. Na grobie tym położyłam bukiet polnych kwiatów, po  
drodze zebrany, i wyszłam cicho z wrót onych cmentarnych, a za mną wyszła drżąca smuga  
światła i nie pozostał tam nikt, co by podziwiał marmury i herby.

2.

*Przywileje wielkich gościńców — Drogi ducha — Dolinka węzowa — Moja ścieżynka —  
Muchy leśne — Jodler — Rettenbach — Wildniss.*

Kiedy po raz pierwszy zostawiłam za sobą kapryśne domków szeregi, ogródki i... ludzi,  
biała ścieżyna wybiegła przede mną i podjęła się być przewodnikiem moim.

Nie posiadała ona drogowskazów, co to zapytane o coś odpowiadają ci półgębkiem,  
a zaledwie odwrócisz się od nich, wytykają cię drewnianymi palcami jako niedołęgę, co  
u pierwszego lepszego, z gruba ciosanego pniaka rozumu po drodze pożyczą.

Nie pędzono po niej nigdy ani bydła, ani rekruta; żaden garncarz nie rozsypał tu skorup  
swojej nadziei, żaden panicz nie pędził tędy w konkury<sup>24</sup> czwórka<sup>25</sup> za długi zajęta;  
żadna zapracowana szkapia nie padła tu pod ciężarem nad siły, z okiem zagasłym, mdlejącym;  
żaden wóz skrzypiący, z czterech desek zбитy, nie wywoził tędy trumny nędzarza;  
żaden nawet pajac nie prowadził nią uczonej małpy, wyracając po drodze koziołki.

Tak, przynaję, nędzną była moja ścieżyna, pozbawioną wszelkich szans oglądania  
kiedykolwiek powyższych wielkich zjawisk życiowych.

Bo przypuściwszy nawet, co zresztą mało jest prawdopodobnym, że zostanie ona kiedyś  
jednym z głównych gościńców, będzie to chyba w tym roku zbawienia pańskiego,  
kiedy myszy zjedzą przywileje i patenta<sup>26</sup>, a światło będzie jedynym drogowskazem ludzi.

Tymczasem jednak jest ona tak wąską i skromną, iż przekonana jestem najmocniej,  
jako żadne ministerium komunikacji lądowych i wodnych nic nie wie o jej istnieniu.

Taką to ścieżką cichą i nieznaną chodzi duch, tchnąc życiem i światłem.

Stróże wielkich gościńców, którzy, pilnując porządku, strzegą, aby nie wyrósł na nich  
kwiat polny; celniki<sup>27</sup>, co stojąc po skrajach, biorą grosz celny od przelatującego motyla  
— ze zdumieniem kiedyś spostrzegą wśród miast i wiosek cichego tego pielgrzyma i pytać  
się będą, kędy<sup>28</sup> by przeszedł.

I posypią się raporty; pióra po kancelariach skrzypieć będą od pisania nagan i dymisji;  
spodziewane awanse i gratyfikacje przypadną, jak żyto na pniu gradem zбите, a biedny  
motyl dwa grosze celne zamiast jednego płacić odtąd będzie zmuszony.

A duch?

On pójdzie cichy i jasny — jak przyszedł — a wionie, kędy będzie chciał.

Ale wróćmy do mojej ścieżyny.

Wąska, lekko skręcona, nierówna, stopą górala zaimprovizowana naprędcę, nosiła ona  
na żwirach swoich błyszczących ślady wszystkich ćwieków jego drewnianych podeszew;  
przecież szła krokiem tak lekkim, z taką swobodą zwracała się to w lewo, to w prawo, tak  
gibko wstępowała na faliste wzgórze, tak chyżo zbiegała na dół, że ani mi w myśli powstało  
pytać ją o patent jakiś.

Ostatecznie, ślad drewnianej podeszwy jest także śladem cywilizacji.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, przechodził tędy człowiek, który nie miał  
może ani konia, ani woza<sup>29</sup>, ani osła, ale niezawodnie miał parasol. Miał może przy tym  
piosenkę na ustach, jak się to często zdarza tym, co nie mają ani konia, ani osła.

Zrazu wszystko poszło dobrze.

<sup>24</sup>*pędzić* (...) w konkury (daw.) — zalecać się, zabiegać o rękę. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*czwórka* — tu: zaprzęg składający się z czterech koni. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*patenta* (daw.) — dawna lm od rzeczownika patent, oznaczającego dokument uprawniający do prowadzenia handlu; dziś: patenty. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*celniki* (daw.) — dawna forma mianownika lm rzeczownika „celnik”, dziś: „celnicy”. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*kędy* (daw., gw.) — którędy. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*woza* — dawna forma dopełniacza lp rzeczownika wóz, dziś: wozu. [przypis edytorski]

Ścieżka moja zawiodła mnie w łąki, pełne kwiecica i porannych woni. Błękitne puchy dzikiej cykorii, modre ostróżki, wielkie, białe rumianki przetykały ciemną zieleń traw w barwiste wzory.

Łąka była w pas, a powiewy poranne szły po niej jak fala morzem. Ciężkie, okrągłe rosy drżały na brzegach traw. Za łąką ścieżka moja zaczęła bałamucić z rozkwitłymi biało targańcami, które to z lewej, to z prawej strony zabiegały jej drogę, pełne trzepotów ptasich i brzęku owadów.

Robiło się gorąco; śpieszyłam do cienia i chłodu.

Wkrótce łąka została daleko, a zaszedłszy cała natężonym światłem, dzwoniła ku mnie piosenką świerszczów polnych i liliowych dzwonek hejnałem. Naraz przejrzyste cienie padły mi pod nogi.

Weszłam w piękny las liściasty, między ogromne klony, wiązy i graby, w których delikatnej zieleni słońce drżało, jakby w sieć szmaragdową złowione.

Po gałęziach gwizdały kosy.

Cała moja ścieżyna zaszła biegającymi po niej ziarnami światła i mieniła się przede mną jak przepaska złotem tkana.

Na lewo, stromą ścianą porosłą w wilcze łyka i dzikie płatańce, opadał las w wąwóz zrazu, potem w dolinę, pięknie rozjaśnioną w sobie, wodnym ku błękitowi oddechem. U spodu jaru grały niewidzialne strumienie, a wilgotne ich opary chłodem były ku mnie. To Schlangenthal. Dolinka ta używa złej sławy. Powiadają ludzie, jako tu w gorące południa słyhać podejrzone sykania i nader dwuznaczne szmery. Prawdopodobnie jest to zapomniany w lesie kocioł czarownic, w którym pełzają sprośne<sup>30</sup> ropuchy i węże.

Brzegiem jaru bujały pierzaste paprocie i modre naparstnice, na giętkich prątkach ciężące pięknym swym kwiecikiem; spodem słały się mchy gęste, wilgotne, kształtów dziwacznych, subtelnych, a obfitości niezmiernej.

Jedne z nich, misternie utkane jakoby z włókienek jedwabiu, rozciągały szeroko zielone swoje makaty; drugie, rozdmuchnięte w piórka a strzępki, stały po mokradłach i dołkach całe w rosach jeszcze; inne porębionymi blaszkami przylgnęły do pniów drzewnych i rozrzuconych kamieni; były i takie, co wyglądały jako czarodziejskie serwisy, ustawione umyślnie dla boginek leśnych, z pucharków srebrnych, z drobnych czareczek wydłużonych misternie, z rozków wykręconych jak trąbki, na których złote chrząszcze i świetliki grają całą kapelą podczas świętojańskiej nocy.

Kiedy tak idąc z pochyloną głową, przypatruję się dziwnym onym zastawom a gobelinom, ścieżyna moja, rzuciwszy łagodny cień klonów, wbiegła pomiędzy olbrzymie odłamy skał, strącone niegdyś skrzydłem przelatującej burzy z niedalekiego Brachberga.

Padły i legły jako zwyciężone tytany; jedno z nich czołem zaryły się w ziemię głęboko; inne, na wznak powalone, strzaskanym cielskiem swoim zasypały całe kolonie drobnych, leśnych krzewów, próbujących nieśmiało obejść te martwe bryły i młodymi wypustkami odetchnąć ku słońcu.

Błądząc po smętnym owym cmentarzysku, naraz posłyszałam przenikliwą nutę tyrolskiego „jodlera”<sup>31</sup>. Przede mną szedł drwal z siekierą w ręku, z brzemieniem drew na plecach, a idąc — śpiewał.

Odzież jego stanowiła podłużna, siwa dera<sup>32</sup>, z otworem pośrodku, do przetknięcia głowy służącym, z bokami opadającymi jak ornat na piersi i plecy górala.

Przy takim odzieniu ramiona pozostają odkryte, a jeśli przy pracy nisko pochylać się trzeba, to cała dera robi lewo w tył i wtedy boki jej wiszą ponad ramionami. Wypadkowo tylko widziałam odzież tę w pogodę; zwykle bowiem używają jej górale w czasie deszczu i szarugi, dla zaoszczędzenia zielonych spencerów.

Za drwalem biegł chłopiec, pięć lub sześć lat mieć mogący, i ciągnął za sobą grubą gałąź z liściem zeschniętym. „Jodler” służył zapewne do ułatwienia drogi malcowi; bo lubo<sup>33</sup> srodze rozczzerwieniony i zziąjany, biegł przeciw za głosem ojca i zdobyczy swojej

<sup>30</sup>sprośny (daw.) — okropny, plugawy; nieobyczajny. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>jodler — rodzaj śpiewu z częstymi zmianami skokowymi między rejestrami, charakterystyczny dla muzyki ludowej Tyrolu. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>dera a. derka — gruby, najczęściej wełniany koc, używany do przykrycia konia. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

nie puszczał. Minęli mnie, mając się<sup>34</sup> ku górze; ścieżka też moja dźwignęła się i w las poszła.

Las to był ciemny, iglasty, bez tchu stojący.

Uśmiechy dnia i słońca zostały poza nim daleko.

Chłodem wiało i strachem z tej gęstwy ciemnej, w którą zwarły się rozwichrzone jodły i świerki posepne.

Ogromne, gołopiennie<sup>35</sup> sośnice, z zielonymi wiechami u czubów, szły z niej w niebo jak maszty i wieże, a pnie potworne, brodate, z posad dawno ruszone, sterczały w górę bezładną płataniną trupich korzeni, odkrywając w wywrocie onym swoim tajemnicze żuźle wygaszonego żywota.

Inne, tkwiące jeszcze po dawnych gniazdach swoich a sadybach, obywatele bezgłowe i smętne<sup>36</sup>, stały z piersią wypróchniałą i pełną wód dżdżowych jako łzawnice prastare, oplakujące jakąś nieznaną nam wiosnę. Wkoło nich wiły się i próbowały żyć wypustki chorobliwe, zdrobniałe, zarażone ojców niemocą. Na jednym z pniów takich przysiadła pliszka świergotka i piła lzy z jego piersi, szczebiocząc coś wesoło i przechylając ku światłu drobną swoją główkę.

Nagle usłyszałam ogromny huk wody.

Na huk ten a szum idąc prosto, zaszłam pomiędzy zręby skał, to zwałonych jedne na drugie, to ciśniętych w niebo jak z procy, których głębokim rozstępem przelatywał strumień spieniony. To Rettenbach.

Własne jego wody nie napoiłyby może nawet tych bluszczów leśnych i mchów, i paproci, co się tu wieszają po skałach, ani tych jeleni, co przybiegają tu rankiem, grzmiąc kopytami po kamienistych jarach i otrząsając poranne rosy, drżące na młodocianych krzewach.

Umie on jednak poradzić sobie. Nie pytając drogi, prosto z miejsca rzuca się na leń na szyję w otchłań skalną, unosząc z sobą wszystkie górskie wody, jakie w tym skoku spotyka.

Otrząsnąwszy się potem jak koń splawiony, potężnymi bryzgami piany, z nabytym pędem pierwszej tej swojej szalonej imprezy<sup>37</sup>, puszcza się dalej na szumne loty po strąconych głazach, tak wielkich jak przewrócone kościoły, przelewa się przez cysterny wyżłobione kroplą jakąś, spadającą w długim wieków szeregu; po wypłukanych w skałe niszach, framugach i arkadach, rzuca piany swoje i gniewy, aż przewaliwszy się całym tabunem fal swoich przez ławice w poprzek łożyska spiętrzone, pluszcze i szumi, i huczy, szukając ujść wolniejszych i mniej szalonych spadków.

A skały niosą w dal echa jakieś i skargi, a las stoi cichy, posepny, chłodny i słucha, słucha...

Takim przedstawił mi się Rettenbach w wezbraniu wód swoich, kiedy kipiąc i wstrząsając wątlą kładką, na której stałam, przelatywał pod stopami moimi, rzucając mi w twarz srebrne pyły odrugów<sup>38</sup> swoich szklanych.

Miejsce to, nasuwające na myśl *Selva Selvagia*<sup>39</sup>, nosi nazwę Rettenbach-Wildniss, a ciszą lasu swojego i zmierzchem, nieruchomością skał, chłostanych wodami tymi, mówi wędrowcowi rzeczy dziwnie mocne i rzeczy tajemnic pełne.

Jeżeli nosisz w piersi ból jaki i tęsknicę, które na łańcuch brać musisz i smagać co dnia, aby nie krzyczały głosem<sup>40</sup>, jeżeli życie postawiło na drodze twojej porohy<sup>41</sup> nie do przebycia, jeśliś na widok mądrych urządzeń najlepszego z światów uczuwał chętkę rozbicia muru własną swoją głową — tu przyjdź i patrz, i słuchaj, i płacz... jeśli możesz.

3.

<sup>34</sup>mając się ku górze — kierując się ku górze. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>gołopienny — tu: z gołym, nagim pniem. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>obywatele bezgłowe i smętne — dziś: obywatele bezgłowi i smętni. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>impreza (daw.) — widowisko a. przedsięwzięcie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>odrugi (daw.) — odpryski. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>selva selvagia (wł.) — dziki las; wyrażenie użyte w początkowych wersach *Boskiej Komedi* Dantego. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>krzyzczyć głosem — krzyzczyć w głos. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>porohy — tu: zapory; pierwotnie: naturalne progi na rzecce. [przypis edytorski]



*W świecie i poza światem — Laufen, nieśmiertelni jego — Dwie drogi — Bauernfeld — Na co patrzą tummy — Kapliczki i ich naiwność — Oko Opatrzności — Der schöne Ernst — Kelner demokrata — Laendler — Złoty hełm — Po balu — Sterzens Abendsitze — Alpejska zorza — Brak pieśni — Echo po rosie.*

Ranki przepędzać można w Ischl w dwojaki sposób: albo w świecie, albo poza światem.

Chcąc je przepędzać w świecie, trzeba się kręcić po esplanadzie<sup>42</sup>, potrącając Greków, Anglików, Węgrów, Rumunów i inne nacje; trzeba obdzielać ukłonami to pana Parysa Lambrenidę, to panią Poliksenę Romanesku, to pana barona Napeso, to pannę Penelopę Ramleh; trzeba mieć wreszcie niewyczerpany zapas: czasu do stracenia, miłych uśmiechów i... świeżych rękawiczek.

Żyjąc poza światem, dość jest wstać rano, jako ptak strząsnąć pióra i iść, gdzie oczy poniosą.

Ot, choćby do Laufen.

Laufen to górską miejscina, garść domków białych, rzuconych na lewy brzeg Trauny, o których świat mógłby nie wiedzieć zgoła, bez wielkiej dla siebie straty.

Religijno-artystyczne aspiracje swoje manifestuje Laufen przez ścienne malowidła na zewnętrznych murach domków schludnych, największą zaś jego paradą jest szpital imienia cesarzowej.

Bardzo smutna parada — przyznaję.

Przed tym szpitalem, na drewnianym zydłu, siedzi stary inwalid<sup>43</sup>, żołnierz o drewnianej nodze, sam prosty, suchy, też jakoby drewniany, i zbiera ofiary dla chorych. Głowa jego tak martwa i sztywno wzniesiona, twarz tak nieruchoma, źrenice takie zagasłe, że na pierwsze wejrzenie wydał mi się częścią jakiegoś pyłem przysutego<sup>44</sup> ornamentu; dopiero kiedy przemówił, poznałam, że żyw jest.

Lecz jeśli chorować tu można, trudno niezmiernie jest umrzeć. Na drodze do Laufen widziałam stare kobiety, na wióry zeschnięte, których usta zapadłe poruszać się już nie mogły i były jako dzioby papug długowiecznych, a zwiędłe i zmarszczone ciała przedstawiały posępną ruinę dawnej okazałości.

Skulone i żółte, siedziały staruszki owe nad drogą, jakby zapomniane przez czas tędy lecący, a gdym przechodziła koło nich, klaskały z cicha w dłonie, co miało oznaczać, że o jałmużnę proszą.

Jedna z nich próbowała się uśmiechnąć, ale zatrzęsła tylko zeschlą głową swoją i podniosła na mnie osowiałe oczy, w głębokich dołach stojące, pełne jakichś łez czerwonych. Straszna była w swojej nieśmiertelnej nędzy.

A jednak kiedyś przecie ludzie i tu umierają, widziałam bowiem cmentarz. Cichy, słońcem rozjaśniony do ostatniej trawki, leżał na zboczu góry, pełen krzyżów czarnych. Wprawdzie najmłodszy z nieboszczyków, *Herr Johann Trax*<sup>45</sup>, młynarz z Laufen, miał zaledwie 75 lat wieku, ale zaręczam, że dożyłby stu siedmiu, gdyby nie młyn niepocziwy, co go kiedyś jak brytan zębami chwycił i poturbował śmiertelnie. Na cmentarzu tym samotnym, rzuconym pod las świerkowy, każdy szanujący się nieboszczyk musi mieć położony na grobie niezbędny do imienia dodatek: *Herr, Frau*<sup>46</sup> albo *Fräulein*<sup>47</sup>, wraz z wypisaną godnością, jaką za życia piastował on sam albo ktokolwiek z rodziny jego. Oto grób Katarzyny Schmalnauer, siostry burmistrza; oto drugi: Ernesta Kogła, stryja organisty. O biedna Józio! Przebaczam ci herby twoje!

Dwie drogi prowadzą do Laufen; jedna spokojna, wygodna, mieszczańsko-bezpieczna, przez park, przez łąki i przyłaski świeże; druga na taras górski rzucona, po jarach się niesie, cała w rosach i w woni fiołków alpejskich, i przebiega podskalne występy, wiszące

Żebrak, Żołnierz

Żebrak, Starość, Kobieta

<sup>42</sup>*esplanada* — promenada; służąca spacerom aleja, pierwotnie najczęściej niezabudowany pas przestrzeni przed fortyfikacjami, pomiędzy fortecą a miastem. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*inwalid* — dziś: inwalida. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*przysuty* (daw.) — przysypyany. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Herr Johann Trax* (niem.) — Pan Johann Trax. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*Frau* (niem.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*Fräulein* (niem.) — panna. [przypis edytorski]

nad nią, jakby runąć miały, i puszcza się na hazardy<sup>48</sup> takie, że ją od przepaści żerdzie tu i ówdzie strzec muszą.

Mówią, że po tej ścieżynie błąka się w zmierzchy letnie duch Franciszka Karola<sup>49</sup>, który tu za życia rad chodził; co do mnie jednak, nie widziałam go nigdy...

Za to spotkałam tu raz Bauernfelda<sup>50</sup>. Poeta szedł w głębokiej zadumie, zwiesiwszy głowę siwą, nie patrząc przed siebie. Było to w czasie zjazdu gości koronowanych, nazajutrz po przedstawieniu jego *Tagebuch*<sup>51</sup> w miejscowym teatrze.

Co się wtedy przed teatrem tym działo, trudno wypowiedzieć. Wąż miedziany Mojżesza nie zwracał na siebie tyłu pałających spojrzeń, co wielka markiza w żółte i czarne pasy nad wejściem do łoża cesarskiej. Szaleństwo jakieś ogarnęło wszystkich. Kto zobaczył dworski ogon dworskiego konia, śpiewał „jodlera” przez resztę wieczoru; a kto dojrzał kamazę dworskiego lokaja, kupował sobie butelkę „goldringu” i do rana już krzyczał: „*Der Kaiser lebe hoch!*”<sup>52</sup>

A ponad tą falą głów ludzkich, zwróconych ku szeregowi karet zamkniętych, podniosła się w majestacie swoim noc letnia i na głębokich błękitach położyła sierp srebrny, i zapaliła diadem gwiazd u czoła, lecz nikt nie patrzył na nią.

Nie miała karety ani lokaja.

Bauernfeld jest tu bardzo popularną postacią; ścieżki górskie przywykły do jego powolnych, wlokących się kroków, kapelusze góralskie uchylają się przed nim, ma on nawet gdzieś domek imienia swojego, z sosnowej kory cały, otwarty na wszystkie cztery wiatry, prawdziwy dom poety, gdzie mieszkają mchy leśne, wróble i pająki.

Poza tym domkiem stoi na prawo kapliczka przydrożna, jedna z tych, które tu lud stawia gęsto, a zdobi je niewybrednie.

Kiedym raz przechodziła tamtędy, człowiek jakiś, z krótką fajeczką w zębach i z parasolem pod pachą, wyniósł z kapliczki onej promieniste oko opatrności i zawiesił je na zewnętrznej ścianie, na wielkim, od długich deszczów zardzewiałym, gwoździu.

— Co to robicie? — zapytałam ciekawie.

— A nic; targ dzisiaj, do miasta mi trzeba.

Zrazu pojąć nie mogłam, co by to jedno miało do drugiego; w dalszej dopiero gawędzie wyjaśniła się rzecz cała. Poczciwiec ten był gajowym, a ilekroć ze stanowiska zejść mu wypadło, powierzał straż nad lasem owemu promienistemu oku opatrności, wywieszając je w tym celu na zewnątrz kapliczki.

Kapliczek takich i obrazków na drzewach przydrożnych widziałam mnóstwo i przedtem, i potem, a różniły się pomiędzy sobą tylko stopniem naiwności.

W Seigerbachalm jest chata, przed którą stary góral, okrakiem siedząc na ławie, struże łyżki drewniane i małe trepki lipowe; otóż obok tej chaty i tego warsztatu jest mały ołtarzyk polny; w obrazku Panna Maryja, w czarnej chusteczce ischlowskiej na głowie, przed obrazkiem słoik od musztardy, a w słoiku pawie piórko. I tyle.

W Rettenbach za to cały dramat odgrywa się na pięknej, drewnianej tablicy, przytwierdzonej do sosny, powyżej strumienia.

W niebie, pełnym zielonych świerków i lip rześstych, Święta Rodzina siedzi sobie spokojnie na ławie. Wtem hałas jakiś dolata<sup>53</sup> z ziemi. Staruszek Józef wychyla się poza obłoki, patrzy, aż tu w samym łożysku zatrzymanego szluzami potoku, na pół przywalony kłocami spławionego drzewa, leży Johann Bamberger, który przed trzema miesiącami wracając tędy nocą z Reitterndorfu, zabląkał się, wpadł w strumień i, naturalnie, utonął. Biedaczysko; nie miał nawet czasu krzyknąć: „Jezus, Maryja!” i dlatego też nic o całej tej katastrofie nie wiadano w niebie; aż dopiero czterech drwalów, znalazłszy go, narobiło krzyku i lamentu, co wszystko objaśnia stosowny napis, pochodzący z 1850 roku.

Ale nie skończyłabym chyba, gdyby mi podobne szczegóły wyliczać przyszło.

<sup>48</sup>hazard (daw.) — niebezpieczeństwo; *puszczać się na hazardy*: narażać się na niebezpieczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Franciszek Karol (1802–1878) — arcyksiążę austriacki. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Bauernfeld, Eduard von (1802–1890) — austriacki dramatopisarz, poeta, gawędziarz, satyryk. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Tagebuch (niem.) — dziennik; tu: komedia Eduarda von Bauernfelda *Das Tagebuch. Lustspiel in zwei Acten*, po raz pierwszy wystawiona w 1836 r. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Der Kaiser lebe hoch (niem.) — Niech żyje Cesarz! [przypis edytorski]

<sup>53</sup>dolata — dziś: dolatuje. [przypis edytorski]

Zresztą kto do Laufen zaszedł i wrócił stamtąd, czy łódką, czy pieszo, ma wszelkie prawo zjeść obiad i spocząć.

Żywicielem pięknego świata w Ischl jest pan Franz Koch, burmistrz miasta, właściciel hotelu Elisabeth i pryncypał „pięknego Ernesta”.

Piękny Ernest, *der schöne Ernst*<sup>54</sup>, jak go tu zowią, jest wysokim, majestatycznej postawy mężczyzną, z miną dyplomaty, z starannie wygoloną twarzą, z wejrzeniem tak byстрыm, że przez sukno odzieży gotów ci reńskie<sup>55</sup> policzyć w kieszeni. Pełen gracji, pomimo tuszy, chodzi krokiem lekkim, a cichym, i wielką swoją białą, mięsistą ręką z szybkością błyskawiczną rzuca ci resztę.

Masz tobie! Zdradziłam się; każdy teraz domyślić się gotów, iż bohater mój jest... oberkelnerem<sup>56</sup>. Kiedy się już rzecz wydała, możemy mówić otwarcie.

Jeśli ze zwróconej ci reszty zostawisz na stole 10 krajcarów<sup>57</sup>, *der schöne Ernst* nie powie ci nawet *danke*<sup>58</sup>, a nazajutrz kwadrans czekać będziesz, nim znajdzie czas porachować się z tobą. Jeśli zostawisz 20 krajcarów, usłyszysz *danke schön*<sup>59</sup> i czasu nie stracisz; jeśli w szczodropliwości swojej posuniesz się jeszcze dalej, piękny Ernest podziękuje ci po francusku i podniesie serwetę, jeśliś ją upuścił, dodając uśmiech całkiem już bezpłatnie.

Mężczyzn ogładzonych, mówiących cicho i przez binokle patrzących na damy, piękny Ernest znosi zaledwie; jadają oni zwykle mało, a piją tylko piwo.

Lecz jeśli się trafi jaki barbarzyńca brodaty, co nim usiądzie, dwóm sąsiadom krzesła potrafi i stół z miejsca ruszy, a wzięwszy kartę, pyta się głośno o nazwę potraw nieznanych sobie i dysponuje *entrée*<sup>60</sup> po pieczyстым, wtedy *der schöne* zajmuje się nim wyłącznie, zmienia mu talerze i szturcha małego chłopca od posługi, aby prędzej wino podawał.

Dla kobiet jest on pobłażliwszy. Wie on z doświadczenia, że to stworzenia ułomne, bez żadnej logiki kulinarnej, których apetytem rządzi zarówno fantazja, jak otoczenie, wie on, że wybierają one z karty to lub owo, na oślepie prawie, byle się prędzej dostać do jakiejś słodczy; a pobłażliwość swoją posuwa on względem nich do takiego stopnia, iż bywały wypadki, że osobie, która wprost po sztuce mięsa zażądała tortu poziomkowego, sam własną swoją pulchną ręką przyniósł i podał z uśmiechem.

Piękny Ernest jest typem kelnera arystokraty. Przydomek swój nosi z godnością i skromnie; jeśli ci czego odmawia, np. reszty wina pozostawionego wczoraj w butelce, czyni to z całą elegancją, „dla pryncypu<sup>61</sup>” tylko.

„Pryncyp” jest wszystkim u niego; idzie on zaraz po krajcarach w hierarchii uczuć jego wzniosłych i gorących.

Jeśli jednak komu chodzi o typ kelnera demokracji, to i taki się tu znajdzie. Jest nim Leopold.

Ścisłe mówiąc, Leopold jest eks-kelnerem, szczęśliwym posiadaczem kawiarni i domu wzniesionego z dwunastoletnich tryngeldów<sup>62</sup>. Rudy, brzydki, przebiegły, pomimo swego *établissement*<sup>63</sup> nie pozbył się ruchów posługacza, które przyrosły do niego jak skóra. Jest on kroniką skandaliczną Ischlu. Wie, ile kto ma długów, romansów, lat i zębów wprawionych; wie, gdzie król Milan<sup>64</sup> przepędza wieczory, gdzie cesarzowa będzie jutro na wycieczce, ile sukien przywiozła z sobą Lukka, co mówił ksiądz kapelan do księżniczki Walerii<sup>65</sup>; wie nawet, że panna Czertogubow rodowitą jest Polką, a jej strój maoruski, strojem powszechnie przyjętym w Warszawie. Prócz tego Leopold jest jeszcze literatem.

<sup>54</sup>*der schöne Ernst* (niem.) — piękny Ernest. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*reńskie* — tj. pieniądze; *reński*: rodzaj daw. monety, floren a. gulden. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*oberkelner* (daw.) — starszy kelner. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*krajcar* a. *grajcar* — moneta srebrna, od XIII w. bita w Tyrolu, od XVI w. drobna moneta w krajach z kręgu wpływów monarchii habsburskiej. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*danke* (niem.) — dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*danke schön* (niem.) — bardzo dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*entrée* (fr.) — przystawka. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*pryncyp* — zasada; *dla pryncypu*: dla zasady. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*Tringeld* (niem.) — napiwek. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*établissement* (fr.) — prywatne przedsiębiorstwo rozrywkowo-rekreacyjne, poprzednik letnisk. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Milan I Obrenović* (1854–1901) — książę Serbii w latach 1868–1882 i król Serbii w latach 1882–1889. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Maria Waleria Habsburg* (1868–1924) — arcyksiężniczka austriacka, córka cesarza Franciszka Józefa I i cesarzowej Elżbiety. [przypis edytorski]

Ze skromnie spuszczonego wzrokiem podaje ci on do kawy mały, wiedeński świstek, w którym bywają jego felietony i korespondencje.

Leopold, jako właściciel kawiarni, ma wprawdzie kelnera, ale znieść nie może, aby ktoś inny, a nie on sam, dyski<sup>66</sup> dostawał na piwo, najczęściej więc przychodzi sprzątać we własnej osobie i wcale gładko chowa do kieszeni krajcary. Jest to tylko skutek nawyknienia<sup>67</sup>.

Prócz tego posiada Leopold jedną jeszcze specjalność: oto, jako syn ludu, prześlicznie lendlera<sup>68</sup> tańczy. Sala grzmiąca od oklasków, kiedy na balu „alpejskim” zawiódł w szerokim kole taniec narodowy, owijając koło siebie tanecznice<sup>69</sup> jako powójkę leśną, pozwalając jej się kręcić przed sobą jak motylowi pstremu, bijąc takt z lekka i drobiąc kroki, jakoby kwoli<sup>70</sup> niedużości tanecznicy swojej a słodczy jakiejś wewnętrznej. Puszczając tancerkę przed siebie, poglądał, i nad głową jej rękę podawał, a potem w uścisk brał i nad ziemią niósł prawie, aby za chwilę porzucić zdyszana i biec do grupy mężczyzn, zebranych jakoby na radę, i śpiewać strofę Tyrolezy zuchwałej, do ech rozgłosnych podanej, i klaskać w dłonie, jakoby chwalać męską ustawę siły i dzielności, i powracać znowu do zostawionej bogdanki, która ci przez ten czas migała przed oczyma niebieskim swoim fartuszkim, nosząc się tańcem lekkim, a swobodnym ruchem. Trzeba przyznać, że i tanecznice miał Leopold wieczora tego nie byle jaką. Była to piękna blondynka, świeżo poślubiona żona tapicera, która śliczne swoje, lekko skrócone włosy przykryła hełmem złotym, misternej, filigranowej roboty. Na hełmie siedział wielki, z czarnej krepy motyl i bił w skrzydła lekkie za każdym poruszeniem tancerki.

Strój to był kosztowny, po prababce jakiejś spadkiem idący, klejnot rodzinny, dziwnie piękny i malowniczo dopełniony czarnym kabacikiem, wysoko zapiętym, z drogą u rąk białych i szyi koronką, oraz spódniczką pozwalającą dojrzeć drobne nóżki obute w szczerogóralskie ciżemki podkute ćwieczkami srebrnymi.

Ach, jak oni tańczyli! Zazdrość brała patrzeć.

Przy „złotym hełmie” zgasyły wszystkie modnie postrojone damy; mężczyźni tłoczyli się, by nań popatrzeć z bliska, a piękna blondynka przyjmowała te hołdy z twarzą bladawą, z poważnym na ustach uśmiechem. Jeden z gorętszych wielbicieli „złotego hełmu” zapędził się tak dalece, że we fraku, jak był, do lendlera stanął. Biedak! Wyglądał... bardzo oplakanie.

Kiedy po balu tym wracałam do domu, z wieszającą mi się na ustach nutą Tyrolezy, księżyc wstał z jaru pełnego mgieł srebrnych i szedł samotny, dumający, cichy. Stałam... i patrzyłam nań; i on stanął i patrzył na mnie. A zaś oczy zakrył chmurą jako człowiek dłonią, a ja poczułam, że rosa padać zaczyna.

Księżyc

Jest miejsce ciche, otwarte, ku górom lekko dźwignięte, z którego jak ptak z obłoku możesz spojrzeć i w dolinę tę alpejską, gdzie Ischl się gnieździ biało a zielono, i w góry, które wokoło gniazda tego obsiadły.

To Sterzens Abendsitze, ostatnia strażnica dnia i pierwsza strażnica nocy.

Kilka drzew zeszło się tam kiedyś, jako drobne płonki jeszcze, i stanęły zapatrzone, i wrosły w ziemię, i zaczęły szumieć z podziwu, i po dziś dzień stoją tak jeszcze, i patrzą, i szumią.

Idź tam pod wieczór dnia pogodnego i pozwól tym szumom kołysać myśl twoją. Czy widzisz tę lunę na wschodzie? To Alpy płoną. Skalne przyciosy pławią się spodem w rozgorzałych fioletów lunie, wyższe budowania a zręby w alpejskiej zorzy stoją jak w purpurze jasnej, a szczyty, otchnione różowo-złoty światła tumanem, zdają się rozwiewać w czarodziejskie przezrocza jakieś.

Wieczór, Światło, Cisza,  
Góry

Wszelka płaszczyzna, wszelki kant na swój ład jasność odbija; luno grają ci w oczach wszystkimi tonami światła. Natężają się, rosną, buchają potężnym żarów akordem, a potem mdleją i chichną jak pieśń konająca.

<sup>66</sup>dyski (daw.) — z fr. dziesiątki. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>nawyknienie (daw.) — nawyk. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>ländler — austriacki taniec ludowy w metrum 3/4, poprzednik walca wiedeńskiego, popularny na początku XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>tanecznica (daw.) — tancerka. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>kwoli (daw.) — gwoli; dla, w celu, z powodu. [przypis edytorski]



Takie płomienie Alp poprzedza jakaś nagle cisza w naturze. Drzewa przestają szumieć, ptactwo waży się na skrzydłach bez ruchu i głosu, trzody stają i patrzą ku góróm, nieme, rzekłbyś, zadumane, a wodospady wiszą drżące, srebrem ścięte, nie śmiejąc trącić szklanych strun swych lutni. I tobie zorza alpejska kładzie na ustach swój płomień siny, i ty czujesz jej ogień na twarzy, w piersiach, w żrenicach, i patrzysz, patrzysz...

Tam! Widzisz te wieże a iglice<sup>71</sup>, z różowych alabastrów dźwignięte? To Dachstein.

Starzec to siwy i zmrożony wiecznie, a przecież w takiej chwili krew mu w żyłach krąży widocznie.

Sto wieków kipiał w błękity, sto wieków tężał w szkielecie granitowy, a kto liczył dni jego, odkąd w śniegach i w lodach stoi i patrzy w dolinę?

A tam, na prawo, gore szczyt synajski i na potrzaskanym swym czole niesie ogniste tablice zakonu.

Chwilę jeszcze można widzieć płomienne ich zgłoski, potem powietrze ciemnieje, gęstnieje; szczyty, zbliżone natężeniem światła, usuwają się w mroki i zmierzchy; złote pyły, niosące się od rozgrzanych turni ku przeciwnym górom gniazdom, zachodzą cieniem lekkim, liliowym, a z doliny wstają mgły sine i tchem chłodnym na czoło ci biją.

Alpy gasną.

Tymczasem zakipiały podgórskie łąki ruchem przedwieczornym, pośpiesznym.

Słychać gdzie kosy, gdzie grabie, gdzie skrzypienie wozów ciągniętych przez woły siwe, słychać nawet śmiech i rozmowy; tylko nie słychać pieśni.

Pieśń... to Słowianka rodem.

Tutaj uwija się góral przy pracy, aż pot mu kipi z czoła, spluwa, śmieje się, pali fajkę, mamrocze nawet sam do siebie, jeśli nie ma z kim gadać, ale nie śpiewa.

Hej! Hej! Gdzie ty, pieśni nasza wioskowa, niosąca się po łąkach skoszonych, po rosie, po chłodnej?... Cicho! Wiatr wschodni echa jakieś niesie...

A po tej rzece płyną łabędzie,  
Jeno je woda garnie,  
Oj, pójdziesz we świat Jasińku miły,  
Oj, zginiesz na nim marnie...

Boże! Jak to daleko!

4.

*Obrazek na łące — Piosenka — Zakłęte duchy — Dola wdowia — Almy — Cesarzowa i kobieta z dzieckiem — Przywidłe dusze — Burza w górach — Kozioł ognisty — Ulewa — Rozmowa z drwalem — Mój dom — Powieści rzeki.*

Dzień był gorący, ciężki, upalnym tchem dyszący, kiedy nasłuchawszy się szumu drzew starych na Ahorn-bühl, zaczęłam zeń zstępować dróżką leśną w łąkę, pełną krokusów liliowych, wydmuchniętych z mokradła na łączy białej a kruchej<sup>72</sup>. Piękna tyrolska krowa pała się wśród nich, szerokimi raciami depcąc kwiatów puchy i przeżuwał z westchnieniem trawy soczyste. Dzwonek, zawieszony na rzemieniu u lśniącej jej szyi, klekotał głucho tu, to tam. Za krową szła lub przystawała dziewczeczka bosa i drobna, w jaskrawej, skrzyżowanej na piersiach chuście, robiąc na drutach olbrzymią, dłuższą chyba od siebie pończochę zieloną.

Za dziewczeczką, wtuliwszy ogon pod siebie, włókł się Kruczek jakiś, kłapiąc leniwie pyskiem za muchami. Obrazek ten leżał u nóg moich, słońcem malowany, a cienie drzew rozspanych pod lasem, padały nań długie i drżące.

Naraz — posłyszałam głos świeży:

*Komm mit nach Lindenau,  
Da ist der Himmel blau,  
Da tanz der Ziegenbock*

<sup>71</sup>wieże a iglice (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łączącego; dziś: wieże i iglice. [przypis edytorski]  
<sup>72</sup>łodyżka biała a krucha — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łączącego, dziś: łodyżka biała i krucha. [przypis edytorski]

Spojrzałam. Poniżej łąki, krokusów i pastuszki mojej, po ostrych żwirach gościńca, biegł, podrzucając wysoko nogami, chłopak wyrostek w otwartej na piersiach koszuli i w pięknych zielonych szelkach.

Głowę miał zadartą jak wróbel na płocie, a w ręku niósł klatkę i wniki<sup>74</sup>.

Za mną obejrzała się najpierw krowa, potem pastuszka, potem leniuch Kruczek; Kruczek uszy zjeżył, machnął ogonem na prawo i lewo, grzebnął pazurami o ziemię i przeciągnął się jak długi; podumał, ziewnął szeroko i, zwiesiwszy głowę, poszedł swoją drogą.

Piosnka tymczasem wśród skwarnej ciszy południa brzmiała rozgłośnie, przenikliwie, jakby ją kos gwizdał.

Cóż było robić? Poszłam za nią, nie bez pewnej skrytej nadziei, że ujrzę gdziekolwiek rycerskiego kozła, zawodzącego tany z piękną swoją żoną.

Droga do Lindenau, trochę tylko na lewo się wzięwszy, poszła równoległe prawie do szumiących drzew Ahorn-bühl.

Pierwsze domostwo, jakie na drodze tej spotkałam, zamknięte było na glucho, jakby po zarazie. Okiennice, drążkami z zewnątrz podparte, nie puszczały w okienka ani jednego promienia słońca, u wejścia, zatarasowanego jak przed Tatarami, wisiała ciężka kłódka, z dawna już widać rdzewiejąc na rosie.

Przed domem okwitały maki białe i różowe, rozsypując listki w ogródku, zarosłym chwastami, a na prawo, ze studzienki, ujmującej wytrysk zdrojowy w pień drzewny, pluła woda w podstawione koryto i przelewała się z niego wierzchem, nie mając snadź poić kogo, i ciurkiem szła po kamieniach, szemrząc a mruczając niechętnie. Zresztą cisza była zupełna, a w koło ani żywej duszy.

Na kamiennym tylko płocie, między zielskiem, co się tu na oślep puściło, siedział kot wynędzniały, to liżąc chude swoje boki, to patrząc melancholicznie na jaskółki, gnieźdzące się pod okapem.

Poza tym pierwszym zaczarowanym domostwem, spotkałam drugie takie i trzecie. Ptactwo z głośnym świergotem gospodarowało po strychach, wierzy osypywały nasienne puchy po niedeptanych ścieżkach pod płotami, u wrót chwiały się wybudujące bylice, jakoby trzymając straż w tym pustkowiu.

Nieco dalej posłyszałam chrzęst kosi i dziecięce śmiechy. Idąc wprost na chrzęst ten i głosy, ujrzałam szmat łąki, a na nim młodą jeszcze kobietę, zwiędłą i spaloną na słońcu, siekącą z rozmachem trawę. Troje dzieci staczało dawne, przeschnięte pokosy.

— *Glück auf!*<sup>75</sup> — zawołałam wesoło, patrząc na tego kosiarza w spódnicy.

Kobieta odpowiedziała mi skinieniem głowy i zajęła taki szmat trawy, że aż kosa jęła. Dzieci przestały grabić i patrzyły na mnie. Tak mnie coś nagle pociągnęło do tej gromadki, że rzuciwszy trzymany w ręku kapelusz, wzięłam od jednego z malców grabie i spróbowałam stoczyć bodaj dwie, trzy kupki. Kobieta popatrzała i kosiła dalej. Grabie tu mają nie takie jak u nas, z osadzonymi w drewnianej belce zębami, ale grablisko zaraz wprost rozwidła się w dwa zęby jak szpony zagięte, a trzeci dopiero szpon taki osadzony jest w pośrodku. Dosiekłszy do między, kobieta odetchnęła głęboko, otarła pot z czoła fartuchem, a oparłszy się na kosisku, spoczywała chwilę. Wtedy to dowiedziałam się od niej, że jest wdową, że sama uprawia półko swoje, czekając aż syn nadrośnie.

A „syn” tymczasem, dziesięcioletni może, tłusty chłopczyna, patrzył na mnie z powagą, trzymając się matczynej spódnicy.

W dalszej gawędzie zapytałam o owe domy, pustką stojące.

— Wszyscy poszli na alm — odrzekła mi kobieta.

„Alm” tutejszy to nasz „koszar” tatrzański, pastwisko trzód letnie, oszczędzające traw łącznych<sup>76</sup> na zimową biedę.

<sup>73</sup>*Komm mit nach Lindenau, / Da ist der Himmel blau, / Da tanz der Ziegenbock / Mit seiner Frau!* (niem.) — Chodź ze mną do Lindenau / Tam niebo jest błękitne / Tam tańczy kozioł / Ze swoją żoną; słowa ludowej piosenki *Bei Leipzig liegt ein Örtchen (Kommt mit nach Lindenau)*. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*wniki* (daw.) — właśc. wnitki, siatka na łapanie ptaków. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Glück auf!* (niem.) — Powodzenia! [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*łączny* (daw.) — dziki, leśny. [przypis edytorski]

Łąki koszą tu wprawdzie trzy i cztery razy, ale tylko dwa pierwsze dają dobre siano; pod koniec lata, skutkiem dżdżów częstych rzuca się w łąkach podbiał i złe zielsko; trawa też bywa ostrzejsza i tylko na zieloną paszę zdatna. Otóż ludzie zamykają dom na głucho i idą na alm taki na całe już lato, biedując ciężko dla miłości dobytku swojego.

Przekonałam się z czasem, że almy bywają przedmiotem ciekawości pięknego świata. Tęgo sezonu weszły one po prostu w modę, od czasu gdy cesarzowa Elżbieta<sup>77</sup> zwiedziła jeden z nich... pieszo; fakt, który w jednej chwili rozgłosiły wszystkie wiedeńskie dzienniki.

A przecież... Powyżej Rettenbachu, w lesie zawałonym odłamami zwietrzałego granitu jest ścieżka stromo pod górę idąca, ostrych krzemieni pełna, prawdziwa *via crucis*<sup>78</sup>. Na drodze tej spotkałam raz bosą kobietę dźwigającą brzemień drzewa na plecach, a dziecko na ręku.

Szła na jeden z najwyższych almów; trzy godziny była już w drodze, a nie uszła jeszcze połowy. Podrapane jej nogi płukał deszcz drobny, a pomimo chłodu pot kipiał jej z czoła.

O kobiecie tej jednak nie wspomniał żaden dziennik wiedeński, niech więc choć słowo obce i dalekie uzali się nad tobą, o góralko biedna!

Dawno już się rozstałam z gromadką ową, grabiącą siano na łące, a woń przywiedłych pokosów leciała za mną długo, daleko, jak wspomnienie owych dusz, dolą podciętych, na skwarach i rosach życia wółstrawionych, które w tym przywiednięciu swoim dopiero wydają woń, upajających uroków pełną.

Za świeża — trawa to, jak inna, choćby najbarwniejszym kwieciami przetknięta.

Naraz powiał wiatr wschodni. Zaszumiały dąbrowy podleśne, przerzucone gajem młodym, puszczałymi się tu, to tam w bukiety klonów i brzoź, i wiązów, i świerków. Zaszumiały i ucichły. Martwota jakaś głucha padła na ziemię, ciężko było oddychać. Tymczasem wypłynęła od wschodu czarna wielka chmura. Zmierzchy gęste wystąpiły z jarów i lasów i szły ku zachodowi, i ku południu, i ku północy. Dzień zagaś, małym tylko rąbkim świecąc jeszcze w oddaleniu. Nagle, w ciemności tej, szczyty Katreinu i Rabennestu zaczęły mrugać na siebie złowieszczo. Było to jakby porozumiewanie się dwóch olbrzymów, chcących się chwycić za bary.

Cisza była śmiertelna, lasy w omdleniu stały, nie śmiejąc westchnąć ani liściem ruszyć, ciemność szła po omacku, wlokąc płachty swoje po ziemi. Mruganie szczytów wzmagalo się co chwila, nabierając dzikiej jakiejś wyrazistości. Katrein błyskał żrenicą żółtą, okropną, Rabennest odpowiadał mu spojrzeniem fosforycznym, trupim. Patrząc na to, na sercu robiło się tak, jakby kto przeciągał przez nie żywego padalca.

I górom stojącym wokoło wydało się to mruganie nieznośnym.

Warknęły zrazu gniazda ich wschodnie, potem północne, potem dalsze i dalsze, aż powstał trzask i huk, i łamanie się, i mocowanie śmiertelne, a węże ogniste zaczęły ślizgać się po żwirach tuż przed stopami — na prawo, na lewo, gdzie stąpisz, nadeptać je możesz.

— Ej, uciekaj, pókiś żyw a cały!<sup>79</sup> — usłyszałam za sobą strwożone głosy, kilku mężczyzn biegnących drogą, gubiąc parasole w pośpiechu.

Chciałam biec wraz z nimi, ale ta trzaskawica tak mnie urzekła, że nie byłam w stanie przyspieszyć kroku. Zdawało mi się, że ja i ta burza — to jedno. Nie odwracając nawet głowy, czułam, jak poza mną mruga Katrein mroczny i nie mogłam znieść tego uczucia. Zdawało mi się, że błyskawice wskroś mnie idą dalej, stanęłam i obejrzałam się, aby zobaczyć, czy nie płonę cała, a tam, tam na Rabennest, kozieł<sup>80</sup> ognisty tańczył z żoną swoją, zataczając błyskawiczne kręgi po zrębach skał czarnych. Wichura natężyła całe swoje płuca i uderzyła o lasy, i o turnie nagie, i zerwały się jęki, i wycie, i skargi, a ja, straciwszy prawie pamięć na to, co się ze mną dzieje, słyszałam w poświście wichru straszliwie wyrazistą zwrotkę:

*Da tanz der Ziegenbock  
Mit seiner Frau...*

<sup>77</sup>Elżbieta Bawarska, Sisi (1837–1798) — cesarzowa Austrii i królowa Węgier w latach 1854–1898 jako żona cesarza Franciszka Józefa I. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*via crucis* (łac.) — droga krzyżowa. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*pókiś żyw a cały!* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika i „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: póki jesteś żyw i cały. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*kozioł* (daw.) — dziś: kozioł. [przypis edytorski]

Wtedy dopiero zaczęłam biec, uciekać, nie wiedząc prawie gdzie, jak i po co.

Ognisty kozioł błyskał mi przed oczyma krzywymi rogami.

A za mną leciała ulewa i dognała mnie u wrót jakiegoś domostwa, rzucając się na mnie całym potopem wód swoich. Miałam w oczach tyle błyskawic, a w uszach tyle huku, że minęła długa chwila, nim sama przestałam być burzą. Ta, która szalała w górach, chciała koniecznie mieć mnie bliżej siebie, bo przyszła wstrząsać wszystkimi węglami schronienia mojego i patrzeć w okna jego płomienną swoją żrenicą.

Ochłonawszy nieco, spostrzegłam, że schronieniem tym była jakaś oberża wiejska — karczma po prostu.

Czyste ławy i stoły zajmowały większą część izby, gospodyni krzątała się, ścierając ostatnie z nich pyły. W izbie było prawie pusto, w rogu tylko przy zielonym kafłowym piecu siedział wyrobnik, drwał pewno, z siekierą obok na ławie złożoną. Ponieważ radzi-

Polak, Niemiec

liśmy o tym, jak wrócić do domu, i on przeto wszedł w rozmowę, w ciągu której zapytał mnie, czy jestem Węgierką.

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedziałam — jestem Polką.

— Polką? — zamyślił się mój drwał, a potem rzekł: — *Ah, so!* Wiem, *Polen!* To tam, gdzie ludzie tacy bogaci... no, *so, aber*<sup>81</sup> i tacy biedni!

— Tak, tam — odrzekłam mu z jakimś szczególnym ściśnieniem serca.

— *Kartoffeln essen... nicht Brot*<sup>82</sup> — mówił drwał dalej.

— Tak... — odpowiedziałam ciszej jeszcze.

— *Grosse Herrschaften haben sie aber auch*<sup>83</sup>

— Ach! Mamy, mamy! — rzekłam z nagłą jakąś rozpaczą i nie zważając na strumienie deszczu, wybiegłam z izby, nie mogąc dłużej znieść rozmowy z drwalem. Było mi tak, że chętnie bym wówczas poszła gdzieś na koniec świata. Ale nie mogłam iść na koniec świata. Musiałam wrócić do domu.

Dom, w którym mieszkałam, był rodzonym bratem wszystkich innych domków tu-tejszych: dobrym patriotą, stojącym w barwach lokalnych, w bieli ścian swoich i w zieleni swoich żaluzji, kosmopolitami są tutaj tylko hotele i sklepy. Wprost Kaiserbergu rzucony, wspiął się na taką pochyłość, że z jednej strony miał całe dwa piętra, a z drugiej jedno tylko.

Balkony swoje pozawieszał nad samą rzeką, a i okna na nią pootwierał tak, że dzień i noc pełen był jej szumów. Nie widziałam ani słyszałam tak nieustrudzonej bajarki, jak była właśnie ta rzeka.

Rzeka, Natura

Styl jej był wprawdzie trochę szumny, trochę bombastyczny czasem, ale za to co za płynność słowa! Najpierw mogła ci opowiadać całymi godzinami, skąd idzie. Była to jej odyseja.

Każda olcha, dąb każdy, u źródeł jej rosnący, każdy promień słońca, co się do niej przelotnie uśmiechnął, każda piosenka, którą jej wiatr śpiewał, każdy odłam skały, co ją w drodze o formalności paszportowe pytał, w odysei tej miał poświęcone sobie calutkie rozdziały. Potem następowały projekta<sup>84</sup>. W tym była niewyczerpaną. Całymi wieczorami opowiadała mi, jak to ona pójdzie najpierw do Gmunden, ale w Gmunden nie ma co robić po prostu. Miasteczko nudne, małe, obcymi ludźmi zapchane, a wszystko to w pretensjach, wszystko się puszy i nosi górną, choć nie ma z czym znów tak bardzo.

Jest ci tam wprawdzie jakaś rezydencja eks-królewska, ale takie to i państwo. Dlatego też w Gmunden tylko przez jezioro przepłynie, posłucha muzyki na tarasie w Belle-vue, a potem, naturalnie, pójdzie do Dunaju. Teraz dopiero zacznie się życie! Pozna Wiedeń, jego Ringi, mosty... Tu widząc, że opowiadanie w banalność już wpada, biorę do ręki Heinego<sup>85</sup> i zaczynam czytać. Rzeki mojej nie zraża to wcale. Jakiś czas mruczy tam sobie coś pod nosem, że nawet i zrozumieć trudno, a potem znowu inną historię mi prawi. Właśnie przed tym samym oknem stoczyła się kiedyś skała ogromna w jej fale. Co to był

<sup>81</sup>*aber* (niem.) — ale. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Kartoffeln essen... nicht Brot* (niem.) — Jedzą ziemniaki, nie chleb. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Grosse Herrschaften haben sie aber auch?* (niem.) — Czy macie też duże majątki? [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*projekta* — dawna lm od rzeczownika projekt, dziś: projekty. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Heine, Heinrich* (1797–1856) — niemiecki poeta żydowskiego pochodzenia, przedstawiciel romantyzmu, jeden z najwybitniejszych niemieckich liryków, prozaik, publicysta. [przypis edytorski]



za okropny wypadek! Przez czas bardzo długi uspokoić się nie mogła w nerwowym rozdrażnieniu swoim i zmieniła zupełnie tryb życia. Aż potem ludzie postawili na skale tej krzyż czarno-złocisty, w którym słońce wcale<sup>86</sup> pięknie odbija się, wschodząc i zachodząc. Teraz przywykła już zupełnie do owego krzyża, chodzi tam nawet mówić wieczorne pacierze. Jeśli jednak prawdę ma wyznaczyć, woli tego ubogiego, nagiego Chrystusa z drewna, co ukrzyżowany na moście najbliższym, nie na przechodniów patrzy, ale w jej fale głębokie. Twarz jego taka blada, ciało takie wynędzniałe, a głowa pochylona tak smutnie! Raz nawet słyszała, jak Chrystus ten płakał wpośród nocnej ciszy.

A kiedyś zadumała się nad tą jej powieścią i pochyliła głowę na ręce, niezmordowana bajarka, bojąc się snadź<sup>87</sup>, abym nie usnęła, zaczęła mi znowu szeptać coś do ucha. — Wiem — prawi — że w kraju twoim, są także strumienie i rzeki; powiedz mi, gdzie one idą?

— Do morza — odpowiadam w zadumie.

— Do morza?... Do nieskończoności? Phii! Piękna bajeczka! Kto was tam takich głupstw uczy? Gdzież to widziała to wasze morze, do którego rzeki wasze idą? Na księżycu pewno...

— Cicho! — mówię już zniecierpliwiona i rzucam się w zniechęceniu na łóżko, i uszy zatykam, żeby jej przycinków nie słyszeć.

Nazajutrz jednak znowu gawęda.

— Napracuję się ja niemało, nim z lasów spławię drzewo do tartaków, nim je w tartakach na deski porżnę. Wszędzie słyszę: człowiek, człowiek! Wszakże i w tartaku jest człowiek niby, ale cóż? Chodzi tylko, pluje i fajkę pali.

Wielka rzecz, że deski zmierzy i zapisze! Ale ciągnij ty piłę taką przez jeden dzień chociaż, szarp się z kołami, co druzgoczą ci piersi, ogłuchnij od ich zgrzytu, jak ja już na pół ogłuchłam, a poczujesz, co to czarna praca.

I dziwi się potem, że ja mętna, że z brzegów wystąpić bym rada!

A ja ci powiem rzecz jedną. Pracować, to pracować, niechby tylko pożytek był z tego. Ale ja tu kończę moją trzyczalówkę, tu piła skrzypi w oprawie, nie mając się jąć czego, koło lata jak szalone, nie pytając, czy ma co obracać, czy nie ma, a tu pan pisarz w zalecankach do dziewcząt z kawiarni! Powiedz, czy może być na świecie ład jakiś i porządek, jeśli go w tartaku nawet utrzymać nie można?

Byłaby mnie jeszcze bajarka moja wtajemniczyła w więcej podobnych historii, ale że plotek nie lubię, więc zwróciłam się ku drzwiom balkonu, kiedy doleciał mnie jej szept niecierpliwym: „Zmiłuj się! gdzie uciekasz? Zaczekajże chwilę, mam ci powiedzieć coś miłego, coś na ucho...”

Któraż kobieta nie lubi, aby jej „coś miłego”, coś na ucho mówiono?

A właśnie weszła była<sup>88</sup> nad Loosbergiem gwiazda wieczorna, a u kraju rzeki czerniały tratwy, zbijane gwoli spławom jesiennym.

— Hej! hej! — prawi kusicielka moja — gdzie to Wisła twoja? Wiselka... flisaki<sup>89</sup>, pieśni i jeszcze coś więcej. Komu tam ona szumi? Komu śpiewa, kogo świeżością fal swoich upaja?...

I czegoż patrzysz tak na mnie? Ja jestem sobie rzeka spokojna, w cudze sprawy nie wdaję się wcale. Jeśli kto tęskni, tym gorzej dla niego. Co do mnie — ja idę do morza!

5

*Droga do Gmunden — Jezioro we mgłach — Miasteczko „najpiękniejsze” i stróż porządku w kasynie — Wildstein — Tęcza na ziemi — Siano biedaków — Droga do Hallstadt — Pasażerowie — Gemütlich — Jaskółcze gniazda — Wodospad*

Prócz świata gór, jest tu świat wód, świat jezior zadumanych, które jak perły rozsute tu, to tam, świecą wśród zmierzchu Alpów<sup>90</sup> matową jasnością swoją, czekając na łódź twą i... na ciebie.

<sup>86</sup>wcale (daw.) — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>snadź (daw.) — tu: widocznie. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>weszła była (daw.) — forma czasu zaprzeczonego, dziś: weszła. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>flisaki — osoby zajmujące się flisem, czyli rzeczonym spławem towarów. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Alpów (daw.) — dawna forma dopełniacza, dziś: Alp. [przypis edytorski]

Ej, pluśnij wiosłem a puść się<sup>91</sup> jako czajka lotna, a łodzi swojej daj zbrodzić te wody wzdłuż i wszerg! Będą<sup>92</sup> ją huścić a kołysać, a czarować pieśnią zakłęta, że ani zechce powracać do brzegu. Nie czekaj też koniecznie słońca, by ponieść się po jeziorze takim; we mgłach widziałam Gmunden i we mgłach też raz jeszcze obaczyć bym je rada.

Był wówczas ranek cichy, ciepły, wilgotnym tchem dyszący.

Po iglicach a gniazdach skalnych wieszaly się płachty mgły sinej, zbite spodem w kłębiska mokre, ociężałe, a górą rozdmuchnięte w leciuchne<sup>93</sup>, rusalczane przędze. Z lewej i z prawej strony stał las milczący, zatajony w sobie; najwyższym jego sosnom kurzyło się z czubów czarniawych jakoby z komina, a z jarów i oparzelisk szły dymy błękitne, pokotem ścielące się po świerkowie młodej.

Dzwonki trzód niewidzialnych klekotały głucho z głębi łąk w oparach stojących, a hukania pastusze tępo szły w powietrze, wilgocią jak gąbka nabrane, i tonęły w nim bez echa, bez rozgłosu.

Wskroś mgły tej, wskroś tych oparów, przelatywał nasz Akteon, sapiąc i dysząc ciężko. Góry zabiegały mu drogę to z lewej, to z prawej strony; przebijał je tedy<sup>94</sup> głową, wpaadał w tunele, warczał i wyrwał się na dzień boży, pędząc przed sobą wilgotne kłębiska pary gęstej, a za sobą wlokąc dymy gryzące, aż wypuściwszy ducha w długim poświście, wysypał w Ebensee garść wędrowców, która się też zaraz na kupki rozbiła, szukając — kto łodzi, kto miejsca na statku. W jednej z kupek takich zauważyłam pięknego bruneta, prawiącego coś z wielkim ferworem ślicznej, młodej chichotce, która śmiejąc się, przechylała w tył główkę, obciążoną grubymi warkoczami, i pokazywała białą szyjkę o niebieskich, drgających żyłkach. Wielki kapelusz rzucał cień głęboki na jej delikatną twarzyczkę, błyskawicznie oświetloną białymi ząbkami i ciemnym ogniem źrenic, sypiących iskry spod długich rzęs. Tak się zapatrzyłam na młodość tę i na tę urodę, że zbudziło mnie dopiero posłyszane w pobliżu słowo polskie. Para staruszków, jak gołębie siwych, szła, swarząc się<sup>95</sup> z ukraińska, mocno widać zirytowana, ale równie mocno trzymająca się siebie.

— Cóż mi tam jejmość raz w raz z tą flanelą wyjeżdżasz? — mówił jegomość rozczwieniony i zły widać setnie. — Myśleć kto gotów, żem jaki niedołęga czy co u kata?

— Taże wilgoć, a to i drze po kościach — broniła się starowina.

— Gdzie drze? Kogo drze? Co się jejmość cudzymi sprawami zajmuje? To czysta szykana!...

I podreptali ku wyjściu, on głośno stukając laską, ona markotna i trzęsąca głową.

A tuż, tuż za stacją rozlewało się jezioro ogromne, mglistym tumanem nakryte, dymiące z kotlin tajemnych, jakoby z kuźnic zaklętych, zatopionych tu przed wiekami. Zdawało się, że łódź, co się tam waży, po wrzątku pójdzie — taka para szła z głębin tej wodnej, pełnej majaków dziwnych, bezładnie z sobą splątanych. U brzegowiska rozlegały się strome ściany skalne i rozsypały się wyrwy odwieczne, a wodospady, hucząc głucho we mgłach, leciały niewidzialne, groźne, ziejące kłębami zgęszczonych oparów.

Łodzie, co odbijały z przystani, przemajaczone tumanem, roztrącanym i łączącym się za każdym uderzeniem wiosła, sunęły ciche, bez plusku, jakby cienie dantejskie, a rybak, co ciągnął u brzegów swą zdobycz, wydawał się potępieńcem mglistym, łowiącym w sieci srebrny dech jeziora. Ziew jakiś, pelen nudy i troski, szedł między niebem a ziemią, co stały przeciw sobie zadumane, posępne, niewiedzące czego się jąc. Trącone łodzią, wody jeziorne kołysały się przez chwilę na piastach swoich z osłupieniem, gwałtem z bezruchu wyparte, a potem znów wracały do martwoty swojej.

Jeżeliś wzrok puścił w górę, widzieć mogłeś nad głową jezioro mgieł wiszących, jeżeliś go zasię<sup>96</sup> w dół puścił, ujrzales pod burtem swej łodzi skały brzeżne, trzonami w górę wywrócone, jakoby się świat na nice<sup>97</sup> brał, a na głowie stawał.

I przedtem, i potem, widziałam wiele wód żywych, niosących się w szumach i blaskach słonecznych, ale nigdy nie zapomnę jeziora tego, utopionego we mgłach beznadziejnych.

<sup>91</sup>pluśnij wiosłem a puść się (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: pluśnij wiosłem i puść się. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>będą (daw.) — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że skróconą do -ż. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>leciuchne (daw.) — tu: lekkie. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>tedy (daw.) — tu: wtedy. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>swarzyć się — spierać się, klócić. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>zasię (daw.) — natomiast. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>nica (daw.) — lewa strona tkaniny. [przypis edytorski]

O Lenau<sup>98</sup>, o pieśniarzu smętny! Tyś mógł, zaiste, patrząc na te wody chmurne, śpiewać pieśni leż pełne, od których echa drżały aż przy Wiśle kędyś<sup>99</sup>!

Jużeśmy byli w połowie drogi niemal, kiedy przez ten zmierzch perłowy zaczęło się przesiewać — jakoby księżycowe — światło, a w tej przyćmionej jasności dźwignął się przed oczyma olbrzymi Sonnenstein.

Tytan snadź<sup>100</sup> jakiś walczył tym odłamem zgaszonego słońca i porzucił tutaj tę maczugę swoją, sterczącą wrogo przeciw błękitom wspomnieniem wiekuistego rozterku. Dalej... na wyrwie skalnej, wysypanej w samą gardziel jeziora, przebłysnął Traunkirchen, ze starym kościółkiem swoim i białymi domkami, a jeszcze dalej Traunstein, kipiący w górę iglicą zuchwałą, rozszczepioną na dwoje, którą jak urzeczony, obracał za nami po zakrętach brzeżnych, świecąc nań urokiem swoim wskroś tumanów mglistych.

Tymczasem wiatr wschodni poruszył wody jeziora i plusnął nimi o skały, i napiął obwisłych mgieł żagle, i pchnął je precz od siebie, i odkrył szmatak błękitu. A tuż doleciały nas gwary i okrzyki, i obtarły się o nas tratwy, wiozące z Ebensee do Linzu sól, wywarzoną z jezior tutejszych. Białe, drobne mewki błysnęły lotem skośnym ku wodnej głębinie, a niepewny promień słońca przyszedł nam oświecić przystań w chwili, kiedy barczysty przewoźnik krzyknął: — *Halt da!*<sup>101</sup> — i zarzucił sznury na pomost.

Samo miasteczko z daleka tylko oczy porywa ku sobie wdzięcznym ugrupowaniem swoim, esplanadą, tarasami i widniejącą w dali rezydencją ekskrólów hanowerskich, gdzie kalina rozwiesza teraz jagód swoich purpurę, a dąb siwy jest heroldem jedynym.

Z bliska widziane Gmunden traci wiele ze swoich uroków, a kto przebiegł park i Most Maryi, spod którego Trauna wyrzywa się, huczając, w białych pianach cała, ten może — bez wielkiego wyrzutu sumienia — odwrócić się plecami do wykwintnych hoteli i patrzeć na jezioro, mglistych tchów pełne, na łabędzie, ważące się na śniegu rozwianych swych puchów, i na tę młodą wioślarkę, co całą siłą obnażonych ramion odbija łódź lekką od brzegu.

Okoliczne góry czarodziejstw są pono<sup>102</sup> pełne, ale ich w krótkiej wycieczce zwiedzić nie miałam czasu.

Nie sądzę jednak, że dość opuścić Gmunden, aby się od mgły tej uwolnić. Goni cię ona aż do Ischlu i tu zamienia się w deszcz drobny, uparty, z przestankami<sup>103</sup> po całych dniach płaczący. Takie dni dżdżyste są największym utrapieniem tutejszego pięknego świata.

Po prostu nie ma co robić wtedy. Genialne kombinacje świeżych toalet upadają bez ratunku: „Ferencz” występuje wieczorem dopiero, hotele i sklepy ziewają, istna rozpacz. Z nudów tedy piękne panie zmuszone są chwycić się lektury. Biada ci jednak, spokojny człowieku, jeśliś i ty w dniu takim, umyślił zająć do czytelnicy.

Zaledwieś bowiem wyszukał sobie kątek cichy, gdy słyszysz w progu szelesty, śmiechy i głośnie rozmowę. Drzwi otwierają się i zamykają z drażniącym łoskotem, a najpiękniejsze z istot stworzonych wkraczają zwycięsko do salonu. Zgubionym jesteś, jeśli zamiast złożyć natychmiast gazetę i oddać się kontemplacji ich wdzięków, usiłujesz dalej zrozumieć to, co czytasz. „Najpiękniejsze” potrącają krzesło, na którym siedzisz, gazetę, która ci przeszkadza podziwiać ich uroki, przewracają parasol, któryś postawił przy sobie; wszystkie, najcięższego nawet kalibru, dzienniki zamieniają w „*Fliegende Blätter*”<sup>104</sup>, a strąciwszy ze stołu twój kapelusz mówią ci: *excusez*<sup>105</sup> i rzucają się na kanapkę, aby śmiać się z twoich okularów i łysiny, jeśli masz łysinę albo okulary. Przypuszczam, że bierzesz na kiel<sup>106</sup> czytasz dalej. Wówczas wysuwa się z kąta mały, chudy człowieczek, strzepując z palców resztki tabaki. Nie lękaj się, to nikt obcy, co by ci mógł przeszkodzić; to owszem stróż porządku w czytelnicy, typ bardzo zbliżony do naszych woźnych, zresztą zupełnie niewinny. Kaszle, krząka, szurga nogami i zaczyna robić „porządek”.

<sup>98</sup> Lenau, Nikolaus (1802–1850) — austriacki pisarz późnoromantyczny. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> kędyś (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> snadź (daw.) — tu: zapewne, być może. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> Halt da! (niem.) — Zatrzymaj się tam! [przypis edytorski]

<sup>102</sup> pono (daw.) — zdaje się. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> przestanki (daw.) — przerwa. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> „*Fliegende Blätter*” — niemiecki tygodnik satyryczny wydawany w latach 1845–1944 w München. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> excusez (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> wziąć na kiel (fraz.) — uprzeć się, być zawziętym. [przypis edytorski]

Porządek ten na tym się zasadza, aby na każdym ze stołów leżały pisma jednego formatu, a jeśli do tej wymyślonej przez siebie symetrii brak mu dziennika, który masz pod ręką, potrąca cię, chwytą go i przenosi w drugi róg salonu, aby go zamieszać między dwadzieścia innych pism tej samej wielkości. Co gdy uczynił, z łoskotem ustawia krzesła, pogląda z lubością na swoje dzieło, zażywa ogromny niuch tabaki, a kichnąwszy z głębi duszy, oddała się, szurgając starymi nogami i ucierając głośno nos swój potężny w czerwoną bawełnianą chustkę.

Nazwałabym cię bohaterem, gdybyś czytał dłużej jeszcze. Ale nie jesteś bohaterem. Chwytasz więc kapelusz, podnosisz parasol i opuszczasz plac boju, odprowadzony do drzwi wybuchem śmiechu „najpiękniejszych”.

Jest na wysokiej górze ruina zamku Wildstein, roztrącone gniazdo jakiegoś potężnego grafa, którego dziedzicami są teraz jaszczurki i dzikie chmiele, potrząsione rosą. Śmiały występ odwiecznego budowania wiesza się nad przepaścią ciemnej zieloności, wskroś której śmigają olbrzymie jodły, podnosząc ku stopom twoim czarne swoje wierzchoły.

W rozsypanych strzelnicach stoją napięte krosna pajęczce, malowane przygodnym dnia blaskiem. Tam to, po długich slotach, które mnie zapoznały z czytelnią w kasynie, obaczyłam tęczę. Cicha i jasna leżała na piersiach góry, u nóg moich prawie, przeciw słońcu, które się ukazało na chwilę. Zdawało się, że dość się schylić, aby ją podnieść, jak wstęgę rzuconą. Wskroś niej przebłyskiwało pośpiesznym lotem ptactwo, z gniazd światłem ruszone, a nad nią stało jej widmo rozwiewne, mdlejące. Chwycona czarem tego zjawiska bez tchu stałam, bez słowa, opamiętać się nie mogąc na razie. Dziwno mi było widzieć tęczę, tak bez ceremonii na ziemi leżącą. Dopiero kiedy zaczęła gasnąć w sobie i roztapiać się w wieczorne zorze, grające po wodospadach różowym blaskiem swoim, zesłam w dół kamienistą ścieżką, niosąc w dom dobrą nowinę, że jutro będzie pogoda.

A pogody, jak na toż<sup>107</sup>, pilno było potrzeba.

Pod oknem moim, od wschodu, leżał płachetek<sup>108</sup> łąki, od dawna skoszony, na którym w pięciu czy sześciu kupkach stało siano, moknące na dżdżach ustawicznych. Biedni jacyś ludziska, mąż i żona, siano to trzęśli, przewracali, staczali, znów rozrzucali, i tak co dnia, jak tylko deszcz choć na chwilkę sfolgował<sup>109</sup>. A siano coraz było czarniejsze, a kupki coraz mniejsze, a żona gderała coraz częściej, a mąż coraz silniej drapał się w głowę. Otóż, wracając, zastałam ich na łączce oboje. Kobięcina siedziała na ziemi, trzymając przed sobą pusty garnczek i dwie łyżki drewniane, a stary Johan stał oparty na grablisku; oboje z niepokojem śledzili drobne chmurki, na zachodnim wietrze płynące. Gdybym ja była słonkiem, świeciłabym jutro dzień cały! Lecz nie tylko ci biedacy, wszyscy my chciwie czekali pogody. Za pierwszym też jej uśmiechem ruszono się z kilkodniowego zamknięcia, a w tym powszechnym zapale i ja znalazłam się na drodze do Hallstadtu. Dzień był świeży, słoneczny, lekkim powiewem od wschodu otchniony<sup>110</sup>. Jezioro przejrzyste, głębokie, drżało w ruchomych blaskach całe. Za łodzią, za wiosłem rzucały się drobne fale jakoby z malachitu cięte, roziskrzone na grzbietach pianą leciuchną, niby misternym cyzelowaniem w srebrze...

Sarstein, Deimling, Landfrieden wynurzały się z mgieł błękitnych, opływających najniższe ich stoki, tworząc jakiś świat zamknięty, uroków a czarów<sup>111</sup> pełny. Na pokładzie statku towarzystwo było gwarne, zmieszane, pstre. Pierwsze spojrzenie twoje chytał barczysty, niemłody już Tyrol, z twarzą burzliwą, w kapeluszu spiskiem tchnącym, czytał on wiedeńską „*Presse*”<sup>112</sup> i widocznie zirytowany, uderzał od czasu do czasu szeroką dłonią w obnażone mięsiste kolana. Przy nim stała piękna strzelba, a u nóg jego leżało ogromne psisko, biorące żywy udział w czytaniu gazety. Ilekroć bowiem pan jego szarpnął się i w kolano uderzył, pies, wpatrzony w jego oczy, oszczekiwał się krótko i bił w ziemię potężnym ogonem.

<sup>107</sup>na toż — wzmocnione to. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>płachetek (daw.) — kawałek. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>sfolgować (daw.) — zmniejszyć, odpuścić. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>otchniony (daw.) — owiany. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>uroków a czarów (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: uroków i czarów. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>„*Die Presse*” — austriacka gazeta wydawana w Wiedniu od 1848 roku. [przypis edytorski]



Obok tej pary, tak żywo polityką zajętej, grupowali się turyści, każdy z oczyma wlepionymi w swego Bäddeckera<sup>113</sup>. Ludzie ci nie ośmielają się nigdy doznać wrażenia na własną rękę w miejscu nieoznaczonym gwiazdką w swojej książce; nigdy też nie wyrażają zdania swego o krajobrazie jakimś, nie przekonawszy się pierwiej, co o tym Bäddecker powiada.

Istotnie, zachodzi w takich razach poważna wątpliwość, czy nazwać widok dany: *grossartig*<sup>114</sup> czy *wildromantisch*<sup>115</sup>, czy *prächtig*<sup>116</sup>, czy *hochmalerisch*<sup>117</sup>, czy całkiem skromnie *gemütlich*<sup>118</sup>.

Na to ostatnie określenie decydują się wszakże najsamodzielniej.

Słótko to używa tu szerokiej popularności.

Nasza gosposia, panna Saint-Ange z domu, córka dzielnego pułkownika Francuzów i mieszczańczki w Karlsruhe, opowiada mi np., że przeszłego lata mieszkało w ich domu młode jakieś małżeństwo z Warszawy.

Naturalnie byli oboje *sehr gemütlich*; ale co większa, mieli samowar. Podobnie pięknej rzeczy gosposia nasza nigdy nie widziała. Nastawiano go, podawano na stół, szumiał, pryskał, wtrącał się do rozmowy niemal, *und ach! Das war so gemütlich zu sehen. Gemütlich* także byli młodzi nasi rodacy, Wołowski i Kosiński, których gosposia nasza jako studentów w Karlsruhe znała, a z których jeden zginął w pojedynku o piękną dziewczynę. Tuż obok nich *gemütlich* była i poranna czapeczka, którą córka dzielnego pułkownika robiła dla męża i walc Straussa, którego grywała na starym klawikordzie.

Najbardziej jednak *gemütlich* był Rudi, mający jedenaście miesięcy, siedem zębów, tłuste, różowe nóżki i świeżo sprawione łóżeczko.

Biedny Rudi! Kiedyś się wpatrywał wielkimi swymi czarnymi oczyma w piękną siatkę z zielonego sznurka, otaczającą poręczę twego nowego gniazodka, nie przeczuwałeś, że właśnie ten wspaniały sprawunek jest zapowiedzią najsmutniejszej dla ciebie zmiany. O Rudi! W tej kołysce twojej dawnej, przysłoniętej dyskretnie muślinem, położą wkrótce maleńkie bobo, które jeszcze bardziej niż ty będzie *gemütlich*!

Taka to kolej na świecie, i takimi to moralnymi stratami okupują się piękne łóżka z zieloną siatką.

Tymczasem statek nasz szumi, pryska, gwizdże, przelatując obok kościołka, z którego frontowej ściany zstępuje w jezioro olbrzymi św. Krzysztof, z dziecięciami „ciężkim jak świat”. A dalej brzeg stromy dźwiga się wprost przed siebie w góry, kędy na niemożliwych wysokościach bieleją poprzączepiane domki, istne gniazda jaskółcze udające ludzkie sadyby.

Pomiędzy nimi jest domek malarza, który tu z piękną żoną swoją na miodowe miesiące z Wiednia przybył, a gdy mu po roku umarła jego ukochana, zamknął dom na glucho, na drzwiach wymalował białego geniusza z pochodnią — a sam w świat poszedł i nie wrócił więcej.

Trzy są obowiązki porządnego turysty, który zwiedza Hallstadt: obejrzeć sławny wodospad, obdarzyć smętne gromady kretynów, które się wśród skał tych rodzą i zjeść porcją pstrągów. Żadne prawo miejscowe nie wzbrania zjedzenia, jeśli komu apetyt służy, dwóch albo i trzech porcji takich.

Pierwszy z tych obowiązków znacznie jest trudniejszym od obu drugich. Od niego też zaczynamy. Przez górską ścieżkę, która się tu ulicą nazywa, idź w dolinę, zamkniętą ze wszech stron skałami, zza których nieba nie widać. To Krippenstein, Rauchkogel, Koppen, Zwölfer-Kogel, Hirrlaz, olbrzymy granitowe, które Dachstein, król śnieżny, przednią strażą a dworem trzyma sobie. Obstępują cię one dokoła, naciskają, gniotą myśli twoje, chwytają cię między siebie, grożą i bronią wstępu do tajemniczych państw, poza nimi leżącym. Chłód i zmierzch idą na ciebie od ich groźby i od ich oddechu. Cień ich zaciera ślady

<sup>113</sup>Bäddecker — popularny przewodnik turystyczny wydawany przez niemieckie wydawnictwo Karla Bäddeckera. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>grossartig (niem.) — wspaniały. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>wildromantisch (niem.) — romantyczny. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>prächtig (niem.) — przepiękny. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>hochmalerisch (niem.) — malarski. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>gemütlich (niem.) — uroczy. [przypis edytorski]

stopy twojej, a mroki ich piją światło z twych oczu i barwę z twego oblicza. Wyjścia nie widzisz przed sobą i zda ci się, że to już koniec, ostatni zrąb ziemi.

Idź jednak, idź ciągle. Między tymi dwiema skałami jest przejście: naprzód! Otośmy się wyrwali nareszcie! Tu już wolniej oddychać można. Las szumi w dali; wstępujesz weń z uczuciem ulgi niewymownej. Granitowe olbrzymy rzucają tu za przechodniem odłamami skał, walcząc jak bohaterowie Homera; pełno też tu wielkich, obrosłych mchami kamieni, w ziemię zarytych, sterczących rumowiskiem potężnym. Wśród nich zamodliła się ku błękitom pustelnia cicha, w której żył i umarł samotnik, Max Sztein-Balddinger, „Edle”, jak dodaje napis.

Od tej pustelni droga podnosi się ciągle, wreszcie nie staje ci pod nogami ziemi i mchu; drzeć się musisz po żwirach ostrych pod górę, zawsze pod górę. Ustałbyś może i wrócił niemesko, gdyby nie huk ten potężny, prawdziwy ryk lwa, którym Dachstein do siebie cię woła.

Idziesz i padasz bez tchu nad jarem dzikim, zawałonym blokami skał, po których z piekielnym łoskotem toczące się wody ducha twojego w przepaść unoszą kędyś. A tam, nad głową twoją, sieje się pyłem srebrnym strumień jak Tarpeja strącony ze skały.

Białej gazy zasłona wieje w powietrzu, roziskrzona słońcem; to Brautschleier, welon ślubny oblubienicy Dachsteinu.

A tuż przeciw temu wodospadowi, uroczej piękności naga turnia krztusi się i dławi, i wyrzuca z piersi całą rzekę wód huczących ogromnie. To organy potężne, na których gra burza.

Przechył się tam, tam, niżej jeszcze! Widzisz tę przepaść? Tajemnica i noc w niej mieszka. A nad nią motyl biały waży się i krąży, jakoby przyciągany oddechem otchłani. To duch człowieka, to Psyche<sup>119</sup>, tajemniczej piękności kochanka, co ulata nad przepaściami, tam nawet, gdzie się nie waży żaden promień słońca.

Natura, Dusza

6

*Powrót z Hallstadtu — Tamino, Rudi i doktorzy — Obrazki z balkonu — Hans Peter — Wycieczka do Nusselsee — Droga leśna — Jezioro — Kawiarnie — Przewoźnik — Cesarskie drzewo — Na łodzi.*

Hej, lesie ty bujny! Hej, wodo ty chłodna, srebrnym pyłem ze skały lecąca! Nie na dobre, jeno na złe nawiodło mnie słuchanie huków waszych a szumów.

Z gorączką wróciłam z Hallstadtu, a wróciwszy, przeleżałam długie dnie. Jedyłą w nich pociechą były mi listy z kraju, a jedyną rozrywką — Rudi.

Do łózka mego przynosiła go Lina, siostrzenica gospodarza naszego, której pokrewieństwo to nie przeszkadzało bynajmniej prac, gotować, zamiatać, nosić mocno krochmalonych sukien i wujenki swojej nazywać: *Gnädige Frau*<sup>120</sup>. Za Liną wbiegał zwykle w wielkich susach Tarnino, a za trójką tą wpadały gorące dnia blaski, rozjaśniając na chwilę zielony zmierzch sypialni, siejący się od przychyłonych żaluzji.

Lina sadzała malca na łóżku, a sama ciężko opuszczała grube, okrągłe, czerwone ręce, którym też należało się trochę spoczynku.

Tarnino tymczasem, obleciawszy wichrem wszystkie cztery kąty, zaczynał wyprawiać zwykle swoje psie figle. Wskakiwał na krzesła, o dywan ostrzył pazury, gonił swój piękny, puszysty ogon, kichał, parskął, naszczekiwał, słowem — na łbie stawał.

Naraz — podbiegał ku oknu, opierał na nim przednie swoje łapy, podnosił uszy i patrzył poważny, melancholiczny, zadumany niemal.

Prócz Tarnina i małego Rudi, odwiedzało mnie dwóch lekarzy: Mr Schütz, który mówił złą francuszczyzną, miał wielkie, białe ręce i pasł mnie morfiną; Mr Kottowitz, który mówił francuszczyzną jeszcze gorszą, rzucał oczyma po kątach, zażywał tabakę i ordynował pijawki. Specjalistą od pijawek okazał się niejaki p. Pechowitz, człowiek mocno wydłużony, kształt bicza mający, który nad obu doktorami miał tę wielką wyższość, że po francusku wcale nie mówił.

<sup>119</sup>Psyche (mit. gr.) — piękna kochanka Erosa, boga miłości, wyobrażana w malarstwie w postaci dziewczyny o skrzydłach motyla; również: personifikacja duszy, psychiki, stanu wewnętrznego. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Gnädige Frau (niem.) — Szanowna Pani. [przypis edytorski]

Mąż ten brał po guldenie za każdą pijawkę, do Kottowitza przemawiał półgębkiem, do Mr Schütza odwracał się wprost plecami i zdawał się być w przededniu zreformowania całej medycyny.

Ścisłe rzeczy biorąc, nie umiem powiedzieć, co mnie właściwie uzdrowiło: morfina, zła francuszczyzna, pijawki, czy też ich cena; dość, że podniosłam się z łóżka na fotel, a z fotela na balkon.

Na balkonie powitał mnie szczebiot jaskółek, których małe puszczały się już z gniazda, i buchający śmiechem gwar dziatwy, co się huśtała na desce u płota. Dzieciaków było czworo: trzech chłopców w kurtach tyrolskich i dziewczyna w miejskiej sukni z długim stanem, która ją serdecznie szpeciła. Kijanką wybijała matka chleb dla tej gromadki, całymi dniami piorąc bieliznę u rzeki.

Schyłona, w modrej swojej podgiętej spódnicy, po kostki w wodzie stojąca, podnosiła głowę od chwili do chwili, wołając na malców z daleka:

— Anton, ab!... Mitzel! na, wirst du schon sehen! Johann! um Gottes Namen!<sup>121</sup>

Johann w tej chwili właśnie wywracał pysznego kozła.

Kędzierzawa głowina i dwie bosc stopy błysnęły naraz w powietrzu, po czym wszystko przepadło kędyś bez wieści za płotem.

Obawiam się mocno, że imię Boże nadaremnie w tym wypadku wezwane zostało.

A za rzeką, wzdłuż skalnych gniazd Kaiserbergu, ciągnęły wozy z drzewem od lasu. Nie znam większych malkontentów na świecie jak wozy takie. Skrzypi to, piszczy, jęczy, skarży się bez żadnej folgi<sup>122</sup>.

Łańcuchami go zepniesz — gorzej jeszcze. Koń — oto mi filozof na takie rzeczy. Owsa nie wachnął, zgrzebla nie widział, a przecież idzie stoicko pod górę, wciągnąwszy w siebie boki schudzone, sierzchólów<sup>123</sup> pełne, rzemieniem otarte i wnrzywszy w ziemię łeb ciężki. Koło ucha wystrzępionego krwawo i obłożonego przez muchy wetknął mu gospodarz za wozem idący wesolą wiechę zieloną; ironia ta nie miesza go wcale.

Wóz skrzypi, konisko ciągnie, a góral potrzaskuje krótkim batem i z fajeczki pyka.

Hej, szkapo mazowiecka, nie masz się co skarżyć!

Z dawna już słyszałam o jeziorze Nusselsee, jeziorze tak małym, że w porównaniu z takim Attersee albo i Gmunden, łupiną orzecha jest prawie; odzyskawszy też trochę sił, postanowiłam odwiedzić je pieszo. Droga wprawdzie nieznaną mi była, ale o to kłopot tu najmniejszy.

Przed domostwem w Ahomort rąbał drwa dziad zgięty we dwoje. Garść tylko siwych włosów miał na głowie, pierś zakłęśłą, dychawiczną<sup>124</sup>, kamizelkę łataną; chude, bosc nogi tkwiły mu w drewnianych sandałach.

Wyschlými rękoma podnosił on siekiere nad głową i opuszczał ją z głośnym stęknieniem. Kiedyś słuchał, nie wiedział, co jęczy: drewno, siekiera czy człowiek. Choćby jęczało wszystko troje, zaiste, nie byłoby mi dziwno.

Kiedym go zagadnęła, czy by mi przewodnikiem do Nusselsee być chciał, dziad nieco głowę podniósł, siekiere w rozszczepionym zostawując polanie<sup>125</sup>.

Popatrzał na mnie, popatrzał w słońce i już mi coś odrzec się zbierał, kiedy z izby buchnął swarliwy głos kobiety.

— Hans Peter! A co, odpoczywacie? Do wieczora jeszcze daleko!

Stary głowę w ramiona wnrzył, jakoby się wskrósł ziemi przepaść chciał, a podjąwszy polano, o ligar<sup>126</sup> na trzaski je rozbił.

W progu stanęła gospodyni. Gdyby w nocy, sądziłbyś, że miesiąc wszedł — taką pełnią świeciła z dala twarz jej czerwona.

Wytoczyłam sprawę o Nusselsee; poszło jej to jakoś po sercu.

Fuknęła też od razu na starego, czemu siekiery nie kładzie, a potem do izby weszła, a wyniosłszy piękny czerwony parasol, zielonym sznurkiem związany, poczęła się rozwo-

<sup>121</sup>Anton, ab!... Mitzel! na, wirst du schon sehen! Johann! um Gottes Namen! (niem.) — Anton precz! Mitzel! Jeszcze zobaczysz! Johann! Na Boga! [przypis edytorski]

<sup>122</sup>folga (daw.) — wytchnienie. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>sierzchola (gw.) — sierść. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>dychawiczna — astmatyczna, dysząca. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>polano — kawałek drewna przeznaczony na opał. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>ligar (daw.) — drewniany, podłużny element, na którym układa się ciężkie przedmioty. [przypis edytorski]

dzić, jako to jest miłosierdzie boże, iż deszcz dzisiaj nie pada. Dziad tymczasem złożył drebka, zgranał wióry, siekierę do sionki<sup>127</sup> wniósł i spencer<sup>128</sup> na grzbiet wciągnął. Po czym sięgnął nad odźwieriek<sup>129</sup>, zdjął fajkę z krótkim cybuszkiem<sup>130</sup>, wytrząsnął ją, przedmuchał — i gotów stanął do drogi.

Przez las my poszli, w górę się wzięwszy, od siebie.

A las to był na bagniskach stojący, pełny źródeł podskórnych, mchów brunatnych i trzęsawicy grząskiej. Szelesty poników były z dala i łomoty trzaskających gałęzi borem szły, jakoby się drzewa za łby po gąszczach wodziły. Pełno w nim było ścieżek mylnych, przygodnie wydeptanych delikatną racicą sarny, ku zdrojowiskom, ku polankom świeżym przebierającej się z gęstwiny.

Była tam i dla ludzi drożyna<sup>131</sup>, a nie tyle drożyna, co jar strumienisty, kędy wody świeżo po deszczach szły, opłukując żwiry a kamyki ostre. Pod górę trzeba się było jarem tym piąć, z kamienia na kamień brać — i ostro trzymać jakoby na ślizgawicy jakiej.

Za nami, przed nami i w pobok jedlice stały gęste, jaśniejszym przerzucone grabem, a zbite ich korzenie, grudą się pod nogami ścieląc, nie pomagały do drogi. Od chwili do chwili, tam gdzie las rzedniał, nagle błękitność wśród drzew się rozlewała, a po skrajach płatały się złote nici blasków słonecznych, skośno już nad ziemią idących.

Wprędce też zmierzch począł się robić od gąszczu onego i ledwo się domyślać można było słońca, które za ścianą lasu na zachodzie gorzało.

Zrazu gawędziliśmy oboje. Hans Peter był rodem z Gossenau, ze swoich nie miał już nikogo; w Ahom za posługę łyżkę jadał i na noc przytulenie w obórcę; a kiedy mu tam roboty brakło do Perneg szedł, żwiry taczka wozic i przez arfy<sup>132</sup> je siać na gościńcu. Opowiedziawszy mi to, starowina sam do siebie mamrotać coś począł, a we mnie też zagadały własne myśli moje. A tak szliśmy w milczeniu prawie. Jar nasz wyprowadził nas na wyżynę, potem znów w kępy zapadł, kędy żaden głos życia nie dolatywał.

Dzikosć miejsca była niezrównanej piękności. Na oparzeliskach puściły się wilcze łyka, naparstnice i bluszcze, którymi cały las kapać się zdawał. Skalne odłamy tkwiły wśród bluszczów tych, jakoby na wielkim, rozbitym mogilniku<sup>133</sup> leżące.

Nie było tu ptaka, co by pieśnią ciszę potrącał i skrzydła na tych zmierzchach kładł; nie było powiewu, co by ją mącił; Hans Peter nawet zamilkł zupełnie. Aż tu naraz — jasno się zrobiło wokoło. Las cofnął się w siebie i zwinął jak czarna wstęga, odsłaniając przed nami stoczystość łagodną, od traw świeżych miękką, zstępującą ku dolinie zalanej różowym światłem zachodu. Kilka dębów starych, rosochatych stało tu jakoby na wiecu radzący, a pod nimi krokusy liliowe otwierały subtelne swoje kielichy.

Stanęłam tu i spojrzałam, spojrzałam i o mały włos, że się staremu Hansowi nie rzucałam na szyję — tak pięknie tu było! Przede mną, tuż u nóg moich, srebrna toń jeziora drżała lekko w łunach zórz gasnących, jakby w nią kto różowych gwiazd nasypał.

Czarny Rabennest i Lorsberg, posępną zielonością odwiecznych świerków odziany, stały tam, patrząc w tę szybę wodną — jakoby w żywą źrenicę, w której się palą duszy promienie. Z trzech stron skały zamknęły do jeziora przystęp; z czwartej — dolina owa dawała mu wolny dech na świat boży. Po szczytach Rabennestu paliły się jeszcze ostatnie dnia blaski, odrzucając potężne cienie; wszystko tu było ostre, skłócone z sobą; harde linie łamały się z sobą jakoby kark kręciły. W blaskach tych, na najwyższej iglicy, zarysowała się przez chwilę nieruchoma postać kozy; stanęła z głową odwróconą ku zachodowi, a potem przebyła samym środkiem ognistej strugi światła i przepadła w jarach tajemnych.

Gdyśmy oczy upojone zdjęła z skał tych czoła, jezioro moje ciche już było zagasło<sup>134</sup> i zachodziło tchem nocy.

A od lasu wyblękitniał się wschód i księżyc wstępował na rozjaśnione powietrze, i wiadać było, jak się chmurki leciuchne, srebrem szyte, do snu po górach kładły.

<sup>127</sup>sionka (daw.) — sień. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>odźwieriek (daw.) — odrzwia, oprawa drzwi. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>cybuszek — część fajki łącząca główkę z ustnikiem. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>drożyna — wąska ścieżka, dróżka. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>arfa — pochylona druciana siatka na ramie używana do przesiewania [przypis edytorski]

<sup>133</sup>mogilnik (daw.) — cmentarz. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>było zagasło (daw.) — forma czasu zaprzeczonego, dziś: zagasło. [przypis edytorski]

Wiekuistego piękna duch szedł z tajemniczych państw swoich i stawał groźny na skałach, i sine gwiazdy kładł im na czoła.

I bladły skały, i przechodziły w przejrzystość jakoby też duchy.

A zaś zstępował niżej i włókl za sobą płaszcz świerków czarnych, i grał na przedsennych szumach lasów nieśmiertelnej tęsknoty pieśń. I szła pieśń przez powietrze, trącając duchy jako lutnie i podniosła się pierś ziemi pragnieniem nieskończonym.

I zstępował niżej jeszcze i stopą cichą po jeziorze chodził, i milczeniem na świat powiewał, aby uspił bóle tych, którzy cierpią.

A kto widział go i słyszał, i czuł w onym zmierzchu letnim, ten dożył dobrej chwili życia swojego.

Kłęską wszelkich miejsc uroczych bywają w kraju tym kawiarnie. Niech trzy brzozy zejść się razem w kupkę, niech się pomiędzy skałami rozzieleni trzy garście ziemi, aliści<sup>135</sup> złata się tu cały ród oberżystów, ich *Mädchen*<sup>136</sup>, ich kury, ich pies, ich muchy i komary. Wnet stawiają szopę, wnet dom budują, wnet improwizują altanki. Wnet kupują wielkie zapasy cykorii, rozpalają ogień i przydymiają mleko. Aż tu już ściąga się od wschodu i zachodu krzykliwy tabor gości; jeden woła kawy, drugi piwa, trzeci *zablen*<sup>137</sup>. Mädchen traci głowę, biega, wydaje ci resztę z pieniędzy, których jej nie dałeś, i przynosi ser zamiast zapalek — słowem, zaczyna się panowanie najpospolitszej pospolitości.

Przed taką to kawiarnią, gwoli piękności miejsca świeżo zaimprowizowaną, siedział Hans Peter jedząc podwieczorek, podczas gdy ja na przewoźnika czekała. Do bułki, którą stare jego ręce, trzęsąc się, ku ustom niosły, zbiegła się cała gromada rabusiów. Zrazu i kogut miejscowy, i kury obchodziły go dyskretnie dokoła; potem jarzębata kokoszka odważyła się podnieść okruczę tuż przy jego wielkim, drewnianym sandale; wtedy to i reszta rzuciła się z całą zajadłością, porywając mu z rąk bułkę, skacząc na kolana, na głowę niemal.

Chciałam mu właśnie na odsiecz iść, kiedy przewoźnik łódkę odwiązał i przyparł ją do brzegu.

Łódka to była szczupła, lekka, a chody po jeziorze tym na pamięć znała. Kołysząc się też, jakoby z niechcenia, wody piersią sama garnęła pod siebie i wiosło nie miało co robić prawie. Fala podawała się miękko, jakoby pieszczoty pragnęła.

Naraz zakręciła się łódka; omijaliśmy przeszkodę jakąś. Zapytałam przewoźnika, co by to było.

— A drzewo, co by być miało? Zwali się w wodę z góry, to i leży.

— A czemuż ludzie nie uprzątą tego? Czyż im się nie przyda?

— *Gott bewahr!*<sup>138</sup> — to przecież cesarskie drzewo! Cały las porachowany i zapisany, i z rejestru trzymany!

— I z rejestru gnije?

— A niech gnije! Asterowa dotąd płacze po guldenach, co je sztrafem<sup>139</sup> zapłaciła za taki obalek<sup>140</sup> z wody. Cesarskie drzewo. Nie ma co!

Podpłynęliśmy do brzegu. Chciałam, aby i Hans Peter łódkę zabrał się z nami; stary się wzdrażał, ale nareszcie usiadł na brzeżku, trzymając w obu swoich trzęsących się i zgrzybiałych dłoniach bukiet świeżych leśnych kwiatów, którym sobie po drodze do Nusselsee zebrała. Na siwej głowie dziada księżyc kładł drżące blaski swoje i oblewał mu twarz wyschlą potokiem czystego światła. Hans Peter czuł się tym podrażniony, zaniepokojony jakoby; kręcił się, mruzczał, w bok poglądał, aż podniósł oczy ku niebu.

Kto wie, jak dawno nie patrzył już na nie, zgięty nad swoją taczka lub siekierą. Podniósł oczy i spuścił jakoby olśniony; potem znów podniósł i westchnął — i tak je już zostawił zawieszony na błękicie, pijące ciche światło miesięczne, pełne jakichś tępych, głuchych smutków. Tymczasem wiosło pluskało w uczyszoną toń jeziora, bukiet mój pachniał wiosną, a od gór, od lasów, niosła się pieśń nocy.

Natura, Piękno

<sup>135</sup>aliści (daw.) — tu: a nuż. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>Mädchen (niem.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>zablen (niem.) — reszta. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>Gott bewahr! (niem.) — Broń Boże! [przypis edytorski]

<sup>139</sup>sztraf (daw.) — grzywna. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>obalek (daw.) — drzewo wyrwane z korzeniami przez burzę. [przypis edytorski]

Hans Peter słuchał, słuchał, aż wreszcie oczy kulakiem<sup>141</sup> otarł.  
Ot, z rosy może!

7

*Kościół w St. Wolfgangu — Tryptyk — Szkolna przygoda Świętego — Skarbczyk — Widok na jezioro — Ave Maria — Szwajcar hotelowy i jego kość grzbiecna — Znaki czasu — Gniewy i żale — Ostatnia rozmowa.*

Cisza była i zmierzch w wielkiej, pustej nawie pobenedyktynskiego kościoła w St. Wolfgangu, kiedy ciężkie drzwi boczne, do niej wiodące, otwarły się przede mną, zgrzytając na zardzewiałych zawiasach.

Nabożeństwo wieczorne skończyło się przed chwilą; organy drżały jeszcze ostatnim akordem psalmu, pod sklepieniami chodziły dymy sine, woń mirry niosące, powietrze nie ochłodziło od żaru westchnień tych, co się tu prostym sercem modlili. Od ścian poczerniałych szedł mrok i osiadał na ławach pustych, a migocąca żółtym płomykiem lampa rzucała niepewne błyski na wypełzłe kobierce i wyżłobione tafle kamiennej podłogi. Z zachodu tyłko, wąskim, wysokim oknem gotyckim bił światła snop — i zażęgał ogniem potężny tryptyk, wznoszący się w głębi nawy, wprost chóru.

Główną część tryptyku tego zajęła grupa figur, jakoby z ołtarza Mariackiego żywcem tu rzuconych.

Snycerz to był nielada, co te postacie w drzewie ciął, a misternym je malowaniem oblekał; Stwosów<sup>142</sup> to uczeń może — a kto wie, może i sam mistrz. Jemu to właściwa ta potężna ekspresja oblicza i gestu, ten układ, pełny ruchu i życia, a nawet te ciężko łamiące się draperie i realna codzienność twarzy.

Zagadnąć o to nie miałam kogo; ale wrażenie głośno mówiło za tym domysłem, który utwierdził się jeszcze, kiedym, obszedłszy tryptyk, znalazła się wobec dwóch aniołów, po bokach jego stojących.

Anioły to, co mogły się pasować ponocną tajemniczą walką jakubową ot, choćby z Tatarzynem dzikim — i na kresach stać, i mieczem pod księżycowy nów błyskać. Twarze ich męskie, surowe, skrzydła — jak na bój husarski wzniesione, szaty ciężkie, nie wzlotowi, lecz dostojnym krokiem podatne. Duch Stwoszowy bił na mnie z każdego rysu ich oblicza, z każdej fałdy draperii, z układu włosów nad czołem przyciętych, a na ramiona puszczonech, z tej słowiańskości typu, która uderza czymś silnym a smutnym.

Kiedym tak stała w głębokiej zadumie, opamiętać się jakoś nie mogąc, stary zakrystian kichnął tak potężnie, jak móżdziej na rezurekcję bijący. To mnie przywołało do rzeczywistości. Snop światła zagasał na bocznych drzwiach tryptyku, zapalając różnymi ogniami złocenia ich i lazury; w kościele robiło się coraz ciemniej. Skorzystałam z ostatnich blasków dnia, aby obejrzeć obrazy, po ścianach prezbiterium wiszące. Były to sceny z życia św. Wolfganga, które naiwny malarz długimi napisami opatrzył. Na jednym z pierwszych płócien widzimy wnętrze ubogiego domu, gdzie się wychowuje przyszła chwała benedyktynów. Zrazu wszystko idzie wybornie. Mały Wolfgang — jest to tłusty chłopczyna, mający białą pościółkę, starą nianię i ojca w zielonym spencerze. Wprawdzie uparty jakiś promień pomarańczowego światła prześladowuje go ciągle, świecąc mu prosto w oczy, gdy śpi lub igra z kundlem domowym; ale któż jest wolnym od wszelakich życia przykrości? Niebawem jednak zaczyna się cały szereg prawdziwie tragicznych wypadków. Oto rodzice Wolfganga odprowadzają go do szkoły benedyktyńskiej; malec płacze, kundys biegnie za nim z miną niewróżącą wiele współczucia dla wyższej oświaty, stara piastunka wyciąga ręce z oddali. Co najsmutniejsza, ów promień pomarańczowy, który teraz właśnie powinien by świecić najjaśniej, mdleje i zaciiera się do niepoznania.

Posępne skutki tego obrazu dają się wkrótce ocenić; bo oto dwa, trzy płótna dalej, widzimy też samą klasztorną szkołę, na której drzwiach wypisano ogromnymi literami

<sup>141</sup>*kulak* — tu: pięść. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*Stwosch, Wit* (1448–1533) — niemiecki rzeźbiarz, grafik i malarz, wybitny przedstawiciel późnego gotyku. Jego syn, Jan również był rzeźbiarzem. [przypis edytorski]

*silentium*<sup>143</sup>, a u drzwi tych, plecami do nich zwrócony, stoi mały Wolfgang z zapłakaną twarzą i z węzłkiem chudoby<sup>144</sup> swojej pod pachą.

Biednego wędrowca zdaje się nagle do wyjścia mnich tłusty, z obnażoną z kaptura głową łysą, z twarzą gniewem zapaloną, z ręką wzniesioną, jakoby od zamachu stygnącą. Nieład włosów chłopięcia zdradza, iż ciężka ta, żylasta ręka starego benedyktyna była z nim przed chwilą w więcej niż wypadkowym zbliżeniu.

Pomarańczowego promienia — ślad ledwo.

Co malec zbroił w szkole, nie wiadomo; owo *silentium* strzeże po dziś dzień tajemnicy; widoczną atoli jest rzeczą, że tylko kundys i piastunka stara ucieszą się powrotem pacholęcia<sup>145</sup>; co do rodziców, a zwłaszcza ojca w zielonym spencerze, to daj Boże, aby na powitanie nie dołożył coś więcej do benedyktyńskiej pamiętki.

Dobre to jednak były te stare czasy, w których wypadek podobny nie przeszkadzał bynajmniej zostać profesorem, biskupem, a nawet — świętym.

Na jednym bowiem z dalszych obrazów widzimy, jak młody Wolfgang obejmuje katedrę nauk wyzwolonych w Berkenau, jak potem z rąk Ottona Henryka bierze regensburskie biskupstwo, jak wreszcie z pustelni swojej w Finster Waldau, w benedyktyńskich sandałach przechodzi po wierzchu jeziora, udając się do Friulu i Pipinheimu. Właśnie się sandałom tym przypatrywała<sup>146</sup>, kiedy szmer jakiś dał się słyszeć w proggu. Drewniane podeszwy stuknęły po kamiennych płytach, a we drzwiach, przez które wpadły różowe łuny zachodu, ukazało się pięć, sześć główek dziecięcych. Malcy się szturchali, szeptali między sobą, ciekawi, co też w pustym kościele, kiedy organista nie śpiewa, a dzwonnik nie dzwoni, tak długo robić można. Za dziećmi wpadł wróbel. Jak czarna błyskawica obleciał gzymsy i siadł, świergocąc, na hysej czaszce benedyktyna, którego mistrz jakowys kamienskiej sztuki postawił był u ołtarza z rozciągniętymi ramionami.

Tymczasem stary zakrystian zaczynał także znajdować nudnym przydłuższy pobyt w kościele; kaszlał więc, spluwał, kluczami brząkał, a tak wyszliśmy wszyscy. Mnich tylko został kamienny i wróbel.

Zewnątrz tynki i bielidla pozacierały prawie zupełnie starożytnie cechy tej świątyni; skarbczyk się tylko dawny uchował w poczerniałej śniedzi<sup>147</sup> wieków cegle; ale nie miał on już co zamykać ani czego strzec.

Kilka spękanych płyt ciosowych, z zewnętrznych murów kościoła wydartych, walało się po nim, między deskami z mularskich rusztowań rozbitymi świeżo, kusząc oczy do odczytywania napisów, gotykiem rytych, na wpół zatartych, przez pleśń zjedzonych. Ale były to tylko głuche echa umarłej przeszłości, kilka imion, niebudzących dziś ani miłości, ani nienawiści, parę dat, ostygłych z łez śmierci i narodzin. Ciężkie odrzwia, piękną snycerszczyzną i misternym okuciem zdobne, prowadziły do skarbczyka tego, który też i za loszek do wina sługiwać kiedyś musiał, jak o tym świadczą wmurowane tu i ówdzie ligary i rozsypane po kątach obręcze a klepki<sup>148</sup>. Podobne, niższe tylko odrzwia, z zawias kędyś wyparte, stały u ściany w głębi, mając na czole trupią pajęczyną osnuty napis: *pax vobis*<sup>149</sup>.

Wkoło kościoła rozciąga się stary cmentarz klasztorny, obwiedziony murem wysokim, z przebitymi na wylot arkadami. Przez te arkady pada drżąca, błękitna jasność wód, pluszczących tuż u stóp góry, na której dźwignięto kościół. Wody te, to jezioro św. Wolfganga, które potężnym rozlewiskiem rozsrebrzyło się ze wschodu na zachód, od Strobl i St. Gilgen, aż ku Scharflingowi kędyś. Długości jeziora tego spojrzenie twoje nie przejmie ani przemierzy; ale szerokość łatwo ci przerzucić okiem i sięgnąć do skalnych gniazd, co stoją u przeciwnego brzegu, nieużyte, groźne, surowe.

<sup>143</sup>*silentium* (łac.) — cisza. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*chudoba* (daw.) — skromny dobytek, mienie ubogiej osoby. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*pacholę* (daw.) — chłopiec. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*właśniem (...) przypatrywała* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: właśnie (...) przypatrywałam się. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*śniedz* — jasnozielony nalot na powierzchni przedmiotów z miedzi i jej stopów, powstający wraz z upływem czasu. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*obręcze a klepki* (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: obręcze i klepki; *klepki*: deszczułki z twardego drzewa. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*pax vobis* (łac.) — pokój wam. [przypis edytorski]



Ku wschodowi tylko rozsuwa się granitów ściana i na łaskawszych gór stokach puszczają się lasy szumne, a pod nimi stoją w rosach świeżością dyszące jary, pełne tajemniczych cieniów, ptasich poświstów, woni kwiatów dzikich i upojeń życia. Hej, młody mnichu! Nasuń kaptur na oczy, a nie chodź tędy zmierzchem letnim, wieczorne pacierze szepcący. Bo zagoreją ci oczy i usta zapłoną, i pierś ci ruszą tęsknoty namiętne, i wyciągną się ramiona twoje, i luno gorące pójdą ci przez oblicze od krwi młodej waru, i modlitw zapomnisz, i własną głową mur ten roztrzaskać zechcesz. Wróć lepiej do stęchłej swej celi, a zamknij ją na wrzeciędz<sup>150</sup>, a piersiom swoim i porywom swoim daj napis: *pax vobis*.

Tam, tam, od St. Gilgen, od wschodu, puściła się łódź drobna, znacząc za sobą ciemniejszy gościniec wód rozbitych wiosłem. Kilku mężczyzn w zielonych spencerach siedziało w niej, paląc fajki. Łódź chwiała się wolnym ruchem; nikt jej do biegu nie naglił, za nią leżały zmierzchy liliowe, przed nią — ostatnie dnia blaski. Wtem stary dzwon benedyktyński huknął z wieży raz, drugi i trzeci. Umilkł, i znów huknął przeciągle, jęcząco. I odbił się głos jego o Leuchthurm ceglany, spośród jeziora zrywający się ku błękitom gotyckimi blanki — i ucichł.

I raz jeszcze huknął i rozbudził echa, w Falkensteinu skałach drzemiące, i poniosły się echa po górach i jarach, i zerwał się płacz w powietrzu, i skargi, i narzekanie i wrócił głos bić o kościelną wieżycę — i ucichł.

A łódź tymczasem płynęła wolno mdlejących blasków smugą; wiosłarze powstali i odkryli głowy.

Ave Maria!

---

— Dromionie, oskrob ryby! A ty, Macherionie,  
Wyjm kość grzbietową z szczupaka morskiego...<sup>151</sup>

Tak przemawiał do towarzyszków swoich Antrax w starej Plautowej<sup>152</sup> komedii. Zdaje się jednak, że ów biedak Macherion ogłuchł był nieco pod owe czasy, skutkiem loskotu żarn piekarskich, obracanych przez Plauta, i zamiast ze szczupaka morskiego, wyjął kość grzbietową ze szwajcara hotelowego w St. Wolfangu.

Oto siedzi na ławce u zajazdu, zasepiony, zły czegoś, kwaśny.

Ręce trzyma w kieszeniach, spluwa na prawą i na lewą stronę, ale widocznym jest, że mu to małą zaledwie ulgę przynosi. Patrzy na Schafberg: góra stoi, jak stała, przekłeta oberża na niej stoi takież<sup>153</sup>; odwraca tedy głowę i gwizdże przez zęby.

Wtem słychać nadjeżdżające powozy. Szwajcar<sup>154</sup> się zrywa, przykładą rękę do oczu i od razu poznaje, że to są Anglicy. Podbiega tedy rozpromieniony, rzuca się prawie pod konie, staje u drzwiczek zgięty, złamany w pół, w troje, w czworo — i jeszcze trochę. Migdałowa jego, dobrze tresowana kapota, sama się na kark zasuwa; poły jej przednimi końcami sięgają piasku, jak również ręce jego, wychodzące z ramion, tuż pod uszami wtulonych.

Oczy przymknięte, twarz błogości pełna, usta namaszczone słodyczą.

Goście wysiadają, on ściele się przed nimi, uniestwia, dech traci, nie śmie patrzeć, jest niczym, albo i mniej jeszcze. Wyszli i weszli wreszcie, a szwajcar zwraca się za nimi w tej samej złamanej postawie i stoi tak jeszcze chwilę. Nareszcie odprostowywa się, podnosi głowę i spostrzega stajennego chłopca, pięknego, smukłego górala w kurtce tyrolskiej, który, patrząc na niego z drwiącym uśmiechem, gryzie pestki i pluje nimi tuż pod nogi wielmożnego szwajcara.

<sup>150</sup>*wrzeciędz* — dawne urządzenie do zamykania bramy lub drzwi od wewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Dromionie, oskrob ryby! a ty, Macherionie, Wyjm kość grzbietową z szczupaka morskiego...* — Plaut, *Skarb* (łac. *Aulularia*). [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Plaut, właśc. *Titus Maccius Plautus* (ok. 250–184 p.n.e.) — komediopisarz rzymski, autor ponad stu sztuk, w większości przeróbek komedii greckich; na swojej twórczości dorobił się dużego majątku, który zainwestował w handel morski i stracił; miał zatrudnić się wówczas w młynie przy obracaniu żaren; w wolnym czasie napisał kolejne komedie, których powodzenie pozwoliło mu odzyskać niezależność finansową. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*takież* (daw.) — również. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*szwajcar* (daw.) — odźwierny, portier. [przypis edytorski]

Nadał się pan w liberii, ręce w kieszenie zasadził, brwi zmarszczył, poczerwieniał z gniewu i podniósł wysoko twarz swoją spłaszczoną, udając, że mu nikt nigdy jako żywo kości grzbietnej nie wyjmował.

Biedny szczupak!

Wyprawa moja do Wolfgangu była ostatnią większą z Ischlu wycieczką. Czas naglił, kilka już dni tylko dzieliło mnie od chwili wyjazdu.

Żał mi było rzucać te miejsca, wyznaję. Owego modnego Ischlu, z jego promenadami, pięknym światem, komerażami<sup>155</sup>, nudą i czczością zebrań — nie zaznałam prawie, ale żał mi było gór i lasów, ścieżek niedeptanych, wesołego „jodlera”, dalekich strzałów huk, dziatwy zdrowej i czystej, kaskad po jarach bijących, dzwonek trzód, łąk świeżych, domków zgubionych w zieloności, parasoli nawet.

Tęgo mi było żal i za tym oglądały się oczy moje, kiedy mi zebrać się przyszło i dalej precz jechać.

Byłże mi nie na rękę, nie w ład, wyjazd ten!

Na półku, za lasem, za paprociowym wzgórzem, niesprzątnięty owies czerniał jeszcze, na chojczkach<sup>156</sup> obłamanych, wbitych rzędem w ziemię, złożony, a wróble, zlatujące się gromadą, skubały, okradając ziarno.

Stary Sebald strugał właśnie najpiękniejszą kozicę z lipiny i najmniejszym z dłupek swoich suchą jej główkę ożywiał podłużną żrenicą.

Kwiaty leśne nie okwitły, na łąkach brząkały grabliska; na nowej drodze ku almom drwale las cięli, kładąc na powal jedlice, z których ciekły smolki białe i krzepły w jasne bursztyny.

Nie przeszumiały zdroje, kaskady z gór nie spadły; woń samotności, woń zadumań cichych, biła na mnie z każdego jaru, z każdego załomu, po których chodziły oczy moje, ucząc się kształtów ich i światła, i cieniów — a jakoż mi żal być nie miało.

Mieszkańcowi równin jest przyroda matką karmicielką, z łonem płodnym, z poważnym a jednostajnym obliczem; tu, w górach, jest ona człowiekowi kochanką piękną, a kapryśną, której pieśczoła upaja urokiem niezrównanej świeżości i siły.

Tu cię ona opasze uściskiem horyzontów zwężonych, które cię obejmą i tulić się będą do ciebie, na piersiach kładąc ci chmury, a na ustach różowy płomień zorzy alpejskiej. Tu, przed oczyma twymi jak włosów płaszcz, rozrzuci po ramionach góry las ciemny; tu ci się kryć będzie za mgły i srebrne zasłony i hukać, i pluskać się, i wabić jak rusalka w strumieniach chłodnych.

Coś namiętnego chwytasz w piersi i z każdym odetchnieniem puls życia czujesz w ziemi, którą depce stopa twoja, i słyszysz szelest skrzydeł własnej duszy.

Ostatnie dni pobytu mego w Ischlu przebłysły mi na żegnaniu ulubionych zakątków po górach i lasach. Zachodziła jesień. Wrzosa zakwitała różowo, zieloność drzew mienić się poczyniała, konopie wyziewały wieczorami przenikliwe wonie. Na Hochjochu, na Langewandzie, na Rasbergu, na Jägerze gęste strzały biły co dnia, pod noc zwłaszcza albo świtanem.

Przed domostwami słychać było stuk siekiery, obrabującej z korzeni wykarczowane wiosną pnie smolne; nad rzeką zbijano pośpiesznie tratwy; szluz „Choryńskiego” huczła, spławiając lasy; starsza dziatwa ciągnęła z wózkiem na zbieraninę suszu i mchów do utykania obórek a szop<sup>157</sup> rozlicznych. Grube trawy, na wpół przewiędłe, chwymano o południu na świeżą paszę; u okien suszyły się pęczki mietlic srebrzystych, pełnych siemienia dla domowych czyżów, piegży i rudzików. Ogarniano się, tulono, gromadzono skrzętnie zapasy.

Miasteczko pustoszało także. W hotelach kelnerzy ziewali przed bramą, nie mając obsługiwać kogo; w willi Sikingen szwajcar, zrzuciwszy liberię, kosił z nudów trawnik zarosły; handlarze ogłaszali wielkie wyprzedaże małych towarów, letnie mieszkanie arcyksięcia Rudolfa stało pustką, a kto chciał stracić guldena, mógł obejrzyć seledynowe kotary sypialni i spróbować fortepianu w salonie. Wszystko to były znaki czasu.

<sup>155</sup>komeraż (daw.) — intryga, plotka. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>chojczek — mała sosna, świerk. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>obórek a szop (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: obórek i szop. [przypis edytorski]

Tymczasem góry moje i lasy, jakoby też nierade z odejścia mego, zaczęły się czegoś chmurzyć, kwasić, zasępiac mgłą siną. Dymy z nich wieczorami szły i zmarszczenie jakieś; Rettenbach huczał gniewnie; Dachstein, widny z zachodniej Sterzena strażnicy, chmurami się odział i na świat patrzeć nie chciał; świerkowe lasy wpadały w długie zadumania, stojąc dniami całymi bez tchu, bez szelestu. Chodziłam teraz po górach, pokorna i cicha, oddając ducha mego ich samotności potężnej, i chodziłam po lasach, tęskna i marząca, nie wiedząc, jakby zabrać ten skarb ukojenia, który mi dawała ich cisza.

Aż naraz — pękły te gniewy i kwasy, i deszcz się puścił rzewny, szlochający; zaszumiały drzewa i jary, a tak rozstawaliśmy się we łzach.

W wigilię odjazdu mego przyszedł do mnie Hans Peter. Zaturbowany był jakiś, żółty, zmęczony.

— A co? Pójdziemy gdzie znowu? — zagadnęłam go żywo.

Suchym kaszlem zaniósł się stary.

— A pójdziemy, pójdziemy — odpowiedział po chwili — jeno lasy zrąbiemy na drewnka, a góry rozkopiemy na żwiru, pójdziemy.

— Jakże wy tu zostaniecie przez zimę?

— A co? Będziemy wyglądać lata. Żeby tylko tyle roboty!

Stary machnął ręką.

— A gospodyni-ż wasza?

— Poszturchała mnie dzisiaj baba; a no, ze świata nie wypchnęła przecie; trzeba będzie do Pernegu. Czekać, czekać jeno, to się człowiek wszystkiego doczeka, nawet trumny. — Umilkł stary i trząśł głową siwą.

— A cóż jezioro nasze — rzekłam, żeby go rozruszać cokolwiek.

Hans Peter spojrział mi bystro w oczy, a potem rzekł z cicha:

— Pan Bóg po nim chodzi.

## II. WENECJA — WERONA — ROVEREDO

*Znaki miejsca — Przez Karyntię — Treviso — Mestre — Noc wenecka — Poranek — Wrażenia z Placu Świętego Marka — W kościele — „Credo” tenora.*

— *Evviva l'Italia!*<sup>158</sup> — zawołałam z głębi duszy, kiedy pociąg nasz ruszył sprzed stacji granicznej w Pontebba, gdzie z ust brudnego fakina usłyszałam pierwsze *si, signora*<sup>159</sup>.

Ale dopiero wtedy, kiedy mnie w Mestre zaleciała mocna woń nieświeżej już oliwy, poczułam naprawdę, że jestem we Włoszech. Tego bowiem konduktora, co w Gemonie mnie i towarzysze mojej dał za trzy liry osobny oddział „dla dam”, na którego drzwiczkach stało jak wół: *pei fumatori*<sup>160</sup> — uważam za typ międzynarodowy i wcale go za produkt lokalny nie liczę. Jeszcze nie miałam czasu wysledzić w Mestre, skąd owa charakterystyczna woń bije, kiedy pod jego oszklonym podjazdem rozległ się okrzyk: *par-ten-za*<sup>161</sup>!

Z okrzykiem tym oswojoną już byłam. Od Pontebby począwszy, leciał on za nami, odbity jak piłka od skał i dzikich jarów Karyntii, i rozbrzmiewał ostro w klasycznym powietrzu Italii, przedzielonym dwiema żerdziami i łańcuchem od powietrza romantycznego. A tak ledwo gdzie tchu chwyciwszy, pędziliśmy przez dolinę Felli, Chiusaforte, Resiutę, Gemonę, wpadając spod nagłych błysków wód w długie zaćmienia tunelów, w których czeluściach roiły się za nami iskry, jako pszczoły złote, i obsiadły strop kamienny, i gasły.

Od szarego ranka byłam już w drodze i czułam trochę zmęczenia. Zrazu mgły jeziorne wlokły się za nami całym taborem od Goisern i Anzenau. Towarzystwo drzemało w wagonie, a kto się zbudził na chwilę — poglądał w okno, wzdychał i ziewał. Jedno tylko młode małżeństwo opierało się czas jakiś tej powszechnej drzemce, aż i ono zasnęło cnotliwie, z głowami odrzuconymi każda w inną stronę.

Ku południowi miało się już chyba, kiedy nagłym błyskiem słońce rzuciło się z góry.

<sup>158</sup> *Evviva l'Italia!* (wł.) — Niech żyje Italia! [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *si, signora* (wł.) — tak, pani. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *pei fumatori* (wł.) — dla palaczy. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *par-ten-za* (wł.) — odjazd. [przypis edytorski]

A byliśmy już wtedy u stóp Setalskich Alpów, gdzie w potężnych dymach stały wielkie indenburskie huty. Mur odbił się i został na prawo kędyś za nami, a w dalekich szumach wód jego słycać było jakoby natężony brzęk harfy i miłosne strofy Ulricha<sup>162</sup>, króla minzengerów<sup>163</sup>, który tu, w Frauenburgu, gniazdo swoje miał. A kiedy tak słońce patrzyło rozjaśnionym w chmurach okienkiem, mgły poczęły zwiącać na gwałt brudne swoje płachty i manatki — i wynosić się za góry, za lasy, z takim pośpiechem, że już Einöd stanął nam widny na oko z pustelnią swoją smętną, a wieżycy Friesachu, co przeciw nam szły, całe się złotem trzęsły jak tiary na kamiennych głowach.

Zamczysk starych, w rozsyp a w gruz idących<sup>164</sup>, na podziw dużo. Po skałach Karyntii siedzą one ogłuchłe i ślepe jako sępy siwe, i w księżycowe noce prawią dziwne baśnie, od których powietrze balladami pachnie.

O nazwy zamczysk tych a rozsypanych klasztorów dopytać mi się nie przyszło, ale wiem, że teraz na imię im ruina.

Jest tu i Ossiak kędyś<sup>165</sup> i jezioro jego ulane z łez skalnych, w Gerlitzkich Alpów korzeni.

Gdyby mi wola, szłabym tam była słuchać królewskich westchnień i płaczów, co się po górach wieszają zmierzchem mglistym. Bo i ja też mam piersi skarg pełne, i ja też z krainy pokutników idę, i jestem z rodu ich, i z win, i z nadziei.

Ale droga moja już mnie do Villach porwała, przeskakując Drawę i pod Dobraczem lecąc na złamanie karku, aby wpaść w dolinę cichą i rozjaśnić się wśród jej zbóż i sadów, i minawszy Tarvisio, stanąć na dziale wód, które się tu między Morzem Czarnym i Adriatyckim ważą.

Chwila namysłu, spoczynku i razem z Fellą rwącą w szumach i w pianach ku Adriatykowi spadamy.

Tymczasem zmierzch, co się już w górach Karyntii był podniósł, szedł przed nami coraz chmurniejszy w sobie. Poza Resittą i Gemoną Alpy cofnęły się wstecz, a podgórzem rozsypisk, pełnym jako bojowiskiem olbrzymów, szła noc ogromnym krokiem.

Spuściłam szybę, chłód był i cisza. Na niebie paliło się gwiazd kilka.

Podniosłam głowę, aby patrzeć na nie i myśleć o tych, co ich nie widzą wraz ze mną.

Naraz — zapłomieniło się w powietrzu cichym...

Pod luną zamajaczyły dwie, trzy wieżycy, a niżej kadłub kamiennego miasta siadł w cieniach.

Konduktor krzyknął: Treviso! Ale z podróżnych nikt tu nie wysiadał, a tak zostało za nami to miasto senne, z wyciągniętymi na noc czarnymi ramionami, złotą kopułą światła swych nakryte.

Do Conegliano lecieliśmy w trzasku, w iskrach i w dymie, aby tam usłyszeć owo niechybne: *partenza*<sup>166</sup> i rzucić się dalej — ku Mestre.

A w Mestre czuć już w powietrzu wilgotne tchy... więc serce mocniej bije i uczy się mówić: Wenecja...

Zapach oliwy na stacji kędyś przepada, podróżny wychyla się w zmierzchy i patrzy na rozlewiska one dziwne, rzucone niby tarcze srebrne przez morze, co tu niegdyś z ziemią walczyło. Przez rozlewiska te puszcza się wiadukt potężny, tęczą z żelaza i z granitu. Po nim, w grzmiących tętentach dolatujemy do dworca.

Mam ochotę być wspaniałomyślną i nie opisywać pierwszej mojej nocy weneckiej.

A jednak, zdaje mi się, że dotąd widzę tę bramę dantejską, którą nam po długim kołataniu otworzył rozebrany w trzech czwartych odźwierny, i słyszę zgrzyt tych schodów, prowadzących „w miasto utrapienia”.

Na ostatnim ich stopniu otwarły się drzwi skryte, aby nas wpuścić do pokoju, o którym niepodobna mi stanowczo twierdzić, czy był muzeum starożytności czy też gabine-tem zoologicznym.

<sup>162</sup>Liechtenstein, von Ulrich (1198–1275) — średniowieczny rycerz, autor dwóch poematów: *Służba damom* i *Księga dam*, pięćdziesięciu ośmiu pieśni, pan zamków Liechtenstein, Murau i Frauenburg, położonych w pobliżu Judenburgu. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>minzenger — średniowieczny poeta, twórca pieśni miłosnych. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>w rozsyp a w gruz idących (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś „w rozsyp i w gruz idących”. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>kędyś (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>partenza (wł.) — odjazd. [przypis edytorski]

Błękitne jego tapety w wielkie różowe kwiaty były miejscem najhaniańszych zasadzek na spokój podróżnych, a białe, niewinne koldry pokrywały plac rozpaczliwych walk, staczanych bez nadziei zwycięstwa, a nawet bez chwały.

Śniło mi się właśnie, że Wielki Inkwizytor, owinięty błękitnym płaszczem w krwawe róże, rozkazuje rzucić się na mnie stu tysiącom zgłodniałych tygrysów, za to, że ośmieliłam się powiedzieć, iż mnich jest także człowiekiem, kiedy potężny głos dzwona uderzył w powietrze i obudził ziemię i morze.

Zerwałam się z łóżka, na którym ostateczne tylko znużenie utrzymać mnie mogło i pobiegłam do okna.

Szereg pokręconych dachów, przejrzystych wieżyczek, glorietek i balkonów uderzył mnie przede wszystkim.

Uliczka była ciasna, patrzyło się w nią jak w studnię.

Do okna razem ze mną rzuciło się słońce, ogromne południowe słońce, które całą kulą na horyzont wybiega od razu i tkwi na nim jak rozpalony karbunkuł. A wnet też rozległo się wołanie: *buone fighi! fighi! uva dolce! uva!*<sup>167</sup> — i gwar, i śmiechy, i stukot kroków pieszych. A ja — widząc to wszystko i szepcząc — uwierzyłam, że jestem w Wenecji.

Najpierwszym staraniem naszym były przesiedliny, a podczas kiedy gondola czarna odnosiła rzeczy nasze do hotelu Britania, wyszłam, aby mieć pod stopami marmury i być gołębich skrzydeł trzepotem nakrytą.

Jest coś dziwnego w tym uczuciu, jakim przenikniony jest wędrowiec, stając wpośród miasta, o którym słuchał kiedyś rzeczy niezwykle i wyobrażał je sobie miastem w błękit rzuconym i niedosiężnym. A teraz przyszedł — i jest tu.

I przyniósł z sobą z ziemi dalekiej serce wykołysane zbóż jasnych szumem, i oczy, co za jaskółkami po kalenicach słomianych latały i upojone były sosnowych lasów zmierzchem.

Jest tu — i stoi — i patrzy — i myśli.

Dziwnego coś ma to w sobie, jakoby przymierzanie jawy do wysnionych rzeczy.

Kiedyś, w dzieciństwie, a i później jeszcze, wszyscy wielcy ludzie wydawali mi się jako już umarli, a wszystkie miejsca przeszłości pełne jako kamienne groby, a wszystkie rzeczy bohaterskiej miary jako minione.

Było im z tym w myślach moich dostojniej.

Więc dziś zadumałam się bardzo, widząc, że w tej Wenecji białej ludzie w sklepach stoją, towar sprzedają<sup>168</sup>, sery gryzą, wodę noszą; a miasto nie jest miastem umarłym i w uciszeniu stojącym, i nietkniętym od potrącenia czasów.

A tak, pomiędzy myślami moimi a rzeczywistością stanął w pierwszej chwili ton jakiś sporny i rozdźwięk.

Kto by chciał opisywać ten plac, który Wenecji sercem jest, podejmowałby rzecz dawno już zrobioną.

Co do mnie, powiem tylko, że kiedyś u północnego wejścia jego stanęła, wydał mi się ogromnym, a kościół o wiele dalszym niż był, a kampanila<sup>169</sup> jego — bardzo skrzydlata i w niebo idąca, tak powietrze modre w oczach mi grało, a światło przyrzucało przestrzeni. Więc szłam, jakoby przez nawę wielkiej świątyni, tłumiąc kroki.

Ale kiedyś po wielu godzinach w kościele przebytych, na stopniach jego stanęła z twarzą ku północy zwróconą, wydał mi się plac ten zagrodzonym nad miarę wolnego oddechu — i obstępionym bez wyjścia — i dusznym.

Może to królewskość w Prokuracjach<sup>170</sup> dysząca winną jest temu...

Z kościoła wychodzi się republiki pełnym.

Lwy tam jeszcze po marmurach ryczą, i pawie z piór strząsają gwiazdy sine, i miecz Morosiniego<sup>171</sup> leży, a w kamiennym podsieniu słyhać owo harde: *non tibi, sed Pietro*<sup>172</sup>, które klękającego przed papieżem bohatera na całą wysokość ludzką odprostowywa.

<sup>167</sup>*buone fighi! fighi! uva dolce! uva* (wł.) — dobre, pyszne figi! słodkie winogrona! [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*przedać* (daw.) — sprzedawać. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*kampanila* — dzwonnica kościelna charakterystyczna dla architektury włoskiej, wyodrębniona z bryły kościoła. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*Procuratie Vecchie* — budynek usytuowany wzdłuż placu św. Marka w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*Morosini, Francesco* (1618–1694) — doża wenecki, uczestnik wojny z Turcją, [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*non tibi, sed Pietro* (łac.) — nie do ciebie, ale do Piotra. [przypis edytorski]

Wschód tchnie tutaj na wędrowca z porfirów swoich i mozaik starych, a każda kolumna ma swoje sny o palmach i niewolnicą jest na służbie zwycięzców stojącą.

Chrystusy o ciemnych twarzach patrzą z den złocistych obrazów, a proroki stare w majestacie siedzą, a duch lata pod sklepieniami, natężony w sobie i płonący bardzo.

Cóż, kiedy na dole gwar i ruch rośnie — i zbiera cała ta powszechność życia, która w ludziach leży.

U drzwi zaraz obdartus chwyta cię za poły i przemawia do ciebie wszystkimi językami świata, i przemówiłby językiem rajskim, gdyby tylko Adam, ten z pysznej mozaiki, w atrium kościoła na sufit rzucony, miał tużurek<sup>173</sup>, w nim kieszeń, a w kieszeni — lira.

Bronisz się, chcesz być sam, ale zajadły oprowadzacz nie pozwala ci na to. Krok w krok za tobą idzie i na myśli twoje następuje wielką swoją stopą.

Jest on urodzonym nieprzyjacielem wędrowców zadumanych i cichych. Zaledwieś w kącie jakim stanął, wnet ciągnie cię na galerię, pokazuje wota w ołtarzach i trąci winem.

Odsuwasz się, lecz on jeszcze „nic dziś w ustach nie miał”; „mógłby mszę odprawiać, gdyby był księdzem”.

Na szczęście — nie jest księdzem.

Tymczasem kościół zaczyna się zapełniać.

Patrz tam, na prawo, kłęczy kobieta zakwefiona koronką czarną, pierwsza weneckanka prawdziwa. Plecami do ciebie zwrócona, ale odgadujesz, że zstąpiła z któregoś obrazu Tycjana<sup>174</sup> lub Pawła Weronieńczyka<sup>175</sup>. Na palcach idziesz, aby nie spłoszyć widzenia, i przypatrujesz się pilno, chociaż nic prócz zasłony obaczyć nie możesz, kiedy tajemnicza piękność wyciąga z kieszeni czerwoną bawełnianą chustkę i posługuje się nią w sposób grzmiący. Cofasz się — nie chcesz już widzieć jej twarzy; słuchaj, żółta jest jak cytryna i dosyć już stara.

Zaczyna się nabożeństwo. Gromadki mężczyzn i niedorostków przechodzą od ołtarza do ołtarza, gdzie ksiądz piękniej śpiewa, gdzie wiszą bogatsze wota; trącają się, wstają, wyciągają szyję, dobywają centy dla bosego braciszka, który z puszką chodzi, nagością czaszki swojej świecąc z dala.

Kobiety siadają u boków nawy, na kamiennych ławach, a poruszając wachlarzami, śmieją się i gawędzą.

Najpobożniejsza wzdycha albo ziewa.

Wtem organ się ozwał i zabrzmiały śpiewy. Wszystkie głowy zwracają się do chóru. O mszy zapomniano prawie. Piękny marynarz, w pośrodku nawy stojący, nuci półgłosem, a ksiądz, który w tej chwili wyciąga ręce nad ludem, płecy tylko wiernych spostrzega.

Muzyka piękna, ale zbyt teatralna; ani prostoty w niej nie ma, ani głębi. Poznajesz motywy w operach kiedyś słyszane.

To arie, nie hymny.

Nie, nie mogłabym przy tej muzyce upaść na kolana i wołać: „Boże, zmiłuj się nad nami!”.

Naraz uciszyło się w kościele — ulubiony tenor śpiewa *Credo*.

Dziwnego w tej chwili doznałam wrażenia.

Gdzie taka świątynia, gdzie taka ofiara, przy której by ludy wszystkie stanęły i wyrzekły: „wierzę”.

Przemienioną byłaby ziemia po nabożeństwie takim, lecz teraz wiarę narodów w duchów obcowanie, w wielkie zmartwychwstanie, obwieszczają światu tenory.

Z zadumaniem i goryczą opuściłam kościół ten i stałam w przysionku jego długo, z myślą wytężoną jak harfa, której struny przyciągnięto — aż do pęknięcia.

Dopiero barka ta, co pluszcząc, czekała u brzegu, podjęła się tulić mnie i kołysać, i koić, i pokazać mi rzecz dziwną i ogromną, i od wielkich większą — morze.

2

<sup>173</sup>tużurek — rodzaj okrycia męskiego podobnego do żakietu. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>Tycjan (1490–1576) — włoski malarz, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej włoskiego malarstwa renesansowego. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Veronese, Paolo (1528–1588) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy renesansowych urodzony i tworzący w Wenecji. [przypis edytorski]

*Nad morzem — Pływaczki — Barki iwaporetti — Z daleka i z bliska — Municipalność — Przyjazd królowej — Bohater chwili — Regaty — Daniel Manin.*

Jak pielgrzym wschodu, co w meczetu progach zostawia pyły podróźnych sandałów, tak ja — rzuciwszy u brzegów Lido barkę i wiosłarzy — ku morzu szłam, pociągana tchem jego dalekim.

Na prawo i na lewo — drobne, żółto rozkwitłe akacje prószły kwiatem skrzydlatym, a powietrze było ciche i bardzo niebieskie. Mnie czar jakiś ogarniał i gorącość wielka; i czułam, jak myśli moje w głąb idą.

Naraz — zrobiło się oczom moim przejrzysto i szeroko — i powiały na mnie ogromne oddechy, i dusza moja zaszła świeżością i blaskiem.

Morze szło ku mnie z pośpiechem wielkim, westchnieniami mówiąc do mnie, pełne niecierpliwych szepców i wewnętrznego<sup>176</sup> żaru. A kiedym się zbliżyła, przybiegło całą chyżością fal i otrąciło się o ławicę piasku, tuż u nóg moich; a zobaczywszy, iż w zadumaniu stoję, wstecz poszło i cofnęło się w szumach, modrych ogniów pełne.

A kiedym jeszcze stała, nadbiegło znowu z głuchym i natarczywym wołaniem. I zbliżyłam się na wołanie to, i posłyszałam dziwną pieśń, pieśń — przepaści.

Takiej pieśni słuchając, człowiek po falach chodzić by mógł i na powietrze tchnąć duchy mnogie, i posyłać wichry jako ptaki morskie — na wschód i na zachód słońca.

Bo w pieśni tej jest słowo potęgi, jakiej człowiek nie odgadł jeszcze w sobie. Ale odgadnie i stanie w mocy, i dojdzie miary, na jaką wymierzony był duch jego na początku.

Lecz teraz, gdyby mnie kto zagadnął, jak wyglądało to morze, nad którym zasłuchana stałam, nie wiedziałabym, co rzecz i jak je słowami pokazać.

Bo nie utworzył język ludzki słów takich, które by się podejmowały w głębiach — i falami szły — i uderzały o ziemię płaczem wiecznym — i odchodziły zawołane, ku wysokościom swoim.

Wiem tylko, że cienie i blaski szły po nim, jak po obliczu żywym, i że z goryczą wielką o brzegi biło, i pełne było głosów mdlejących i ostatecznych westchnień.

I podobnym było morze to rzeczom smutnym a mocnym, i rzeczom zakrytym przed oczyma naszymi dla wielkiej rozpaczycy swojej.

I było podobnym do miłości — z drgnień błękitnych na najgłębszej głębi; i do nienawiści podobnym było z pian i z mętnych zapędów, i z szelestów węzowych.

Wielkim poetą był Bóg, kiedy stwarzał morze.

On uczył je ciszy — jako niemowlę swoje, i ryku — jako lwa puszczy.

A teraz ludzie tu chodzą myśleć w głąb i wzwyż; a inni przychodzą puszczać oczy jak mewy głodne, po dalekości jego; i odejdą ci i tamci — i pomrą. A morze przyjdzie pytać o nich u brzegów; lecz pątników jednodniowych ziemi — kędyż imiona zakryte są przed prędkim wichrem zapomnienia?

Cudzego głosu było potrzeba i cudzej dłoni, żeby mnie wstrząsnąć i przebudzić, i przywołać z tego zapatrzenia się w głębinę.

Bom po raz pierwszy widziała coś tak wielkiego, iż można z tym było duszę zmierzyć.

A tak — odeszłam cicha, odciskając ślad stopy na mokrym piasku, aby fala, gdy przyjdzie, mogła coś zabrać ze mnie.

Gwar życia kąpielowego nierychło mnie ocucił w powrocie. A już brzeg morski rozkwitł tu był<sup>177</sup> jakoby wodnych tulipanów mnóstwem, które w kolorach swoich pod słońcem stały i chyliły się, i mieszały z wodą — i nikły — i znów wytryskiwały w oddali jak fontanny tęczowe.

Gdybym gustu do mitologii nie zgubiła kiedyś z kretesem, czytając klasyków naszych, powiedziałabym, że były to oceanidy albo nimfy wodne, lecz teraz muszę się wyrzec tej pięknej nazwy i po prostu przyznać, że to były pływaczki kąpiące się w morzu.

Jedne z nich, zarzuciwszy na sznur wyciągnięty nagie swoje ramiona, dały się unosić wód biegowi jako nenufary mdlejące, główką w tył przechyloną dotykając fali.

Inne — rzucały się do pływania namiętne, gwałtowne, a przezroczyta wód gaza zdradzała ich gibkie wygięcia i ruchy zuchwale — i rozsuwała się przed wzdętą piersią — i zamykała za pluśnięciem stóp drobnych.

<sup>176</sup>wewnętrzny (daw.) — wewnętrzny, w głębi duszy. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>rozkwitł tu był (daw.) — konstrukcja z użyciem czasu zaprzeczonego, dziś: „rozkwitł tu”. [przypis edytorski]

Piękno, Natura

Bóg, Artysta



Jeszcze inne — stały w miejscach płytkich, skulone, nieradne, nieumiejące zapragnąć wzruszeń szerokiej przestrzeni i swobody. Plecami odwracały się one od nadbiegającej fali i — widocznie — za wielkim było dla nich morze.

Kobiety to, co z każdej głębiny życia umieją zrobić sadzawkę zielonym mułem zarosłą, gdzie się pluszczą kaczkę.

Temperament jest tu zdracą, chwytającym niespodzianie na ostatnim stopniu drabinki z kabin wiodącej. Podstrzega<sup>178</sup> i wydaje jako mówiące zwierciadło.

Patrz, oto jedna z pływaczek zstępuje do wody z wolna, świecąc różową nagością wahającej się stopy w sandału z kukurydzowego łyka.

Zaslania się ona rękoma, iż słońce patrzy na nią; włosy jej, zwinięte wysoko, odkrywają piękny łuk pochylonej szyi, wzrok z natężeniem na wodę zwrócony, uśmiech załęknięcia na ustach.

Tuli się ona w sobie i zstępuje niepewna — z urokiem wielkim dla oczu.

Patrz, przeciw niej w górę biegnie szybko inna, sypiąc iskrami kropel rześzystych, wydatna rzeźbą ciała, świeża wzruszeniem. Fala goni za nią spragniona, rozkochana. Ale oto już i ciebie ogarnia pokusa rzucenia się w morze.

Jest coś rozkosznego w tym oddaniu się potężnym uderzeniom fali, w tym wyciągnięciu ramion do czegoś, co jest ogromne i tajemnicze, w tym zmieszaniu istoty swojej z szumem i odpryskiem wód, łamiących się na piersi jak kryształ pęknięty.

Pieszczota w tym ludzka prawie — i upojenie wielkie.

Wracających z kąpeli zaczepiają drzew cienie, przekupnie owoców i muszli.

Owocom oprzeć się niepodobna.

Kupujesz pyszne grono winne, którego każda jagoda jest rubinową lub słoneczną czarą, i idziesz z wolna, depcząc ruchomą przejrzystość zmierzchu, którą drzewa rzucają ci pod nogi. Barka twoja drzemie, a twoi brunatni *poppe*<sup>179</sup> w swych kolorowych koszulach, zabierają się do wiosłowania z tajemniczą miną, której zagadka rozwiąże ci się dopiero u *piazzety*<sup>180</sup>, kiedy będziesz musiał zapłacić w dwójnasób<sup>181</sup> umówioną cenę, pod pozorem, że zbyt długo zachwycałeś się morzem, i kiedy w dodatku jeden z nich będzie wołał: *per bere*<sup>182</sup>, a drugi — *per botiglia*<sup>183</sup>.

Kręcą się tu wprawdzie tańsze od bark małe parowe stateczki, po zatoce latające z pośpiechem, ale miłsza jest stokroć żegluga barką, która się za wolą twoją zwija i pozwala palcom twoim przesiewać błękitne iskry wód rozbitych wiosłem, i chwytac trawy morskie, i za twoim skinieniem chodzi, i kołysze cię, i koi, i utula. *Vaporetti*<sup>184</sup> za to owe gwarne są i wesołe — i ciekawe studia robić na nich można; byłyby nawet znośne zupełnie, gdyby dobrzy ci eks-republikanie palili trochę mniej demokratyczne tytonie i gdyby pies kapitana mniej mokre łapy opierał ci na kolanach.

Z daleka jednak *vaporetti* wyglądają bardzo interesująco.

Dziwna rzecz, jak dalece niebezpiecznym jest przypatrywać się czemukolwiek w Wenecji zbyt z bliska.

„Z daleka” — oto punkt widzenia właściwy tu zawsze i wszędzie. „Z daleka” patrz na Ca-d’oro, na fiorinę, na gondolę.

Inaczej — pałac wyda ci się rudera, kobietą niedomytą, gondola odrapaną, a tkliwy śpiewak serenady pod balkonem twego hotelu — fakinem<sup>185</sup>, pocącym się oliwą.

Są libertyni podciągający nawet municypalność<sup>186</sup> tutejszą pod kategorię rzeczy, którym się nie należy przypatrywać „z bliska”. Ile w tym jest złośliwego wymysłu, sprawdzić nie miałam czasu. Municypalność jednak widziałam, i to w pełnym komplecie.

Okoliczność była wyjątkowa.

Kobieta

Prawda

<sup>178</sup>*podstrzegać* (daw.) — podglądać, mieć kogoś lub coś na oku, uważnie obserwować. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*poppe* (wł.) — gondolier. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*piazzeta* (wł.) — placyk. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*dwójnasób* — dwa razy więcej, podwójnie. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*per bere* (wł.) — na picie, żeby się napić. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*per botiglia* (wł.) — na flaszkę. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*vaporetto* (wł.) — tramwaj wodny w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*fakino* (wł. *facchino*) — portier, dozorca. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*municypalność* (daw.) — urząd, urząd. [przypis edytorski]

Do dobrego miasta Wenecji miała przybyć królowa Małgorzata<sup>187</sup>. Przygotowań wielkich nie robiono wprawdzie, ale — iż dzień był świąteczny — tłumy pogarnęły się ku dworcowi.

Wielki kanał rozdzielił widzów na dwie części.

Jedna z nich poruszała się jak pstry gobelin na tle szerokich wschodów i kolumn świętego Symeona Piccolo, druga zajęła peron, grupując się u obu stron wejścia.

Było już trochę ścisłu i gwaru, kiedym się tam znalazła.

Rzekłam więc do pierwszego z brzegu mężczyzny: zróbcie mi miejsce, *signore!*, chciałabym zobaczyć waszą piękną królową.

Uśmiechnął się mój Włoch, coś nie coś do diabła podobny, zakrzętnął się, zagadał, jednego pchnął, drugiego szturchnął, i tak — za *tante grazie*<sup>188</sup> — dostałam miejsce tuż przy drzwiach, którymi królowa Małgorzata schodzić miała do gondoli swojej.

Po prawej i po lewej stronie stały dwa oddziały wojska, przy nich kręcili się młodzi oficerowie, podobni do żuków wiosennych, tak byli lśniący, tęczowi, szumiącymi szarfami skrzydlaci.

Na czole każdej sekcji dobosze i od złota kapiący trębacze, z piersią wysoko nabraną tchem mocnym.

Pomiędzy jednym oddziałem a drugim, przechadzała się starszyzna wojskowa. Byli to piękni, siwi wojacy, którym w czterdziestym ósmym roku inaczej podobno niż dziś serce biło; a teraz chodzą z głową spuszczoną ku ziemi, a na ustach ich błąkają się melancholiczne uśmiechy.

Dziwna rzecz, nie dostrzegłam w publiczności żadnego zapału.

Trochę ciekawości w spojrzeniach, trochę ironii na twarzach, oto wszystko. Pólsłówka latają jak chrząszcze złośliwe; mężczyźni szepczą, kobiety śmieją się i wdychają na przemian.

Zandarm nawet, co w czarnym kasku swoim z pływającym piórem ma być stróżem porządku i lojalności — trąca łokciem sąsiada i kiwa dwuznacznie głową albo przechyliła się przez ramię, żeby do ogólnej gawędki dorzucić dowcip lub uśmieszek, który tronu nie obali wprawdzie, ale świadczy, że królewskość nie zapuściła na lagunach głębokich korzeni.

Tu królem, po staremu, jest jeszcze zawsze — morze.

Pod jego to wóz srebrny zrywa się z frontonu św. Marka potężna kwadryga, z rozpuszczonymi na cztery wichry grzywami; jego to znak ten lew skrzydlaty, piastujący miecz i ewangeliczną księgę. Kiedy się ten król ruszy — ruszą się za nim Wenetów<sup>189</sup> serca.

A teraz ci widzowie królewskich wjazdów uśmiechają się tylko z leciuchnym<sup>190</sup> ściągnięciem ramion.

Na kanale tymczasem rośnie gwar i ruch.

Dworskie gondole pluszczą już u brzegu, a na każdej z nich czterech śmigłych wiosłarzy w czerwieni, przepasanych białą i błękitno.

Kilku poważnych mężczyzn przechadza się w oddzielnych grupach.

To municypalność miasta Wenecji.

Myślisz może — stara szlachta, strojna w owe „szuby czarne, na przodzie otwarte dla widzenia bogatej kamizeli”, do których na głowę szła „czapka — *an instar mitry* — czarna”.

Gdzie tam, dawno to już minęło! A z tej „signorii” starej ani dymu, ani popiołu. Więc może myślisz — dworacy we frakach? Boże uchowaj! Nie każdy nawet z tych ojców miasta ma całkiem czarny garnitur, a wielu wciąga rękawiczki sędziwe, którym się już dawno chleb zasłużonych<sup>191</sup> należy.

<sup>187</sup> *Małgorzata Sabaudzka* (1851–1926) — królowa Włoch w latach 1878–1900 jako żona Humberta I. Była pierwszą królową Włoch po zjednoczeniu. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *tante grazie* (wł.) — dziękuję bardzo. [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *Weneci* — lud zamieszkujący północną część Italii. [przypis edytorski]

<sup>190</sup> *leciuchny* (daw.) — tu: lekki, delikatny. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *chleb zasłużonych* (łac. *panis bene merentium*) — w XVI–XVIII w. uposażenie w królewskich osobach zasłużonych dla kraju, króla lub pełniących urzędy. [przypis edytorski]

Siwy posługacz wyszedł z dworca i rozciągnął stopkom królowej — ode drzwi po schodach — dość biedny, wąski, wypełzły już dywan, który wszakże mógł być szacownych wspomnień skarbnicą.

Uśmiechy na twarzach widzów przybrały wyraz pobłażania; trębacze mocno się nadęli i wystawili naprzód prawą nogę. Sygnał uderzył raz, drugi.

Zaczęto się oglądać po niezapalonych latarniach.

Wenecja nie jest podobno bogatą i sztukuje swoje bilanse jak może, więc i gaz zapala się tu w ostatniej chwili pomp wszelkich, gwoli oszczędności reprezentowanej tak przykładowo przez municypalne kapoty.

Naraz — wystrzelono z działa. Trębacze buchnęli narodowym hymnem, ojcowie miasta postąpili ku wejściu. A lampy jak ciemne, tak ciemne. Publiczność zaczyna wołać: „latarnie, latarnie!”. Zrobił się zamęt i hałas.

Nadbiega wreszcie z knotem na kiju zatłonym uwierzytelniony przy gazie fakino — i na łeb, na szyję zaczyna się związać, zapalając płomienie co drugi, co trzeci. Czas był najwyższy: młody adiutant, przebiegając z szalem królowej do gondoli, zobaczył, że jeszcze ciemno; chwycił się tylko za głowę i krzyknął: „latarnie!”

Nieszczęsny fakino w pośpiechu sam nie wie, co robi; ręce mu się trzęsą, nie może trafić z swym stoczkim — zapalił wreszcie trzy, cztery, sześć, siedem latarni... Jedna z największych po prawej stronie została jeszcze ciemną... — zdąży czy nie zdąży?

Biedny zapalacz utyka na nogę; ktoś z publiczności chce mu kij wyrwać i sam pośpieszyć ze światłem. Ale on za nic nie ustąpi praw swoich. Wtem daje się słyszeć szept głośny, potem cichszy: „królowa, królowa!”. Lecz wszystkie oczy zwrócone są na nieszczęsnego fakina, który z płomykiem swoim, stojąc na środku dywanu, sięga do niezapalanej latarni.

A tak stał się biedaczysko bohaterem chwili.

Małgorzata tymczasem szła z wolna, prowadzona pod ramię przez jakiegoś siwego dygnitarza, który kask swój wojskowy niósł w rękę.

Skromny, szary płaszczyk podróżny odziewał królową, z wielkim wdziękiem oddającą ukłony obecnym.

Za nią postępował jej syn, w kostiumie marynarza, a obok niego szła stara *principessa*<sup>192</sup>, krokiem sztywnym, trzęsąc głową siwą.

Municypalność zamykała pochód.

W chwilę potem plusnęły wiosła, a wielki kanał zajaśniał całym urokiem weneckiej regaty. Wśród syku rakiet i ogniów bengalskich rozsypywały się w powietrzu cichym brylantowe kwiaty królowej — stokrocie<sup>193</sup> — jednaką luną oblewając twarz Małgorzaty, *principessy* i republikańskie kapoty.

— Piękną macie królową — rzekłam do starego wioślarza, kiedy na Rialto brzeg naszej gondoli obtarł się prawie o burt dworskiej barki. Stary zmilczał — łódź tylko skręcił w bok i silniej wiosłować począł. A kiedyśmy się odbili od gwaru i wrzawy, i od świateł sztucznych, ujrzałam posąg biały — miesięcznym światłem nakryty, w majestacie wielkiej ciszy stojący. Stary wioślarz pochylił się wtedy ku mnie i szepnął głębokim głosem: „Daniel Manin<sup>194</sup>”.

3

*Czarna księga — Moja z Nowym Peregrynantem rozmowa — Merceria — Życie na ulicy — Sempre diritto — Trattoria — Plac św. Marka wieczorem — W ciszy nocy — Ponte dei Sospiri*

Na stoliku moim leży stara księga, dobrze już przez mole ruszona, której deski, czarną obciążone skórą, noszą ślady oderwanych klamer i rzemieni.

<sup>192</sup>*principessa* (wł.) — księżniczka, tu: Klotylda Maria Sabaudzka (zwyfikować). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*stokrocie* (daw.) — stokrotki. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*Manin, Daniele* (1804–1857) — patriota, mąż stanu, najważniejszy działacz na rzecz Zjednoczenia Włoch w Wenecji. [przypis edytorski]

Księgi tej tytuł jest *Nowy Peregrynant, starego świata Lustrator*<sup>195</sup> — a na pierwszej jej karcie dwaj orłowie<sup>196</sup> siedzą, trzymając w dziobach wstęgę ornamentu, nad znużonym już trochę okiem Opatrzności.

Otóż, kiedy na księgę ową spojrzałam, przyszło mi na myśl, że gdyby autorowi jej wpadły w ręce te moje świstki z podróży, dzielny ów mąż — silniejszy w heraldyce niżli w etnografii, byłby nimi niepomału<sup>197</sup> zgorzony.

A myśląc tak, zapatrzyłam się na orły owe i podparłam głowę ręką, i zadumałam się o czasach, kiedy ta księga młodą była.

I zdało mi się, że zacny Peregrynant wystąpił z wielkich liter na tytule, a stanąwszy z boku, przez ramię moje na kartki zapisane patrzył.

Patrzył, patrzył, uśmiechał się złośliwie i głową kiwał, aż naraz ręce w boki wparł i huknął z całym ferworem właściwym stylowi swojemu.

— Jak to! Asindźka<sup>198</sup> ruszyłeś się w peregrynację takową bez żadnej duchowej armatury<sup>199</sup>? Nie wzięwszy za patrona świętego Ekspedyta<sup>200</sup>? Ani wezwawszy na pomoc świętych Trzech Królów<sup>201</sup>?

— Panie — odrzekłam z pokorą — za jaskółkami leciałam, za obłokiem zachodnim. O świętym Ekspedycie — pierwszy raz słyszę, jak żywa, a królów nie wzywałam nigdy, bom z tych, co harde serca mają. Błogosławieństwo pól swoich i łąk swoich na drogę wzięłam, nosiłam je w piersiach z miłością wielką wśród obcych.

— Hm! — przerwał mi udobruchany Lustrator — nieźle się asindźka bronisz, a i to jej się chwali, iż księgę tę, w której ja esencjalne i osobliwe *scienda ex probatissimis auctoribus*<sup>202</sup> podaję pod ręką masz. Ano nie zawadzi z ojczyzny swojej *movens gressum*<sup>203</sup> benedykcyjną kościelną<sup>204</sup> wziąć, a obserwować pewne *regulas*<sup>205</sup>, aby nie powiedziano z cudzych krajów powróconemu, iż tam był *oculo spectator, mente incognitor*<sup>206</sup>. Tu zażył tabaki, w krześle siadł i tak dalej prawił:

— Przybywszy do królestwa lub prowincji jakowej, przywitać naprzód należy *Angelum Praesidem*<sup>207</sup> owej krainy lub miasta, bo i te mają *Angelos Custodes*<sup>208</sup>. Pamiętałażeś o tym, asindźka?

— Panie — przemówiłam nieśmiało — wiem, iż anioł każdego narodu żyw jest, choć nieraz omdlały i uśpiony w sobie. Tego anioła witałam wszędzie, gdzie mogła dojrzeć oblicze jego.

A bywało ono jak śmierć smutne — ale mocniejsze od śmierci. A widywałam go, wśród pól cichych, wodzącego pługi nocą na jutrzejszy plon, i wśród lasów niosącego się z szumem dębów starych, i widziałam go, gdy nad rzekami w pióra srebrzyste uderzał, i siadał na ruinach jakoby w płaczu wielkim... A pod zorzę ranną i świt wstawał ten anioł i budził ludzi do pracy na jutro dalekie. A ludzie mówili wtedy, iż słońce im wschodzi.

Chciałam mówić dalej, ale stary machnął niecierpliwie ręką.

Podróż

<sup>195</sup>*Nowy Peregrynant, starego świata Lustrator* — jeden z rozdziałów *Nowych Aten* ks. Benedykta Chmielowskiego, pierwszej polskiej encyklopedii. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*dwaj orłowie* (daw.) — dawna forma 1m rzeczownika orzeł, dziś: dwa orły. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>*niepomału* (daw.) — wielce, bardzo. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*asindźka* (daw.) — waćpani, dobrodziejka. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*armatura* (daw.) — uzbrojenie. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>*św. Ekspedyt* — męczennik chrześcijański i święty Kościoła katolickiego, patron studentów, egzaminatorów, a także spraw trudnych i beznadziejnych. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>*Trzej Królowie* — in. Trzej Mędrcy, według tradycji chrześcijańskiej osoby, które miały podążać za Gwiazdą Betlejemską, przybyć do miejsca narodzin Jezusa Chrystusa i przekazać mu dary. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>*scienda ex probatissimis auctoribus* (łac.) — wiadomości z licznych wypróbowanych autorów. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*movens gressum* (łac.) — stawiając kroki. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*benedykcja kościelna* — błogosławieństwo. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*regula* (łac.) — norma, wzorzec. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*oculo spectator, mente incognitor* (łac.) — oczami widzący, zaś umysłem niepojmujący. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*Angelum Praesidem* (łac.) — Anioła Obrońcę. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>*Angelos Custodes* (łac.) — Anioły Stróżę. [przypis edytorski]

— Sedycyje<sup>209</sup> to są a<sup>210</sup> misterstwa<sup>211</sup> słów próżne, którym się tylko białogłowskie<sup>212</sup> rozumi, iż krótkie<sup>213</sup> są, poddają. Ano, powiedzże mi, asińdzka, czy też stanąwszy w krainie jakiej cudzej, zakładałaś najpierwszą swoją *curiositatem*<sup>214</sup> w tem, jak się kraina owa zowie, jak się przedtem zwała, dlaczego ta stała się imienia mutacja? Jaka tam religia, jaki status, jaka *acria*<sup>215</sup>, jaka długość i szerokość granic? Jak dawne królestwo to? *Ex quibus initiis*<sup>216</sup> powstało lub upadło? Co tam za wojny i *eventa*<sup>217</sup> trafiły się, i w czym ta Nacyja nad inne *excellit*<sup>218</sup>.

Boże miłosierny! — pomyślałam ze skruchą, nawału pytań tych słuchając — ani mi do głowy nie przyszło dowiadywać się gdziekolwiek o tym wszystkim. Że jednak obawiałam się z nieświadomością taką przed Peregrynantem moim wydać, więc pomyślawszy mało — odrzekłam:

— Wiem, panie, że po ziemi duch twardy chodzi z mieczem, i krainy ciche odcina od imion ich i zaciera imiona te żelaznym palcem. Wiem, że religiją w krainach takich jest płomień gorejący ku imieniowi onemu, i że powietrze tam narzekań i smutku pełne, a długość i szerokość granic ludzie tam po mogiłach mierzą. Wiem, że państwa z początków wielkich powstałe zwijają się, jako liść jesienny, ku zdeptaniu; i to wiem, że ten naród nad inne celuje, który sprawiedliwość za fundament ma.

Słuchał mnie stary z twarzą chmurną i gorzką, i zwiesił głowę — i milczał. Aż po małej chwili, ocknąwszy się jakoby, rzekł nagle.

— Z wielką modestyją<sup>219</sup> rzeczy takie obserwować należy; a z cudzoziemcami zbytnio o nich nie dyskurować<sup>220</sup>. W fakcycje<sup>221</sup> też żadne nie wdawać się — bo w cudzych krajach jest rygor wielki na swawolnych i rychła<sup>222</sup> suspicyja<sup>223</sup> być może.

Na co, gdym ja oczu pochylonych nie podnosiła, tak dalej prawili:

— A wszakże, nie powinno było *figere notitians*<sup>224</sup> asińdzki, co za kondycija ludzi i obywatelów krainy, jakowej jest, i w czym ich cnota i pochwała *consistit*<sup>225</sup>. Jaki ich genijusz, sposób i ku Panu wierność. Jakie gdzie mury, *fossa defensa*<sup>226</sup>. Jeśli miasto, kiedy i od kogo w oblężeniu było. Czy szturm wytrzymało *glorioso*<sup>227</sup>? Jakie tam akademije, jak dawne, i od kogo erygowane<sup>228</sup>. Co za profesorowie, jakiej uczą sentencyi. Co za księgi i *veritates*<sup>229</sup> mają. Jak zacni są tam dyscypulowie<sup>230</sup>, jaki ich progres i w naukach aplikacyja.

A kiedym jeszcze w zadumaniu trwała: — Jakże — zapytał — nicze mi aścka nie powiesz? Obróciłażes przynajmniej ciekawe i rozumne oko na *publica opera*<sup>231</sup>? Na bazyliki, klasztory, collegia? Na cytadelle<sup>232</sup>, cekhausy<sup>233</sup>, rynki, baszty i antymurały? Jaki gdzie zamek, amunicyje, *praesidium*<sup>234</sup>?, Kto w zamku jakowym, *rex*<sup>235</sup>, czy *vice-rex*<sup>236</sup>,

<sup>209</sup>*sedycyje* (daw.) — zwodzenia, urojenia, bałamuctwa. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*a* (daw.) — „a” w funkcji spójnika łącznego. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*misterstwo* (daw.) — sztuka, sztuka. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*białogłowskie* (daw.) — kobiece. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*krótkie* — tu: małe, wąskie. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*curiositas* (łac.) — ciekawość [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*aeria* (łac.) — pogoda. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Ex quibus initiis* (łac.) — Z czego powstało. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*eventa* (łac.) — zdarzenia, wypadki. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*excellit* (łac.) — przewyższa, góruje. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*modestyja* (daw.) — skromność. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*dyskurować* (daw.) — rozmawiać. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*fakcycja* (daw.) — tu: rozruch, bunt. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*rychła* (daw.) — szybka. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*suspicyja* (daw.) — podejrzenie, osądzenie. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*figere notitians* (łac.) — uciec uwadze. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*consistit* (łac.) — zawiera się. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>*fossa defensa* (łac.) — fosa obronna. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*glorioso* (łac.) — chwalebnie. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>*erygować* (daw.) — wznosić, fundować. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>*veritates* (łac.) — prawdy. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>*dyscypul* (daw.) — od łac. *discipulus*, uczeń. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>*publica opera* (łac.) — budynki użyteczności publicznej. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>*cytadelle* (daw.) — cytadele. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>*cekhausy* (daw.) — arsenały, składy broni. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>*praesidium* (łac.) — obronne. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>*rex* (łac.) — król. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>*vice-rex* (łac.) — wicekról. [przypis edytorski]

z jaką pompą i magnificencją rezyduje? Jakie gdzie *commercia*<sup>237</sup>, urodzaj albo *sterilitas*<sup>238</sup> gruntów. Jakie wody lekarskie, źródła, cieplice i co *singulare*<sup>239</sup> o tychże wodach *fert fama*<sup>240</sup>?

— Nie, panie — odrzekłam zawstydzona głęboko. — Nie wiem tego wszystkiego. Jam po ścieżkach polnych chodziła, zbierając kwiaty dzikie, co rozkwitają dla ludzi zamysłonych o rzeczach w paku jeszcze leżących. A kościoły to były gwiaździste, miesięcznych światel pełne, gdzie ja na modlitwę stawała.

A król-duch przez bazyliki one szedł, ku porankowej stronie. I świeciła mu noc lampą przejrzystą, a ludzie czuwający na dolinach mieli wtedy sny ciche. Wiem też, iż baszty a mury trzeszczą teraz w sobie — i w gruz a w upadek idą; bo każdy wiek inną wojuje mocą — od kamieni aż do myśli.

Wodyć znam i potoki leśne, bom się od nich przygrywek do pieśni prostych uczyła; ale szumy ich przepadały u ostatniej olchów strażnicy i poza cienie brzoź nie przechodziły dalej.

— Dziwno mi bardzo — przerwał Peregrynant z goryczą — iż aścka przywidzenie jakoweś i humory bierzesz za *arcana et rara*<sup>241</sup>. Niemalęj potrzeba animadwersyi<sup>242</sup>, aby tego wszystkiego do końca cierpliwie wysłuchać. Widzę ja, iż aścka tylko wietrzników na wieżach miejskich patrzałaś, a po górach i lasach cygańskim obyczajem włóczyłaś się, mało co z rzeczy widzianych fundamentalnie poznawszy. W pośrodku *raritatum et mirabilium*<sup>243</sup> przygodziło się aścce stać, a zaniedbałaś zanotować pilno *omnia visa, audita, facta*<sup>244</sup>. I oto wiesz dzisiaj, po czemu lut wiatru w polu, a nie wiesz, co jest *ratio gubernationis*<sup>245</sup>. Szumu i dymu pełno u aścki w głowie i słóweczek misternie rzezanych<sup>246</sup>, a żadnej sciencyi<sup>247</sup> o tem, jaki gdzie magistrat, trybunał, sądy, jakie *commercia*<sup>248</sup>, przemysł, dowcip<sup>249</sup> i jakie w religii *zelum*<sup>250</sup>!

Zamilknął stary i sapał gniewnie przez chwilę, a potem przemówił jakoby do siebie: — Prawdę to świętą rzekł Lipsiusz: *Sapiens, ubicunque est, peregrinatur; fatuus, semper exulat*<sup>251</sup>.

A zwróciwszy się do mnie, dodał:

— Widziałeś przynajmniej asińdzka Dożego<sup>252</sup> w Wenecyi?

— Kogo? — zapytałam, niedobrze wiedząc, o co by mu szło.

— Dożego, mówię! — odparł niecierpliwie. — Cóż, nie wiesz nawet aścka, co jest Doża, *caput et princeps Senatus*<sup>253</sup>, który Adrię, morze, corocznie *pompaticie*<sup>254</sup> zaślubia i pod którego imieniem wszystkie publiczne Instrumenta<sup>255</sup> i Dekreta w świat idą?

— Doża! — zawołałam z uśmiechem. — Ależ teraz nie ma Doży, panie.

— Nie ma Doży? Cóż mi to aścka prawisz. Więc chyba i Wenecyi nie ma?

— Wenecyja jest. — Widziałam ją nad morzem stojącą, zalotnicę białą, w obnażeniu marmurów swoich. U nóg jej kołysał się okręt. Ale nie był to żaden wojownik zuchwały, tylko jakiś handlarz opasły. Przywoził jej złoto, więc uśmiechała się do niego.

Na ostatnim rąbku jej szaty, na Riva degli Schiavoni, tłum niewolników po dawnemu stał, tylko że teraz nie byli oni związani sznurami i nazywali się — ludem.

<sup>237</sup>*commercia* (łac.) — handle. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>*sterilitas* (łac.) — nieurodzaj. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>*singularis* (łac.) — szczególnie. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>*fert fama* (łac.) — wieść niesie. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>*arcana et rara* (łac.) — tajemnicze i rzadkie. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>*animadwersya* (daw.) — uwaga. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>*raritates et mirabilia* (łac.) — rzadkości i cudowności. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>*omnia visa, audita, facta* — wszystko widziane, słyszane, uczynione. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>*ratio gubernationis* (łac.) — porządek, plan rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*rzezany* (daw.) — cięty. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>*sciencya* (daw.) — wiedza. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>*commercia* (łac.) — handle. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*dowcip* (daw.) — tu: inteligencja. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>*zelus* (łac.) — gorliwość. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>*Sapiens, ubicunque est, peregrinatur; fatuus, semper exulat* (łac.) — Mądry wszędzie jest podróżnikiem, głupiec zawsze wygnancem. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>*doża* — tytuł przysługujący władcom (najwyższym urzędnikom) Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>*caput et princeps Senatus* (łac.) — głowa i pierwszy w Senacie. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>*pompaticie* (łac.) — pompacyjnie, okazale. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*instrumenta* (daw.) — dokumenty. [przypis edytorski]

Wolno im było kupić melona, gdyby miał który za co, a gdy nie miał, wolno mu było rozciągnąć się na marmurze i zasnąć. Słońce świeciło wszystkim darmo, a wesoly *pajazzo*<sup>256</sup> pokazywał sztuki łamane i na rękach chodził.

Lecz gdy tak mówiła, zaszczebiotał wróbel nad balkonem, zbudzony, gdyż dniało już było, a Peregrynant mój stary zaćmił się i zaszedł cieniem, i mgliste ręce rozstawił w powietrzu na znak, że głosu już nie ma, i pochylił głowę siwą, i zniknął.

Spojrzałam — przede mną znów leżała księga czarna, bardziej jeszcze niż przedtem zszarzana, a oko Opatrzności zdawało się drzemać, na wpół przymknięte.

---

Myliłby się ten, kto by sądził, że w Wenecji można sobie według woli czas urozmaicać. Ograniczonosc gruntu pod nogami trzyma tu niejako w karchach fantazję wędrowca. Jest wprawdzie morze, ale nie ma ziemi; a przynajmniej jest jej tak niewiele, że gdziekolwiek się ruszysz, zawsze dojdiesz do jakiegoś końca.

Brzeg Lido ma go u strażnicy wojskowej, tam kędy jaszczurki spłoszone przeblyskują w słońcu, dróżka między ogrodami na prawo u piaszczystych wałów, *Mercerie*<sup>257</sup> — u Rialto, ogród publiczny — u wierzb garści na mokrym piasku stojących. Żyje się tu jak na okrętowym pokładzie, a zrębem wszystkiego i fundamentem jest woda.

A jednak i po tej troszce ziemi, którą Wenecja pod stopy chwyciła, odbywać można wędrowki bardzo ciekawe. Wejdz tylko w *Mercerie*, przez bramę starego *Orologium*, nad którą stoją rycerze z spiżowymi młoty<sup>258</sup>, aby miastu i morzu wybijać godziny, a zobaczysz, jak się to ludzie umieją cisnąć, zwijać, kurczyć, a przy tym, jak umieją przedawać<sup>259</sup> wczoraj wykończone „antyki” i „arcydziała” niemające stanu cywilnego i różne nieodzwone rzeczy, które kupiwszy, nie wiesz, co zrobić z nimi.

Zobaczysz także, jak dalece na ulicy żyć można.

Wąskie, przepaściste zaułki, które się od głównego pnia *Mercerii* odbiwszy, krzyżują, gonią, przeskakują wzajemnie w tysiąc przegubów splątane, są pracownią, jadalnią i pokojem sypialnym uboższej ludności, której to, że nocuje na moście, a na trotuarze<sup>260</sup> się odziewa, wcale humoru nie psuje.

Hałas w tej części miasta wiekuisty.

Ulica jest tu podwórzem, fabryką, warsztatem.

Domy z otwartymi bokami, które nie są ani oknem, ani balkonem, ale rodzajem obszernej, najczęściej ciemnej czeluści, dają wylot wszystkim stukom, zgrzytom, świstom, łomotom, jakie od czasów *Jubala*<sup>261</sup> i *Tubalkaina*<sup>262</sup> powstać mogły na ziemi.

Tutaj szewc bije młotkiem w podszewę — jak dzięcioł w drzewo; ślusarz — jak derkacz — pilnikiem swoim zgrzyta; stolarz heblem szoruje; tokarz — jak bąk — huczy, a wspaniały kowal z obnażonymi ramionami stoi na tle czerwonych płomieni, czarny od dymu, od iskier świecący, i wali dźwięcznym młotem, panując nad całym tym rozstrzelonym gwarem.

Ogłuszony — w bok skręcasz, uciekasz, ale za tobą goni głos piskliwy chudego krawca, który przewiesiwszy nogi na ulicę, w dziurze swojej siedzi, nożycami skrzypi i jak drozd śwista piosenkę. Umknąłeś mu wreszcie, ale kiedyś go już daleko za sobą zostawił, spostrzegasz, że w tej plątaniu wąskich uliczek trudno ci drogę odnaleźć.

Zatrzymujesz tedy przechodnia, pytając go o *San Marco*.

— *Sempre diritto, sempre diritto*<sup>263</sup> — odpowiada ci przechodzień uprzejmie.

Idziesz tedy przed siebie czas jakiś i trafiasz na przecznicę, która ci drogę jak nożem przecina. Stajesz — i nie wiesz, kędy dalej iść. Wtem nadchodzi kobieta, niosąca wodę w miedzianych kociołkach, na ramieniu w bok wpartym. Z uśmiechem słucha ona pytania twojego, a potem — wskazując ręką na prawo lub lewo, stosownie do humoru swojego, *sempre diritto, diritto, signore*, prawi ci jak srocza.

---

<sup>256</sup>*pajazzo* (wł.) — klaun. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>*Mercerie* — ulica handlowa w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>*młoty* (daw.) — dawna forma narzędnika lm rzeczownika młot, dziś: młotami. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>*przedać* (daw.) — sprzedać. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>*trotuar* — chodnik. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>*Jubal* — według Biblii syn Lamecha i Ady, brat Jabala, potomek Kaina. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>*Tubal-Kain* — postać biblijna, pierwszy kowal, przedpotopowy potomek Kaina. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*Sempre diritto, sempre diritto* (wł.) — Zawsze w prawo, zawsze w prawo. [przypis edytorski]



Zaczyna cię to niecierpliwic; idziesz jednak na prawo lub na lewo, szukając owego *diritto*, którym cię każdy z przechodniów częstuje, aż wreszcie dobijasz się do placu; skręciwszy jakiś tuzin razy tu, tam i jeszcze w bok, co wcale nie przeszkadza całej tej krętaninie nazywać się: *sempre diritto*.

Nie znalby życia Wenecji ten, kto by nie znał *trattorii*<sup>264</sup> ludowych.

Na *via alia posta* jest jedna taka *trattoria*, około której przebiegałam często, spiesząc po listy z kraju.

Niska druciana krata dzieliła od ulicy kuchnię, która była zarazem i salą jadalną. Tuż za kratą stały rondle, talerze i gotowe już porcje ryby i polenty.

Z szatańskiego pisku, z jakim w *trattorii* tej skwierczały tłuste patelnie, z zabijającą woni tranu i oliwy, z otyłości właściciela wreszcie — wnoszę, iż była to jedna z najpopularniejszych gospód tej części miasta.

Konsumenci roili się tam dzień cały, jedni leżąc na moście i na brzegu kanału czekali, aż przyjdzie południe, inni wyciągali sieci i płatali ryby, których odpadki słońce rozkładało z całą swobodą.

Sądzę, iż aby wejść do *trattorii* takiej, trzeba od wczoraj być na czczo i mieć mocny katar.

Lecz oto nadchodzi wieczór, chwila najbardziej uroczą w Wenecji.

O ósmej zaczyna się zaludniać plac cudzoziemcami, którzy nabiegawszy się od rana po galeriach i kościołach, teraz dopiero rzucają w kął Bädeckera<sup>265</sup> i idą szukać wrażeń na własną już rękę.

Przed Quadrim, przed Florianem stoją całe armie plecionych słomą krzeseł i prostych stoliczków.

Piękne „fioriny<sup>266</sup>” kręcą się pomiędzy gośćmi jedzącymi lody lub *granito*<sup>267</sup> i pochylają się ku mężczyznom, chwając swój towar — i patrzą im w twarze, wielkimi czarnymi oczyma... Kwiaty ich nie mają właściwej sobie woni, ale wszystkie pachną jednostajnie, modną w tym sezonie perfumą.

Pod galeriami prokuratorii tysiąc płomieni pali się i łamie w delikatnych szklach Salviatego, w drogich kamieniach i filigranach wystaw złotniczych.

W pośrodku wojskowa orkiestra gra niezbyt pięknie.

Ale też nikt tej muzyki nie bierze na serio i nie przychodzi słuchać jej wyłącznie. Tu przede wszystkim się patrzy; a jeśli kto słucha, to chyba gwaru zmieszanej rozmowy lub szeptu sąsiada.

Nie powiem, żeby to ostatnie przychodziło bez pewnych trudności. Ledwoś się odczepił od smagłej „fioriny”, kiedy brodaty handlarz owoców w cukrze następuje na ciebie z srebrnym swoim koszem, krzycząc co gardła: *Caramel! Caramel! Caramel!*. Tuż za nim przeraźliwy dziennikarz z całą europejską polityką pod lewą pachą, zajadle obwołuje swoją drukowaną bibułę<sup>268</sup>, do której po dniu gorącym, po szepcie „fioriny”, obrzydliwość jakąś uczuwasz.

Po placu tymczasem ciągnie tłum różnobarwny i różnojęzyczny.

Piękne weneckianki, które cały dzień boży gdzieś po balkonach siedziały, trochę rozebrane, trochę nieczesane, a zawsze mniej więcej brudne — teraz pod wieczór pięknieją, przyglądają włosy lśniące i wpiąwszy w czarne koronki kwiat jasny, idą tu chłodzić się zręcznie wachlarzem, szczebiotać i gryźć cukierki.

Mężczyźni — prawie wszyscy piękni i hardzi.

Im niżej w lud, tym czystsze typy i bardziej wybitne. Hardość w nich uderza przed pięknnością jeszcze. Biedak, co i dziesięciu centów nie dorachowałby się we wszystkich kieszeniach, przechadza się w swojej czerwonej koszuli i wielkim kapeluszu z taką godnością wpośród cudzoziemców, jakby gospodarz przyjmujący gości. Jest przy tym grzeczny i do pewnego stopnia delikatny. Kobięcie usuwa się z drogi, jeśli ładna, i patrzy na nią okiem znawcy, nie spiesząc się i czas sobie dając.

<sup>264</sup>*trattoria* (wł.) — gospoda. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*Bädecker* — popularny przewodnik turystyczny wydawany przez niemieckie wydawnictwo Karla Bädeckera. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>*fioriny* — od wł. *fiori*, kwiaciarki. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>*granita* — mrożony deser na bazie kawy lub soków owocowych. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>*bibula* — tu: broszura. [przypis edytorski]

W spojrzeniu tym nie ma nic obraźliwego. Jest on wtedy artystą badającym piękno, a sam wygląda jako posąg z brązu.

Do północy i za północ często trwa na placu ruch i gwar.

A tam o sto kroków dalej, cisza bardzo głęboka chodzi po starym niewolników wybrzeżu, a noc miesięczna wysrebrza wody zatoki pluszczącej miękko i sennie. W białości księżycowej stoi kościół ten dziwny, któremu pod krzyżem zdają się śnić *Alkoranu*<sup>269</sup> wiersze, i słupy te śmigle stoją, na których niegdyś republikańskie chorągwie nad morzem wiały. Patrz! Tam z tych arkad kamiennych wieszają się jakieś ręce mgliste, wzniesione, wołające ratunku wśród nocy.

To *Ponte dei Sospiri*<sup>270</sup>.

Most tchnień ostatnich, most ucisku ducha,  
Śmiertelnych dreszczów i trupich nudności,  
Most gwałtu, zbrodni i — sprawiedliwości!...

Cicho!... ktoś słucha...

Po kościach idzie strach...

Mury te żyją i szepczą do ucha:

„Ach!”

4

*Prigioni — Mój przewodnik — Pozzi — Weneckie dzwony — W pałacu Dożów — Assunta — Jan — Mój bukiet — Obrazek z Giudecca — Lani — Zanzary — Pod tęczą.*

Po morzu — najsilniej myślą moją i uczuciem targały w Wenecji więzienia. Nieskończony ruch, wolność, życie — odrętwienie, noc wieczna, grób.

Dziw, że ludzie mogli pod okiem wolnego morza wznosić te mury tragiczne, starej zgrozy pełne, na które patrząc, zdało mi się, iż słyszę brzęk kajdan, wleczonych kędyś daleko, daleko...

Chłodny, wilgotny dech lochu trząsał znikomym płomykiem dymiącej pochodni, którą przewodnik mój nad głową niósł, zstępując ze mną do owych *prigioni*<sup>271</sup>, kędy lew skrzydlaty św. Marka, co na kolumnie syryjskiej zatoki stoi, jaskinie swoje krwawe i zbrojeckie miał.

A przewodnik ten mój, Włoch z suchą i nerwową twarzą, co więcej oczyma świecił, niż kagankiem marnym, mało co do zwykłych „ciceronów”<sup>272</sup> podobnym był.

Nieświergotliwy, milczący raczej, skąpe słowa swoje przekąsywał na ćwierci i rzucał nimi twardo, jakby kamienie gryzł.

Jużeśmy celę oną minęli, gdzie skazańców spowiadano przed śmiercią, kiedy nagłym ruchem zwrócił się wstecz i świecąc ku pustej framudze, w ścianie pajęczyną zasnutą, rzekł krótko: — Tu był krzyż. *Ma non Dio*<sup>273</sup> — dorzucił posępnie.

Po czym my dalej już szli; on — mrucząc mściwie, a ja w ucisku wielkim, serce mając buntu pełne, a kroki ciężkie, jakoby się za mną wlokły wszystkie ziemi łańcuchy.

I tak my przyszedli w miejsce przestronne nieco, a przewodnik mój stanął i żagwią<sup>274</sup> swoją po ziemi wodził, jakoby szukał czego.

Izba to była momentów ostatecznych i przestraszów śmierci, i tortur.

Pomost pełen płam rdzawych, wżartych głęboko, dawał przejście śliskie przez tę katownię, kędy czerwony pień stał jako ostatnie łoże wielu głów szlachetnych. Przez szczeliny w taflach pomostu słychać było złowrogie szelesty morza i plusk gondoli tej, co była skazańcowi rusztowaniem i wozem pogrzebu.

<sup>269</sup>*Alkoran* — Koran, święta księga islamu. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>*Ponte dei Sospiri* (wł.) — Most Westchnień, most w Wenecji, którego nazwa pochodzi od westchnień (*sospiri*) więźniów spoglądających po raz ostatni na Wenecję w drodze do sali sądowej. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>*prigioni* (wł.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*cicero* (daw.) — przewodnik. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*ma non Dio* (wł.) — ale nie Bóg. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*żagiew* — luczywo, głośnia, płonący kawałek drewna, który służył oświetleniu drogi. [przypis edytorski]

Ostatnie tchnienia i ziewy śmiertelne do ścian tu kiedyś przywarły z krwią lepka razem; a teraz — obudziły się i ożyły, aby uderzyć we mnie trupią jakąś parą.

To wewnątrz tragiczne mostu *dei sospiri*.

Lew wenecki ofiary tu swoje darł i morzu ciskał; a Doża, co Adriatyk zaślubiał, korowód weselny z trupów tych miał i družbów straszliwych.

A idąc, zstąpiliśmy niżej jeszcze, gdzie noc była czarniejsza i cisza więcej głucha. Dreszcze tu po ciele szły i włosy wstawały na głowie, a w powietrzu czuć było tę moc, przez którą człowiek milczy i umiera.

I nagle zdawało mi się, że się przede mną otwarły wszystkie ciemnice, które Anhelli<sup>275</sup> miał pokazanymi sobie — i usłyszałam jęk cichy, jakoby z daleka przywiany.

— *Pozzi*<sup>276</sup> — syknął mój Włoch, jakby w ustach żelazo rozpalone miał, i pochylił się, bo sklepienie zniżało się tutaj.

I ja pochyliłam się także, ale w uczuciu czci jakiejś i małości własnej. Kaganek dogasał prawie, więc przewodnik mój podniósł go i płomykiem wodził po ścianach, które nosiły na sobie ślady rąk mury drapiących i głów o kamienie tłuczonych; a potem matę z żelaznych prętów, co w lochu na ziemi leżała, nogą pchnął i rzekł z naciskiem: Marino Felieri<sup>277</sup>.

O ziemio! Pókiż<sup>278</sup> ty z myśli ludzkiej będziesz robić kreta, co krwawe ścieżki ryje w mózgach skazańców zamkniętych w ciemnicy.

Tajemna praca lochów mściwa jest i okropna; ona kiedyś rozryje całe wnętrze twoje, iż nie będzie gdzie stopy postawić w spokoju.

Będziesz ty wtedy trząść się i wołać: „biada!”, lecz słońce wejdzie w płomieniach, aby oglądało dzień sądu.

Smutna i zgnębiona opuściłam więzienie weneckie, gdy właśnie ozwały<sup>279</sup> się dzwony, bijąc w niebo chórem ogromnym.

Najpierw w kampanilli uderzyło serce tak potężnie, że wszystkie tętna rozbrzmiały w niej — hen na morze!

Potem stary Zanipolo<sup>280</sup>, współczesnik sławnych wypraw i wielkich Respubliki tryumfów, bił w boki spiżowe jako lew gniewny, kiedy się do walki ma; dalej Frari<sup>281</sup> obwoływał po błękitach: *Pesaro!... Pesaro!...*<sup>282</sup>, a wnet za nim huczał San Rocco Zobenigo, San Stefano i stare dzwonnice u Rialto.

Daleki szmat ziemi przewędrować można, nim się takie dzwony jak tutaj, posłyszysz. Rozgłośnie — jakby Alpy i Apeniny do pacierza wołały, a muzyki ich czarodziejstwo takie, że ci serce bić od niej zaczyna, jakbyś pierś ze zdobytej armaty ulaną miał.

Morze chwyta tu dźwięk każdy i splewia go w głębinie, i roznosi szeroko, daleko i odbija w powietrzu falą potężną — czystą. Toteż kiedy ranek rozbudzi wieżyce stare, Wenecja drży jak tarcza srebrna spiżowym młotem ruszona.

A kiedy tak dzwony biły, stałam w podwórku, pod oknem, za którego więzienną kratą Silvio Pellico<sup>283</sup> o wolności dumał.

Wędrowcy oglądają zwykle więzienia, wychodząc z pałacu Dożów, a tak widzą wpięrow olbrzymia, a potem to, co pod stopą ma ku zdeptaniu. Jam pierwiej zesłała do *carceri*<sup>284</sup> owych — i zyskałam przez to obojętniejszy punkt widzenia na gotyk ten wielki, co schody „gigantów” ma, ale miał i karłów swoich.

A teraz mamże, czytelniku — jeśli tylko w ogóle kartki te czytelnika znajdą — oprowadzić cię po tym Palazzo Ducale i z katalogami w rękę przebiegać sale Wielkiej Rady

Historia, Sztuka

<sup>275</sup>*Anhelli* — tytułowy bohater poematu Juliusza Słowackiego, który, wraz ze swoim przewodnikiem Szamanem, udał się w wędrowkę po Syberii, miejscu wygnania polskich zesłańców, symbolizującym w utworze piekło. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Pozzi* (wł.) — studnie. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*Felieri, Marino* (1274–1355) — doża Wenecji w latach 1354–1355, ścięty za spiskowanie. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>*pókiż* (daw.) — jak długo, do jakiego czasu. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>*ozwać się* (daw.) — tu: rozbrzmieć. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>*Zanipolo* — Ludowa nazwa kościoła Giovanni à Paolo [przyp. z wyd. z 1884 r.] [przypis autorski]

<sup>281</sup>*Frari* — Bazylika Santa Maria Gloriosa dei Frari, kościół umiejscowiony przy Calle del Magazzen w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*Pesaro* — miasto i gmina w środkowych Włoszech, w regionie Marche, w prowincji Pesaro i Urbino, leżące przy ujściu rzeki Foglia do Adriatyku, poprzez może naprzeciwko Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*Pellico, Silvio* (1789–1854) — pisarz włoski, romantyk, więziony za przynależność do karbonariuszy (tajnego stowarzyszenia skierowanego przeciw siłom okupacyjnym w okresie wojen napoleońskich). [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*carceri* (wł.) — więzienia. [przypis edytorski]

Głosowania, Rady Trzech, Rady Dziesięciu, Senatu, Bussoli, Czworoga drzwi Atrium, Bibliotekę, Muzeum, Kaplicę, pokazując wielkie płótna Tintoretta, Werończyka, Palmy; podziwiając plafony Tycjana, rzeźby Sansovina, brewiarze Grimanych, mozaiki, odrzwia, kominki, antyki? Mamże, rozbiwszy myśl jego na tysiąc nużących objaśnień, nie powie- dzieć ani ćwierci tego, co powiedzieć by trzeba?

Niechaj mnie Bóg strzeże!

Najpierw byłoby to niedarowanym gadulstwem i powtarzaniem rzeczy dawno już i lepiej wypowiedzianych przez kogo innego — a potem — nie chcę odbierać chleba tym znacnym oprowadzaczom nakręconym jak pozytywka, od dojścia męskich lat aż do śmierci, których twarz znudzona pokazuje, iż liry<sup>285</sup> mają za największe arcydzieło sztuki, a których martwy palec całymi godzinami kieruje wzrokiem twoim z sztywnością automatu.

„Oto portrety Dożów, oto tryumfy Dandola, oto wzięcie Stambułu, bitwa pod Lepantem, zdobycie Zary, Cataro, Tyru; oto powrót Contariniego spod Chioggia, oto Mocenigo pod Dardanelami, Wenecja z Lwem, Wenecja świat godząca, Wenecja...”

Myślisz, że skończył? Gdzie tam! On tylko tchu nabiera. „Oto Sąd Ostateczny młodszego Palmy, oto Aleksander III i Barbarossa, oto lwia paszcza, tron dożów, pomnik Morosini’ego. Oto...”

Na Boga! Niech on gada sobie, a ty odwróć oczy od tryumfów tych i pójdz z mną stanąć przed tablicą Falieriego, na której widać żałobny napis: *decapitati*<sup>286</sup> — a potem na balkon wyjdźmy patrzeć na błękit zatoki wiatrem muskanej, gdzie San Giorgio i Giudecca rzucone są oczom naszym. Tam będziem myśleć o wielkościach ziem i o jej nędzach, aż nas ukołyszają morza szumy.

Tej samej skróconej metody oglądania trzymałabym się w akademii delle Belle Arti.

Co nam po tych białych, pulchnych ciałach, które Giovanni Bellini świętymi nazywa? Co nam po tych procesjach z relikwiami, które nam Gentile Bellini po ścianach rozwiesił? Co nam po tych malowanych ceremoniałach z Dożą lub bez Doży, uwiecznionych przez Carpaccia lub Parisa Bordone? Zapewne, błogo jest wiedzieć, jak się tu malarstwo rozwija, poczynawszy od chudej religijności szkół pierwotnych aż do słonecznego rozkwitu pod wielkich mistrzów natchnieniem; ale stanąć — i patrzeć — i myśleć, i jeszcze patrzeć, mogłabym przed *Assunta*<sup>287</sup> tylko.

Tak; to jest matka, co serce miała ukrzyżowane wraz z synem ginącym za prawdę ducha swojego; to jest pierś pełna siły, jaką miłość daje; to podniesienie dni nowych ku ideałom przyszłości, to jest myśl, jaką Bóg o kobiecie miał przy jej stworzeniu.

Oczy te zaprawdę widziały rzesze smętne i ciemne, i grzeszne, i głodne, one znają gorycz łez nad dolą ludzką przelanych.

Usta te znały słowa miłości, braterstwa i spokoju, one znały wielką ewangelię ludów.

Cierpiała, żyła, serce jej biło od wzruszeń, bólów i radości ziemi; a teraz — nie na skrzydłach serafów białych, nie przez moc jakąś zewnętrzzną i obcą, ale żarem i uniesieniem ducha własnego — wstępuje w ciszę błękitów.

Ta Assunta — to ludzkość za ostatecznych dni wysiłków swoich; to idea zwycięska; to wolność lot biorąca; to prawda.

W tłumie, co za nią oczy prowadzi, jest jedna głowa, której nie zapomnę nigdy. To głowa Jana.

Podczas gdy inni są wyrazem dziwu, przestrachu albo osłupienia, on jeden śmiało i pogodnie patrzy w umiłowane wniebowziętej oblicze, jak człowiek, co ogląda spełnienie wiary życia swojego. On wiedział, że ta święta i czysta bojem wielkim bojując na ziemi, zwycięży kiedyś, i będzie mocna dlonie na gwiazdach kłaść, i obracać nimi, i wołać do siebie rosy polne, i wysyłać je na lany jako pracownice białe.

Nie dziwi się więc i nie pada w trwodze, ale przejmuje się mocą wielką i nadzieją.

Trud jego nieskończony jeszcze i kij pielgrzymi w rękę; przecież z blasków chwili tej zostanie mu w piersiach dość siły, aby na Patmos wygnańczym obwieścić chwałę „słowa” i słyszeć orłowe szumy ponad głową.

<sup>285</sup>lira — jednostka monetarna w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>decapitati (wł.) — ścięty. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>Assunta — obraz Tycjana, namalowany na zlecenie mnichów z kościoła Santa Maria Gloriosa dei Frari w 1518 r. [przypis edytorski]

Matka, Matka Boska,  
Sztuka

Ten Jan — to praca o ideał oparta.

Wszystkim młodym rodakom moim chciałabym dać twarz taką, takie jasne czoło i takie mocne ku przyszłości spojrzenie. Co dnia po weneckich kościołach chodziłam, uchylając we drzwiach zasłony ich czerwone, od których odbite słońce rzucało róże jasne na marmury; co dnia widziałam ludzi klęczących — i ołtarze w glorii świateł, i ofiary, i kapłany, i krzyże. Ale modliłam się — przed tą *Assuntą* tylko.

Boże, przebac mi, jeśli się — nie o niebo — modliła.

Chociaż w Wenecji czas nie ma szczególnej łączości<sup>288</sup>, przecież i tu upływają godziny, dnie, tygodnie nawet.

Ranek nad morzem. Więc rzeźwość jakaś i szerokość myśli, kąpiel, zbieranie muszelek i co już jest nadprogramowe, złośliwych bodiaków<sup>289</sup> nadmorskich, kolczastych na wszystkie cztery boki, które przez rękawiczkę trzeba było brać i nieść jak jeża.

Myślałam ja sobie zrazu, że to jakie osobliwe drzewo, i nazwałam zielsko to twarde a kolące<sup>290</sup> — „kaktusem Adriatyku” dla pięknej formy liści głęboko ciętych i lekko zielonych kwiatów, które w słońcu srebrzyły się i rozkładały w fosforyczną gwiazdę. Zerwałam więc bukiet cały, niemało rąk nadrapawszy.

Aliści<sup>291</sup> — ledwom się z nim pokazała<sup>292</sup> na Lido, kiedy się Włosiska śmiać ze mnie zaczęły ot tak — od ucha do ucha. Przekonałam się tedy, że „kaktus” mój jest tu uważany za rodzaj pokrzywy i że dobrym przewodnikiem suszącym na Lido białe swoje zęby sprawiłam taką z siebie uciechę, jaką by sprawił Maćkowi<sup>293</sup> warszawiak, co by pod jego płótem żegawicy<sup>294</sup> narwał.

Ku południowi — oglądanie jakieś. Na toć by i roku było mało, żeby tak kto wszystko *vite*<sup>295</sup> — poczciwy Peregrynant! — i z gruntu zwiedzać chciał. Ale choć ja to tam bardzo z brzegu brałam, przecież zawsze parę godzin dziennie na to odłożonych było.

To fasada, to fryz jakiś piękny, to okno Byrona, to obraz, to grobowiec, to rzeźba, to obyczaj żywy, to włóczęga po owych hałaśliwych *calli*<sup>296</sup>, uliczkach Mercerii, pełnych stuku i puku; to wielka targowica na Rialto, gdzie można dostać wszystkiego — prócz spokoju, to posąg jakiś, do którego ciągnie cię patriota, figi gryzący, który szepcze do ucha: *Sapete, Thomaseo-Avesano... sapete, sottoprefetto...*<sup>297</sup> — to wreszcie kampanilla owa, z której czuba — jeśli cię wicher nie zwieje — możesz het, het aż do Apeninów dorzucić oczyma i widzieć, jak się ta Wenecja biała opasuje morzem u bioder. Zawsze się coś znajdzie.

A i to się przygodzi, że co innego oglądać idziesz, a co innego obaczysz.

Popłynęłam raz na Giudecca, żeby tam w Redentore jakąś Madonnę Belliniego czy Vivariniego obaczyć, aż tu, otworzywszy drzwi, ujrzałam zakrystii taki piękny rodzajowy obrazek, o jakim się żadnemu z tych mistrzów nie śniło.

U wysokiego, ciemnego pulpitu siedział mnich w franciszkańskiej sukni. Wysokie, otwarte na zatokę okno wpuszczało gałąź kwitnącej akacji, której mocny zapach klócił się z dymem świeżo spalonych kadzideł.

Jaskółki świergotały w gzymsach, słońce zachodziło na morze. Przed mnichem leżała wielka otwarta księga, a na niej biała, delikatna, wychudła dłoń zakonnika. Nie modlił się przecież; ale piękną charakterystyczną głowę swoją na rękę wsparł i ku oknu obrócił — i patrzył głębokimi oczyma na akację, jaskółki i słońce.

<sup>288</sup> *łączość* (daw.) — prędkość, szybkość. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> *bodiak* (daw.) — bodziak, oset. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *twarde a kolące* (daw.) — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: twarde i kolące. [przypis edytorski]

<sup>291</sup> *aliści* (daw.) — partykuła wzmacniająca sygnalizująca odmiennosć, dziś: jednakże. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *ledwom się (...) pokazała* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: ledwo się (...) pokazałam. [przypis edytorski]

<sup>293</sup> *Maciek* — tu: chłop, mieszkaniec wsi. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> *żegawica* (daw.) — pokrzywa. [przypis edytorski]

<sup>295</sup> *vite* — tak w pierwodruku; zapewne powinno być *vide* (łac.: zobacz), z inną interpunkcją: „...żeby tak kto wszystko — *vide* poczciwy Peregrynant! — i z gruntu...”. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> *calle* (wł.) — typowa ulica wenecka, wąska, wciśnięta między dwa szeregi budynków. [przypis edytorski]

<sup>297</sup> *Sapete, Thomaseo-Avesano... sapete, sottoprefetto...* (wł.) — Zna pan (pani) Thomaseo-Avesano... zna pan (pani), zastępcę prefekta... [przypis edytorski]

Tytuł tego obrazka... Nie, tytułu nie dam, zanadto jestem profanem.

Wiem tylko, że minutę we drzwiach postawszy, przymknęłam je cichutko i odeszłam — i nie widziałam już Madonny, ale widziałam rzecz o wiele rzadszą — duszę człowieka.

Po południu — gondole i kanał. Niech co chcą mówią, w Wenecji statki parowe zawsze jakoś nie na miejscu mi się być wydają. Wcale to co innego, kiedy uczujesz pod nogą tę gibką lagun tanecznicę<sup>298</sup>, potrącona twym skokiem, zakolysze się piersią w tył i w przód.

Wcale to co innego, kiedy ci *poppe*<sup>299</sup>, objijając dziób gondoli o stare marmury i pale, krzyczy po zakrętach kanałów: *gia-é, premè!*<sup>300</sup> To już po wenecku przynajmniej.

Stary Lani, co nas co dnia przed wieczorem parę godzin po kanale woził, miał dwie swoje właściwości: koszulę zieloną w pasy i dychawicę.

Prócz tego był obraźliwy — jak poeta.

Z doświadczenia wiedziałam, że Lani póty tylko kaszle, póki nie zacznie mówić; ledwo więc trzy razy wiosłem od brzegu pchnął, zapytywałam go natychmiast:

— Co to za *palazzo, padre*<sup>301</sup>?

— *Contarini* — odpowiadał Lani, hamując oddech świszczący.

— A tamto?

— Też *Contarini, signorina*.

Nazywał mnie czasem *signoriną*, kiedy był w dobrym humorze.

— A ten na prawo? — pytałam jeszcze.

— Tamten? To właśnie także *Contarini*.

— Ale cóż znowu, *padre!* Przecież wszystkie nie mogą być *Contarini*.

— *Eccola!*...<sup>302</sup> — wykrzykiwał wtedy obrażony Lani. — Jeśli *signora* lepiej wie, to po co się pytać? Ja tu do wiosła, nie do gadania.

Sapał jakiś czas, a widząc, że uśmiecham się i patrzę na niego, rozstawił czarną swoją wielką łapę i zginał po jednemu węzłowe palce.

— Jeden — *Scigno*; drugi — *Fasan*; trzeci — *della Figure*; czwarty... ale co tu gadać! Wszystkie cztery — *Contarini*.

Tu brał się ostro do wiosła, a po chwili znów się odzywał:

— Albo *Mocenigów* nie dwa? Albo *Grimanich* nie trzy? *Eccola!* — kończył tryumfalnie, pluł w garść i zaczynał zawzięcie wiosłować.

— Cóż więc to jest za pałac? — zaczepiałam go znowu.

— Jaki pałac? To nie pałac, to *Ca-d'oro*. Tu mieszkali...

Wtedy towarzyszka moja przerywa mu i mówi do mnie:

— Co on tam wie!

Włoch, baczny na każdy uśmiech i spojrzenie, zmilczał — ale mu wiosło aż skrzypi w ręku.

Po chwili, gdy mi go znów o coś zagadnąć wypadło, krzyczy zajadle, aż go w Rialto słyhać:

— *Niente! Niente!*<sup>303</sup> Lani głupiec, Lani prostak, Lani nic nie wie. *Signora* wie lepiej, *signora* wie wszystko!

Tu zaczynał kasłać w przeraźliwy sposób, aż mu się ugięła pierś czarna zza koszuli widna; a ja wtedy podawałam mu trochę owoców, któreśmy zwykle ze sobą wozily. Rozbrajało go to. Uspokajał się, stękał, wzdychał, aż wreszcie sam, niepytany, zaczynał wymieniać nazwy pałaców i kościołów po obu stronach kanału.

— *Rezzonico* — mówił — *Vendramin, San Geremia, Fondaco Turchi, Cornaro, Marcuola, Abbia...*

Tu uśmiechał się filuternie i dodawał:

— *Abbia — non abbia — ma sempre abbia!*...<sup>304</sup>

<sup>298</sup>*tanecznicza* (daw.) — tancerka. [przypis edytorski]

<sup>299</sup>*poppe* (wł.) — gondolier. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>*gia-é premè!* (wł.) — popchnij, rusz się! [przypis edytorski]

<sup>301</sup>*palazzo, padre* (wł.) — pałac, ojciec. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>*Eccola!*... (wł.) — A ona! [przypis edytorski]

<sup>303</sup>*Niente! Niente!* (wł.) — Nic! Nic! [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*Abbia — non abbia — ma sempre abbia!*... (wł.) — gra słów wykorzystująca nazwę kościoła/pałacu i znaczenie czasownika *avere*, dosł. „czy ma czy nie ma — ale zawsze/jednak ma!”. [przypis edytorski]

Koncept<sup>305</sup> ten, który przynajmniej dziesięć razy od niego słyszałam, miał przywilej wprowadzania go w wyborny humor. Więc już z powrotem opowiadał o ostatnim Doży, Lodovico Manin, pokazywał pałac Farsetti, gdzie się sławna owa municypalność gnieździ, to znów pstre inkrustacje Loredanu — i tak wracaliśmy w zupełnej harmonii.

Dziwne są te pałace Wenecji! Wprost z wody dźwignięte i pustką brzmiące, piękne strukturą, bogate wspomnieniem, stoją w jakiejś wielkiej nędzy, która wstydu nie ma. Obok przepysznych architektonicznych motywów: to gotyku, to renesansu, to staroweneckiego stylu, płachty mokre tu wiszą i starej bielizny sztuki; a na balkonie z misternie rzeźbioną kratą, wychudła *strega*<sup>306</sup> czesze brudną dziewczyninę.

Z gondoli wprost na San Marco, taki już był nasz porządek.

Z początku raził mnie tłum tego placu, ale wkrótce nauczyłam się wachlarz składać i rozkładać, brzydzić się wszelkim drukowanym papierem, gryźć *caramel* i bujać się na krzesła, słuchając arii z Traviaty. Zaczynałam się cywilizować.

Tymczasem na kanale brzmiała serenada gondolierów pod balkonami hotelu.

Były to nieraz piękne, ludowe pieśni, brzmiące po wodzie szeroko, aż ku północy ucichało wszystko. Wszystko oprócz „zanzarów”.

Zanzary weneckie to wydoskonalona rasa naszych komarów. Gdzie tam nawet do nich tym chudym biedakom naszym, co żądełko swoje tak noszą, jak panicz za Sasów nosił szpadkę, ambrą perfumowaną. Zanzary to Lisowczyki<sup>307</sup>, to żuawy<sup>308</sup> dzikie. Kolą, sieką, ranią, z zaciekłością rozbójników morskich, a krew — jak lichwiarze — piją.

W każdym z nich siedzi dusza Szylloka<sup>309</sup>. Straszna rzecz mieć do czynienia z dwoma przeciwnikami takimi, cóż, gdy ich cała setka nad łóżkiem twoim się waży! Nasze komary brzęczą sobie jakąś niewinną muzyczkę, jakby kto na drumli grał; te mają całą orkiestrę wojskową, która grzmi wieczną Marsylianką. Nie czają się, nie drożą, zasadzek nie czynią, ale wprost na bagnety idą. Ledwoś głowę do poduszki przyłożył — hurra! zaczyna się atak i trwa — jeśli zdołasz usnąć — na twoim trupie nawet.

Nie ma co! Kapitulować trzeba i uciekać z Wenecji.

Jak na toż, wieści jakieś niepokojące krążyć zaczęły po mieście.

Mówiono, że wody w górach wstają, że Adyga wzbiera.

A tu morze podnosiło się co rano gniewne i wzruszone w sobie, a wichry po nim chodziły jak turów stada. Nawet na lagunach fale twarde szły i biły jak taranem w gondole. Chmurzyska się jakieś po niebie zawlokły i nakryły miasto ołowianym dachem, czyniąc z Wenecji wielkie *Piombi*<sup>310</sup>. Wszyscy stracili humor. Muzyka zaczęła grywać nokturna, Włoch z dziennikami wrzeszczał jak opętany, „fioriny” chodziły kwaśne i skrzywione. Wreszcie zdecydowano, że jutro jedziemy.

Ostatni dzień był dniem ogólnej po mieście włóczęgi. Dostało się nawet pod wieczór owemu to *giardinetto*<sup>311</sup>, które niegdyś rywalizowało podobno z wielkim placem, a dziś pustką stoi. Że jednak widny stąd okręt odpłynąć miał, garstka przeto wędrowców na ławkach tu przysiadła.

Deszcz ustał był<sup>312</sup> właśnie, a chmurka, przed słońcem stojąca, siała nad zatoką światło mgliste, perłowe. Naraz wygiął się w oczach naszych łuk olbrzymiej tęczy, który wparł końce swoje w oba brzegi laguny, zwichrzonej jeszcze i stanął jak potężna gotycka arkada. Pod nią przepływała łódź czarna, której wioślarz czarodziejskie wiosło musiał mieć, bo róże sypał za sobą i gwiazdy modre.

<sup>305</sup> *koncept* (daw.) — tu: dowcip. [przypis edytorski]

<sup>306</sup> *strega* (wł.) — czarownica. [przypis edytorski]

<sup>307</sup> *Lisowczycy* — najemna ochotnicza formacja lekkiej jazdy polskiej powstała na początku XVII w. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> *żuawy* — dziś popr.: żuawi, znana z bitności francuska formacja lekkiej piechoty, utworzona pierwotnie z mieszkańców Algierii; także *żuawi śmierci*, doborowy oddział wojskowy powstania styczniowego, sformowany z ochotników na wzór żuawów francuskich. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *Szyllok*, popr.: *Shylock* — jeden z bohaterów *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare’a: podstępny lichwiarz, który zgadza się udzielić nieoprocentowanej pożyczki na dużą sumę, stawiając warunek, że jeśli dłużnik nie spłaci jej w terminie, wówczas on jako wierzyciel będzie miał prawo do funta jego ciała; kiedy inwestycja dłużnika kończy się katastrofą, Shylock żąda przed sądem dotrzymania umowy. [przypis edytorski]

<sup>310</sup> *Piombi* (wł.: Ołowice) — dawne więzienie w pałacu Dożów w Wenecji, położone bezpośrednio pod dachem budynku, pokrytym ołowianymi płytami. [przypis edytorski]

<sup>311</sup> *giardinetto* (wł.) — ogród. [przypis edytorski]

<sup>312</sup> *ustał był* (daw.) — forma czasu zaprzeczonego, dziś: ustał. [przypis edytorski]



*Posępne wróżby — Wyjazd — Przystanek w Mestre — Rada kasjera — Droga na Weronę — Padwa, Vicenza — Joubert i guziki Masseny — Capo di stazione — Hotel Barbese w Weronie*

Kiedy się dowiedziano w hotelu, że nie na Triest morzem, lecz łądem na Pontebbę wracamy, zaczęto na nas spoglądać, uśmiechać się, szeptać, a nasz gospodarz wprost nas zapytał, czy zajmowane dotąd pokoiki mają nas oczekiwać z powrotem.

Naturalnie, zdecydowało nas to ostatecznie do trzymania się pierwotnego planu. Człowiek nigdy nie upiera się przy zdaniu swoim tak, jak wówczas, kiedy czuje, że się w nim trochę pomylił.

Łądem tedy<sup>313</sup> jedziemy — i basta.

Noc jeszcze była, noc wietrzna, burzliwa, kiedyśmy opuszczały hotel Britania, jego windę, która nigdy funkcjonować nie chciała, jego sardynki smażone, jego nieokreślone zupy i dające do myślenia rachunki. Nigdy nie wyobrażała sobie, że tylu tak godnych ludzi troszczy się tutaj o nas, czuwa nad nami i dla naszego dobra się poświęca.

Teraz dopiero, zobaczywszy na wschodach cały sztab hotelowej służby i całą armię fakinów z mniej więcej wyciągniętą ku wziętkowi<sup>314</sup> ręką, poznałam niewdzięczność i nieświadomość moją.

Czas był najwyższy zrehabilitować się i uznać wielkoduszność tych ludzi.

Oto szwajcar, którego jednak, pomimo wszystko co o tym gadają, można było widzieć trzeźwym pomiędzy ósmą a dziewiątą rano. Oto numerowy, który bucików moich nigdy wprawdzie nie czyścił, ale je za to co rano w rękę obracał, kiwając głową z uśmiechem. Oto starszy garson<sup>315</sup> z serwetą, na którego półmisku bywały zawsze jakieś czworonożne, niemające piersi kurczęta; oto drugi, który nie dawniej jak wczoraj oblał mnie sosem dość hojnie.

Oto zacy *facchino*<sup>316</sup>, który zwykle spał na słońcu, w bramie; oto kolega jego, który mnie, gdy wychodziła lub powracała — widywał; oto jeszcze posługacz, co mi się raz przypatrywał gwizdząc, kiedy drzwi z klucza otworzyć nie mogła, i jeszcze jeden, który mi powiedział przed tygodniem, że deszcz będzie padał. Jakże ich nie obdarować, jak nie nagrodzić tych usług?

Obdarowywam więc, a w rozpędzie wyciągam rękę do drewnianego Murzyna<sup>317</sup>, który na zakręcie schodów stał, trzymając lampę nad głową.

Na chwałę rodzaju ludzkiego wyznać tutaj muszę, iż Murzyn ten okazał się bezinteresownym i, nic nie wzięwszy, uśmiechał się, pokazując zęby trzonowe.

Z ostatniego stopnia nad wodą — spojrzalam na Wenecję raz jeszcze.

Chmurna była i pracująca piersią fal swoich, jak człowiek, który ma sny gorzkie. Wspomnienia są twardym węzłowiec dla kamieni nawet.

W czarnej, wichrem smaganej gondoli, dobiłyśmy się nareszcie do dworca, stojącego u północnej kanału strażnicy.

W sali pustka i ciemno prawie. Dwóch oficerów przechadza się melancholijnie około stołu, na którym leżą płaszcze ich i szpady; paru zaspanych posługaczy ziewa szeroko, we drzwiach się rozparliży. Jeden z nich patrzy na kufry nasze, uśmiecha się szyderczo, wzrusza ramionami, potem w bok spluwa i kładzie rękę w kieszenie.

Po chwili pyta:

— Signory do Treviso? Do Mestre?

— Do Mestre? Wcale nie jedziemy do Mestre. Jedziemy do Pontebby.

— Jak Bóg da — mruczy fakino<sup>318</sup> i odwraca głowę ku wzburzonym wodom kanału.

Biegnę do kasy.

— Dwa bileta do Pontebby.

<sup>313</sup>tedy (daw.) — tu: więc. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>wziętek (daw.) — tu: bagaże. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>garson (daw.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>facchino (wł.) — portier. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>Murzyn — tu: drewniana figura, bardzo popularna w XIX w. wśród wyższych kręgów; użyta nazwa jest zgodna z obyczajami epoki i nie kryje żadnych pejoratywnych znaczeń. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>fakino (wł. facchino) — portier. [przypis edytorski]

Kasjer podniósł głowę i spojrzał mi bystro w oczy.

— Zarząd kolei nie wydaje teraz biletów na całą linią. Wody wystąpiły, droga nie wszędzie pewna, komunikacja miejscami zerwana.

— Jak to? Więc nie pojedziemy?

— Owszem, do Treviso. Do Treviso poręczamy dziś jeszcze wszelkie bezpieczeństwo.

— A dalej?

— Ha!... — Kasjer rozstawił ręce i ramiona podniósł.

Spojrzałyśmy po sobie. Powrócić? Byłoby to może najlepiej. Myśl jednak o tryumfie całej rzeszy, pozostawionej na schodach Britanii, popchnęła nas na drogę męskiego postanowienia.

Jedziemy do Treviso. Nie ma co.

Dniało już było, kiedyśmy w Mestre stanęli razem z chmurą, która za nami od Adriatyku szła, a teraz, w kłęb się zwinąwszy, zaczęła grzmieć i grzechotać, i błyskać w sobie czerwono.

Świszczący wicher trząsł wszystkimi węglami niepozornej stacji, a gruby nawalny deszcz z łoskotem spadał na szklany dach podjazdu.

W izbie duszno, gorąco; kilku otulonych w płaszcze mężczyzn drzemie na ławach pod ścianą; inni wałęsają się posępnie od drzwi do okna i z powrotem, wielki kot bury iskrzy pod stołem oczyma.

Zwątpienie jakieś zaczęło mnie ogarniać.

Naraz dał się słyszeć sygnał, to pociąg przybywał na stację, aby wysypać w Mestre garść podróżnych, co wczoraj rano z Wenecji się wybrali, a dziś — napiwszy się wina w Treviso, byli już z powrotem, bo dalej stamtąd wyruszyć ani sposób.

Zaczęto pytać, radzić, opowiadać.

Jakis tłusty jegomość zbliża się do mnie i zapewnia że tam... za Mestre koniec świata i potop po prostu, że on — choć mężczyzna — za nic w świecie by tam nie jechał, że zresztą ani jednej kobiety między podróżnymi nie widział.

— I cóż to znaczy? — mówię mu z dumą. — My, my jesteśmy Polki.

Włoch głowę skłonił — i odszedł.

Co tu jednak począć?

Pocziwy kasjer, trochę łysy, trochę niewyspany, wziął naszą sprawę gorąco do serca. Pióro za ucho zatknął, ku sufitowi podniósł nos olbrzymi, a gładząc ręką podbródek, w smętnej rozłące z brzytwami od tygodnia przynajmniej żyjący, dumiał przez chwilę głęboko, a potem trzasnął w palce i rzekł:

— Cóż wam, signora na linii Pontebba zależy?

— Właściwie nie, byle się tylko do granicy dostać...

— Więc można by na Alą, przez Weronę...

— Czemu nie? Można i przez Weronę.

— Nie wiem, jak to tam jest — mówił dalej, wyjmując pióro zza ucha — ale tu, tu się, signora, z pewnością nie wydobędziecie.

Towarzyszka moja waha się przez chwilę, mnie jednak sama myśl o Weronie uśmiecha się bardzo; staję się więc wymownym kusicielem i zwyciężam wreszcie. Wnet lepsza otucha w nas wstępuje, wołamy o kufry, bagaże, a podczas kiedy nasi tchórze do Wenecji wracają, my, w uspokojonym już nieco powietrzu, odbijamy się od Mestre na zachód, ku Murano i dolinie Brenty.

Daleko gdzieś, daleko, rysuje się w powietrzu mglista linia Alpów tyrolskich, a tam znów het, het, błękitnieje weneckie pobrzeże, a bliżej na lewo stoi port Malghera — a oddech lagun aż tu wędrowca goni wilgotną swoją świeżością.

O morze! Bądź mi pożegnane, morze!

Po burzy słońce wschodzi w perłowym, na pół przezrystym zmierzchu, objaśniając dziwny krajobraz.

Jak daleko okiem sięgniesz, pod wodą stoją pola i ogrody. Czerwony, gliniasty namul po pas winnice pławi i morwy wśród nich stojące, po czuby kukurydzy złote. Woda idzie jak rzeka, za wiatrem wschodnim marszcząc się leciuchno<sup>319</sup>; a choć burt kolejowy i mosty jeszcze się nad nią dźwigają bezpieczne, podsycona świeżym dżdżem fala wspina się ku nim

<sup>319</sup>leciuchno (daw.) — tu: lekko. [przypis edytorski]

i muska je, i lechce, i nie trzeba być prorokiem, aby odgadnąć, iż wzmógłszy się w sobie, uderzy tu szturmem i gwałtem.

Bacchiglione to i Brenta — całe owe rozlewisko ze srebrnej puściły smyczy, same też z koryt pchnięte naporem górskich strumieni.

Na drodze pusto. Ani kopyta śladu, ani drewnianego sabota<sup>320</sup>.

Wiejskie domostwa, z szarego kamienia stawiane, kawałem starych murów ochronione, tu to tam zamkniętego bydła przepuszczają ryk głuchy. Wielkie i ciężkie dżdzu krople po gałęziach przydrożnych akacji wiszą, ku ziemi je ciągnąc i czynią z nich drzewa płaczące.

Smutek jakiś w powietrzu i klęski idącej przeczucie, co jednak nie przeszkadza wcale dobremu humorowi podróżnych.

Kiedyśmy w Mestre do wagonu wsiadały, prosiłam konduktora, aby nam dał osobny przedział. Konduktor na to ramionami wzruszył.

— Dziś każdy osobny, signora. Nie wiozę i trzydziestu osób.

Istotnie, zrazu tak było cicho, iż zdawało się, że jedziemy zupełnie same. W miarę jednak, jak słońce w górę szło, z pół tuzina młodych głosów zbudziło się tuż obok. Najpierw było to uniwersalne ziewanie na przeróżne tony; potem słówko bąknięte z tego, to z owego kąta; wreszcie coraz hałaśliwsza rozmowa, która właśnie doszła była stopnia szkolnej wrzawy, kiedy się ukazała Padwa.

Pieszą bym tu pątnicą szła<sup>321</sup>, aby oglądać z bliska te mury, na które tyłu mężów drogich narodowej sławie naszej patrzyło, gdyby nie zalew ten, co nam drogę spod nóg niemal chwycił i do pośpiechu naglił dalekimi hukami. A tak ledwo oczyma rzuciłam na tę szacowną starą wiedzę skarbnicę; ledwo kilka hardych kopuł dojrzałam spoza fortyfikacji, świadczących, iż obywatele Padwy nie tak znów bardzo liczą na cudowną grodu swojego obronę. *Il santo*<sup>322</sup> swoją drogą, a inżynieria — swoją.

Od Padwy droga nasza, ku północy się wzięwszy, wzdłuż Bacchiglione szła, ledwo co nad winnice, wodą zalane, wzniesiona.

Poza stacją Pojana dopiero zaczęła się cośkolwiek wzwyż dźwigać, i tak — dobierając się cięższego coraz gruntu — wyniosła się ku Vicenzie na dwa wzgórze przez Rzymian rzuconej.

Położenie miasta precudne. Tłem jego poczerńiałego castelu<sup>323</sup> i starych murów, i nowych budowiań, są pagóry obleśne<sup>324325</sup> zamierzchłe od ciemnej drzew zieloności. Amfiteatr to pełen majestatu i siły, najwyższymi piętrami swoimi zlewający się z lekkim błękitem.

Drobna jakaś rzeczka<sup>326</sup> udaje w tym powszechnym rozlewisku bardzo wielką i potężną rzekę, i dostrumienia tu wody swoje do Bacchiglione, który i bez tej przyprawy, wysoko nad brzeg wykippa. Nie wiem, jakie wrażenie zrobiłaby na mnie Vicenza lepiej poznana, ale wiem, że obaczona<sup>327</sup> w przelocie, oczy porywa za sobą i długo na myśli stoi.

— *Pronti! Pronti!*<sup>328</sup> — woła konduktor, patrząc na lecących wód hufce, a na głos ten porywa się pociąg nasz — i jakby żywa istota przed groźącą pogonią — ucieka.

Same już nazwy miejsc tych, które — minąwszy Tavernelle — przelatujemy z pośpiechem, trzymają nas niejako nad poziomem zalewu, a i myślom dają skrzydła i wloty jakieś wpółsenne.

<sup>320</sup>sabota (daw.) — drewniak, rodzaj obuwia. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>pieszą bym tu pątnicą szła (daw.) — tu: szła bym pieszo jako pątnica, czyli jako uczestniczka pielgrzymki. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>il santo (wł.) — święty. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>castel (wł.) — zamek. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>pagóry obleśne — tu: zalesione. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>\* Monti Berici (przyp. z wydania z 1884 r.) [przypis autorski]

<sup>326</sup>\*\* Retrone (przyp. z wydania z 1884 r.) [przypis autorski]

<sup>327</sup>obaczona (daw.) — zobaczona, ujrzana. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>Pronti! Pronti! (wł.) — Odjazd! Odjazd! [przypis edytorski]

Oto Montecchio i Montecchich<sup>329</sup> zamki; oto Montebello; oto Scaligerów<sup>330</sup> Montario; oto tam, ku południowi kędyś Arcole<sup>331</sup> grzmi stuletnim echem wielkiego boju swojego.

O Lannes<sup>332</sup>! O Massena<sup>333</sup>! Ileż ja o was walk w dzieciństwie moim stoczyłam, a dziś, ku Arcole waszemu patrząc tak z bliska, tak sama, tak smutna!

Bratu mojemu i mnie dawał ojciec czasem do oglądania książkę z wizerunkami marszałków Francji.

Wybieraliśmy sobie wtedy spośród nich ulubionych bohaterów, o których sławę, wyższość, a nawet frędzle od szarfy zawzięte powstawały sprzeczki.

Lannes i Massena byli ideałami brata mojego, dla dzielnej miny i dla wielkich czynów. W rejestrze chwały wojennej kładł on ich zaraz po Neju<sup>334</sup>, którego z koniem i bez konia przerysowywał na każdej wolnej ćwiartce papieru.

Co do mnie, o wiele bardziej podobał mi się Joubert<sup>335</sup> z ognistą i ciemną twarzą oraz po republikańsku urodziwy Łazarz Hoche<sup>336</sup>. Skutkiem tych różnic w opinii wywiązywały się dotkliwie szyderstwa i cierpkie przymówki o „nędznym guście kobiet”. Miałam wtedy lat dziewięć, dziesięć może, ale niemniej czułam to głęboko.

W dumnym tedy milczeniu słuchałam przycinków tych czas jakiś, aż wreszcie, zacierwieniona z oburzenia, zaczynałam krytykować guziki Masseny albo rękawice Neja — do poważniejszych zarzutów nie czułam się zdolną — i to było punktem wyjścia dla zaciętej kłótni, kończącej się wtedy dopiero, kiedy przewracając kartki z energią, nic dobrego książce nie wróżąc, trafiliśmy wypadkiem na księcia Józefa<sup>337</sup> w ułańskiej kurtce, z oczyma w niebo wzniesionymi.

— Ten mój! — wołałam wtedy z zapalem.

— I mój! — dodawał brat mój zamyślonym głosem.

I patrzyliśmy na bohatera naszego, przytuliwszy głowy do siebie — i tak nastawała zgoda.

Biedny chłopcze! Żołnierzu małoletni, niepożegnany na bój, niebłogosławiony! Bez wodza ty poległ, bez broni, bez chwały. Nie było tobie bohatera, za którym byś szedł, ani konia, ani lancy ułańskiej. O mogile twojej ptacy<sup>338</sup> tylko wiedzą, a zna ją rosa polna, co przychodzi płakać nad samotnymi grobami.

Gdzie moje myśli zaszły?

---

Ktokolwiek jesteś, wędrowcze, przestępujący próg sali jadalnej na dworcu kolei w Weronie, wiedz, że najistotniejszą częścią obowiązków twoich jest zadysponować sobie kotlet *à la Milanaise* i popić go kieliszkiem czerwonego wina, które stoi dwoma rzędami butelek niekorkowane, pod oliwą tylko. Po czym możesz otrzeć usta serwetą, zapłacić w bufecie, wziąć powóz i pojechać w miasto.

Czy jednak powrócisz stamtąd — któż zgodnie?

*Capo di stazione*<sup>339</sup> w Weronie jest małym wprawdzie, ale przewidującym, bardzo uprzejmym człowieczkiem. Ledwo spojrział na mnie, już wiedział, jak gorąco pragnę z bli-

---

<sup>329</sup> *Montecchi* — włoski ród, z którego wywodził się Romeo, bohater tragedii Szekspira *Romeo i Julia*. [przypis edytorski]

<sup>330</sup> *Scaligero* — ród włoski, z którego wywodził się m.in. Giulio Cesare Scaligero, włoski humanista. [przypis edytorski]

<sup>331</sup> *bitwa pod Arcole* (1796) — starcie zbrojne podczas wojny Francji z pierwszą koalicją. [przypis edytorski]

<sup>332</sup> *Lannes, Jean* (1769–1809) — marszałek cesarstwa francuskiego od 1804, książę Montebello, uczestnik wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>333</sup> *Massena, André* (1758–1817) — książę Rivoli, książę Essling, marszałek cesarstwa francuskiego, uczestnik wojen napoleońskich, walczył m.in. w bitwie pod Arcole. [przypis edytorski]

<sup>334</sup> *Ney, Michel* (1769–1815) — marszałek Francji, walczył w obronie rewolucji francuskiej oraz w wojnach napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>335</sup> *Joubert, Barthélemy Catherine* (1769–1799) — francuski generał Armii Italii w okresie Rewolucji. [przypis edytorski]

<sup>336</sup> *Hoche, Louis Lazare* (1768–1797) — francuski generał okresu rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>337</sup> *Poniatowski, Józef* (1763–1813) — polski generał, dowódca armii koronnej Rzeczypospolitej, minister wojny i naczelny wódz wojsk polskich Księstwa Warszawskiego, członek Rady Stanu, marszałek Francji. [przypis edytorski]

<sup>338</sup> *ptacy* (daw.) — dawna forma l.m rzeczownika ptak, dziś: ptaki. [przypis edytorski]

<sup>339</sup> *capo di stazione* (wł.) — kierownik stacji. [przypis edytorski]

ska obaczyć Weronę, od razu też odgadł, że zwiedziwszy miasto, właśnie w sam czas trafimy na pociąg, który jutro raniutko do Ala odchodzić ma.

Tymczasem on rzeczy nasze w magazynie pomieści, bo na cóż je z sobą wozic — a tak będzie wszystko w porządku.

A gdy to mówił, ogromny do brytana z fizjonomii podobny *facchino* nr 2 kiwał uroczyście wielką swoją głową, potwierdzając przewidywania szanowanego *capo*. I jakżeśmy, biedne kobiety, zawierzyć temu nie miały?

Jak na toż nadbiegł Grek z żółtą, ostro rzeźbioną twarzą, z krótkimi, siwiejącymi już włosami i, kłaniając się jak Niemiec, gestykulując jak Francuz, rzucając oczami jak Cygan, zapewnił nas po włosku, że właśnie na nas tylko czeka jego prześliczna, świeżo odnowiona, daleko owszem lepsza od każdej nowej *carozza*<sup>340</sup> z hotelu *Barbesi delle due Torri*<sup>341</sup>, który — gdyby nie intrygi „pewnych indywidualów” mógłby się nazywać hotelem trzech, czterech, a nawet pięciu wież, tak jest wspaniały, książęcy, królewski. Dodał przy tym, że *carozza* jego może pomieścić cztery damy i czterech *cavaliere*<sup>342</sup> albo odwrotnie, że jest na resorach tak dobrych, że i do zegarka lepszych nie potrzeba, że konie „dwóch wież” czysty owies jadają, że Werona jest rajem — a on się na Korfu urodził.

Tu dobył fular<sup>343</sup> i otarł pot z czoła, a przymrużywszy palające oczy, przybrał minę rozrzewnienia pełną. Po czym elegicznym gestem sięgnął po parasolki nasze i siedł przed nami z twarzą natchnioną, jak gdyby był prologiem, otwierającym poemat liryczny.

Zaledwieśmy jednak wsiadły do owej *carozzy*, która okazała się być czerwono malowanym omnibusem hotelowym, kiedy nasz Baziliades czy może Paparigopulos<sup>344</sup>, nagle się na twarzy odmienił, zatrzasnął drzwiczki, zapadające z pośpiechem pułapki, i stanąwszy na stopniu z determinacją policjanta uwożącego dwóch ważnych przestępców — Ruszaj! — krzyknął na woźnicę, niemogącego jakoś namówić do drogi owych sławnych rosyntantów gołym pasionym owsem.

Wyznaję, że w pierwszej chwili miałam ogromną ochotę wysiąść i pójść pieszo, tym bardziej, że większa część *carozzy* zawalona była jakimiś tobołkami, mającymi zapewne reprezentować owych czterech *cavaliere*. Grek jednak silną dłonią trzymał drzwiczki z zewnątrz, odpowiadając na przedstawiania nasze najśłodszy głosem: *Va bene, va bene, signora!*<sup>345</sup>

Tymczasem zawadziliśmy o coś i nagle stanęli, a kiedy się nasz Grek ku woźnicy odwrócił i świata nam trochę odsłonił, ujrzałam z zadziwieniem kilka prostych wozów, wiozących w kierunku miasta wielkie kanonierskie łodzie.

— Co to jest? — zapytałam Greka.

— To? — odrzekł, mrugając oczyma — to łodzie, droga signoro.

— Widzę, że łodzie; ale po co je do miasta wiozą?

— *Oh niente!*<sup>346</sup> Najdroższa signoro, może na skład, do naprawy może, stare widzę jakieś łodziska — dodał wzgardliwie, ramionami wzruszywszy.

A widząc, że pani T. podnosi się, aby wyjrzeć okienkiem:

— Signoro — zawołał, rozstawiając ręce — może signora życzy sobie mówić ze mną po rumuńsku albo po węgiersku, po bułgarsku może? Znam wszystkie języki europejskie i kilka innych jeszcze. W młodości...

Tu urwał i zeskoczył, bo wrzawa jakaś zbliżała się ku nam i zgiełk uliczny wzrastał. Spojrzałam pełno ludzi na wyniesionych nad poziom chodników, przeciw nam biegnie jakaś kobieta z dzieckiem, przed nami — ulica pod wodą.

Nie można już było wysiąść — Grek nadbiegł.

— Nic to, signoro droga! Kanał zepsuty czy coś tam takiego, ale tu, tu na prawo droga zupełnie sucha, natychmiast jesteśmy w miejscu. Ruszaj!...

Skręciliśmy i przejechali ulic kilka. Istotnie, sucho tu było; niemniej jednak złowrogie szum gonił za nami, a ludzie biegli z przerażeniem jakimś. Grek nasz tymczasem gadał

<sup>340</sup>*carozza* (wł.) — powóz. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>*delle due Torri* (wł.) — dwóch wież. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>*cavaliere* (wł.) — kawaler. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>*fular* — cienka tkanina. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>*Paparigopoulos, Constantine* (1815–1891) — grecki historyk uważany za twórcę współczesnej historiografii greckiej. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*Va bene, va bene, signora!* (wł.) — Dobrze, dobrze proszę pani! [przypis edytorski]

<sup>346</sup>*Oh niente!* (wł.) — Och, to nic! [przypis edytorski]

niestrudzenie i wtedy dopiero, kiedy *carozzajego* wjeżdżała w bramę hotelu Barbesei zamilkł i uśmiechnął się jak tryumfator.

W dziedzińcu zrobiła się wrzawa; oglądano nas tak ciekawie, jak branki z nieprzyjacielskiego obozu odbite; gospodarz przedstawił nam się z wielką ostentacją, a kiedyśmy zażądały natychmiast powozu dla zwiedzenia miasta, oświadczył, że za chwilę wszystko będzie gotowe.

Hotel Barbesei, widocznie z dawnego jakiegoś pałacu zrobiony, dosyć się oryginalnie przedstawia.

Prostokątny dziedziniec jego, wyłożony okrągłymi kamykami białej i czerwonej barwy, przypomina z gruba mozaikę starą.

Dokoła, na wysokości piętra, leciuchny balkon, południowymi krzewami zdobny, daje wejście do pojedynczych pokoi dla gości.

Na dole, w głębi, spuszczone z zielonego sukna zasłona kryje wejście do wozowni i stajen. Brama..., lecz gdy się obejrzała ku bramie, zobaczyłam szybko idącego Greka, który przystąpiwszy do nas, rzekł:

— Powozu jeszcze nie ma, signora. Za godzinę wszakże będzie.

— Cóż woda?

— Woda? At zwyczajnie rzeka.

— Więc to nie kanał się zepsuł?

— Skądże by! To Adyga.

Zaniepokojone poszłyśmy na górę do siebie.

Była to komnata wielka, staroświecka, której podłoga ugiwała się pod stopą taflami całymi. Ogromny, ciemny dywan ją zaścierał, bo może po widocznym próchnie nikt by się tu stąpić nie ważył. Na ścianach i suficie malowidła szerniałe, w części tylko widne, w kącie wielki marmurowy komin, zastawiony szafką pospolitej roboty.

Zwykle hotelowe meble klóciły się z wspianą rzeźbą w dębie, stanowiącą futrynę dwojga drzwi wewnętrznych.

Przeglądałam się im właśnie, kiedy pani T., zbliżywszy się do okna krzyknęła. Podbiegłam. Okno wychodziło na obszerny plac, zalany w trzech czwartych wodą.

Fale z wielkim impetem szły, rozbijając się z jednej strony o zrąb hotelu Barbesei, z drugiej o jakąś starą furtę czy dzwonnice klasztorną, ponad którą na sarkofagu szerniałym leżała zakonnica w sztywnej kamiennej sukni.

W głębi placu kościół, na którym dojrzałam napis: *San Nicolo sotto riva*<sup>347</sup>. Jeszczem nie zdjęła oczu z rzeźbionego fryzu tej świątyni, kiedy woda z szumem wielkim idąca, podsunęła się pod sam jej portyk prawie. Wtedy to drzwi kościoła otwarły się z wewnątrz, a na najwyższym stopniu schodów ukazały się postacie ludzkie — mężczyźni, kobiety, dzieci. Rozległy się wołania, krzyki, na które tylko głuchy huk wody odpowiedź dawał.

Kilku mężczyzn próbowało zejść niżej, ale się wnet cofnęli przed następującą na nich falą, nie puszczały ich zresztą kobiety, podwajające krzyki za każdą zuchwalszą próbą.

Jeden tylko wyrostek, wysmukły chłopak, ze schodów w wodę śmiało szedł — po kolana, po pas, po pierś, aż chwycił się słupa latarni, stojącej na środku placu, a spojrzawszy ku kościołowi, od którego nie wołał go głos żaden, kapelusz z głowy zdjął, pokłonił się i, tłukąc pięścią falę, co go wstecz pchała, szedł mocno przed siebie, aż zniknął za węglem dzwownicy. Jakiś dziecinny przestrasz mnie ogarnął.

Nie mogłam patrzeć na tych ludzi, na ten kościół, na tę wodę — wybiegłam na balkon wewnętrzny.

W dziedzińcu ogromny zamęt. Woda wydobywa się gwałtownie przez bramę; drobne kamyczki bruku wyglądają jak dno strumienia — płytkiego jeszcze, lecz który przybiera co chwila.

Cofnęłam się do pokoju w osłupieniu jakimś, gdy wtem ktoś do drzwi zapukał dyskretnie.

Był to Grek przekłety.

— Powozu nie ma, signora; nie zdałby się zresztą na nic, Werona pod wodą. Signory życzą sobie może czego?

<sup>347</sup> *San Nicolo sotto riva* (wł.) — Świątyni Nicolo nad brzegiem. [przypis edytorski]

*Noc w Weronie — Łódź municipalna — W podwórzu — Rozmowa z Grekiem — Jedziemy — Caretto — Na banhofie — Powrót — Colomba d'oro — Co Adyga widzieć pozwala w Weronie — Wyjazd.*

Pierwsza noc, jaką spędziłam w Weronie, była posępną i złowróżbną nocą. Z wieczora jeszcze wiatr nawiał chmur ciężkich, z których się puścił deszcz chłodny, wytrwały, cierpliwy, przejmujący nudą jakąś i troską stare mury Dwu wież, gdzieśmy uwięzionymi byli.

Nieskończony plusk deszczu tego łączył się z głuchym hukiem wypartej z głębin swych rzeki, która przysła bić czołem o kamienne schody kościoła. Wśród posępnych jej szumów rozlegały się od czasu do czasu przenikliwe nawoływania i wiosel plusk, i krzyki głosów strwożonych; a ja zrywałam się wtedy spod muślinowych kotar wielkiego, staroświeckiego łoża i biegłam do okna, przez które były czerwone blaski żagiew, świecących ratunkowym łodziom.

Nad ranem dopiero chwycił mnie sen ciężki, a kiedym się zbudziła, dzień mało co jaśniejszy był od nocy i równie jak ona ponury. Deszcz nie ustawał, woda przybrała jeszcze. Z San Nicolo bił dzwon, obwołując miastu trwogę; a u wejścia, na progu kościoła tłum ludu, zamknięty tam noc całą, wołał: *La barca! La barca!*<sup>348</sup>.

Byli to mieszkańcy zalanych dzielnic Weroni, którzy tu od wczoraj jeszcze znaleźli schronienie. Jakoż niebawem nadpłynęła ogromna łódź kanonierska, a w niej urzędnik municipalny przywoził chleb i wino obłożonym przez Adygę biedakom. Że jednak dalej jak do schodów podpłynąć nie mógł, ustawiono pomost z kościelnych gratów, po którym mężczyźni po żywność szli wśród wrzasku strwożonych kobiet. Aż kiedy zabrali już i chleby, i gąsiory z winem, człowiek stojący w łodzi schylił się i podjął na rękach jakieś uśpione maleństwo, któremu spod grubej chusty cienkie, zwieszono nożyny widać tylko było. Wzięli tedy z sobą biedactwo owo, niewiedzące, co się z nim dzieje.

W dziedzińcu tymczasem prawdziwa komedia.

Choć woda jeziorem tu stoi, zbyt jednak płytką jest, aby wielka kanonierska łódź wpłynąć na nią mogła. Cała przeto ludność hotelu próbuje urządzić komunikacją od schodów do bramy, gdzie poziom niższy znacznie i woda głębiej idzie. Wenecjanin, a nawet nasz Poleszuk lichy, dawno by tu już sobie jakąś radę dał, ale Werończyk wobec wody osłupiały stoi, a niezręczność jego przechodzi wszelkie pojęcie.

Za deskę, którą by dwóch chłopów lekko dźwignąć mogło, pięciu się bierze; a kiedy już ją chwycili, trzech przewraca się w wodzie, jeden puszcza deskę ze strachu, a pozostały klnie na czym świat stoi, nie mogąc się ani cofnąć, ani naprzód iść. Trzeba znać Włochów i wiedzieć ile słów próżnych, ile gestów, okrzyków zużywają przy najmniejszej sposobności, aby mieć wyobrażenie, co tu za harmider i wrzawa. Goście wszyscy na ganek wylegli, niekoniecznie bacząc, jak tam kto odziany. Jedni wołają łódki, drudzy woza, trzeci śniadania, a wszyscy razem krzyczą, radzą, dysponują, gospodarz tymczasem w ukryciu gdzieś siedzi, obliczając kontrybucję, jaką mu przy amatorskich cenach mieszkań i obiadów, wszyscy ci przypadkowi więźniowie hotelu Delle due Torri zapłacić będą musieli. Mam wszelkie podejrzenie, że i nasz Grek szanowny cieszy się z nim razem, obliczając pogłówne od dostawionych Dwu wieżom gości.

Myślałam, że dzień ten nigdy nie będzie miał końca — skończył się jednak, a po nim przysła noc bez gwiazd, bez snu, bez spokoju.

Z rana ogarnęła mnie rozpacz jakaś; powiedziałam sobie, że albo taśmę od dzwonka urwę, albo się Greka naszego dowołam.

Jakoż przyszedł.

Oczy miał zadumane, twarz smętną. Wyglądał jak kochanek zdradzony.

— Chcemy łodzi, powozu, balonu! — zawołałam niecierpliwie. — Chcemy rachunku! Grek skłonił się.

— Signory będą dziś miały czekoladę na wodzie — rzekł z powagą. — Mleka nie dostawiono.

<sup>348</sup>*La barca! La barca!* (wł.) — Łodzi! Łodzi! [przypis edytorski]

— Ale my nie chcemy czekolady! My chcemy jechać!

— Signora żartuje. Śniadanie natychmiast podadzą.

Zniknął za drzwiami. Taśma ocalała, ale w losie naszym nic się nie poprawiło.

Przez chwilę stałam na środku pokoju jak urzeczona, nagle przysła mi do głowy myśl świetna. Pobiegłam do okna, a kiedy znów łódź municypalna żywność zamkniętym w kościele przywiozła, wychyliłam się i zaczęłam wołać: *La barca! La barca!* Urzędnik stojący w łodzi ku oknu spojrzął, popatrzył na mnie, głową skinął, a złożywszy obie dłonie przy ustach, iż huk wody głos stłumił, krzyknął krzepko: *In mezz'ora!*<sup>349</sup>.

I wnet ku kościołowi się zawrócił, chleb i wino czekającym oddał, z dziesięciu może mężczyzn do łodzi z sobą wziął i nie bawiąc, raz jeszcze skinąwszy mi głową, odpłynął. Uczułam szaloną, dziecinną prawie radość.

Zaczęłam w ręce klaskać, po pokoju biegać z wielkim jego sędziwej posadzki niebezpieczeństwem i przestachem myszy rezydujących tam od czasów Mercucia<sup>350</sup> jeszcze; po czym, że już chłopak z czekoladą filiżankami w korytarzu brząkał, przybrawszy twarz obojętną, zażądałam natychmiast rachunku.

Oparło się to widać o Greka naszego, gdyż w chwilę później zjawił się z uśmiechem wyższości na ustach, wszakże nie bez lekkiego zmieszania.

— Za pół godziny jedziemy — rzekłam mu z wielkim spokojem, choć mi głos coś niecoś drżał. — O rachunek proszę.

— Czy wolno zapytać, jak signory jadą?

— I owszem, wolno. Jedziemy łodzią.

— O, w takim razie, to nie dzisiaj chyba.

— Proszę o rachunek zaraz — powtórzyłam dobitnie, a odwróciwszy się ku oknu, z wolna odeszłam.

Paparrigopoulos przez chwilę u drzwi stał, zapomniawszy jakoś na razie wszystkich swych europejskich języków i niektórych innych; po czym widząc, że nikt na niego uwagi nie zwraca — wyszedł, zamykając drzwi z namysłem.

Wnet rozbiegła się po hotelu wieść, że *due signori*<sup>351</sup> decydują się na dalszą drogę. Nie spodziewano się tego widocznie. Sam gospodarz przybiegł nas mitygować, obawiając się, aby ten czyn odwagi kobiecej nie zdemoralizował mu i reszty gości.

Istotnie, przykład okazał się zaraźliwym.

Jeszcze zacny Barbesi nie wyszedł był za drzwi, kiedy w nie zapukano leciuchno<sup>352</sup>. Był to sąsiadujący z nami o ścianę tłusciuch, nie wiem już jakiej narodowości, który przez dwie ubiegłe noce prawdziwie po mazursku chrapał w sposób zagłuszający huk wody.

— Czy panie naprawdę jadą? — zapytał mąż ten szanowny.

— *Si signor*<sup>353</sup>, za pół godziny.

— Ha, to i ja jadę!

Rzucił się za nim gospodarz, jak człowiek, który traci najpiękniejsze marzenie życia swojego; stanowczy jednak głos tłusciucha nie wróżył dobrego końca tej sprawie.

Tymczasem w uliczce na plac prowadzącej ozwał się plusk naszej łodzi, w której urzędnik municypalny był kapitanem. Jego samego zdawała się ta impreza nasza zajmować w szczególny sposób.

Jak tylko usłyszanym być mógł, pozdrowił nas głośno; po czym drabinkę do okna rzuciwszy, zejść nam po niej dopomógł, tak że cała ta przeprawa à la Romeo odbyła się dość pomyślnie, lubo<sup>354</sup> nie bez strachu. Zaledwieśmy się jednak umieścili w łodzi nieco brudnej i dobrze wodą nabranej, kiedy oczom naszym przedstawił się widok, który i trapię nawet do śmiechu pobudzić by musiał.

Na karkach dwóch tęgich fakinów, po piersi brodzących w wodzie, jechał nasz tłusciuch w ten sposób, że każda z ogromnych nóg jego piastowaną była przez innego człowieka. Sam jeździec spocony, zdyszany, w kapeluszu z czoła zsuniętym, trzymał w jednym ręku olbrzymi parasol, a w drugim worek podróżny.

<sup>349</sup>*In mezz'ora!* (wł.) — Pół godziny! [przypis edytorski]

<sup>350</sup>*Mercutio* — drugoplanowy bohater tragedii Szekspira *Romeo i Julia*, przyjaciel Romea. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>*due signori* (wł.) — dwie panie. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>*leciuchno* (daw.) — lekko, delikatnie. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*si signor* (wł.) — tak, panie. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>*lubo* (daw.) — tu: chociaż. [przypis edytorski]



Jękła łódź nasza pod nowym tym ciężarem i głębiej podeszła wodą; gdy wtem zjawił się nam jeszcze jeden towarzysz podróży. Był to jakiś młody Anglik, kontentujący<sup>355</sup> się karkiem tylko jednego fakina, podczas gdy drugi niósł za nim na głowie walizkę i złożoną sztalugę.

Zrazu płynęliśmy dosyć szczęśliwie, wśród domów zatarasowanych na glucho, odpierając się wiosłami od węglów, przy których tworzące się wiry kręciły ogromną naszą łodzią jak łupiną dyni. Ludzi nie widać było nigdzie; miasto wyglądało jak martwe. Wkrótce jednak wiosła coraz silniej o kamienie stukać zaczęły, aż i samo dno łodzi zgrzytnęło na bruku; zaczęłam<sup>356</sup> dalej już płynąć nie było sposobu.

Lekka jakaś łódeczka byłaby się i tutaj poniosła, ale nasza kanonierska barka potrzebowała dobrze głębokiej wody.

Dwóch żołnierzy wyniosło tedy naszego tłuszciocha tym samym jak poprzednio kształtem, na co ja patrząc, pomimo całej przykrości położenia, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu; po czym jeden z wiosłarzy dźwignął na plecach panią T. W łodzi został tylko malarz z niewzruszoną powagą przypatrujący się tym operacjom, i ja, com się tego przenoszenia bała jakoś po trosze.

— *Come bambino, sapete*<sup>357</sup> — szepnęłam Włochowi, który mi nadstawił żyłaste swoje ramiona. Wziął mnie tedy na ręce, jak się dzieci bierze, a zbrodziwszy parę ulic, postawił mnie na placyku jakimś, dość suchym, ale jak wyspa wodą oblanym dokoła.

Był to, jakżem się później dowiedziała, plac poczty, co jednak położenia naszego nie poprawiło bynajmniej.

Czekano już tam na mnie. Tłuszcioch otrząsał się jak brytan skąpany, malarz przybywał ostatni z równą jak przedtem powagą, jadąc na karku fakina.

Ludniej tu trochę było; przypatrywano nam się z okien, z balkonów; z tym wszystkim pozycja nasza nie była do pozazdroszczenia; powiem nawet, że musieliśmy wyglądać dość śmiesznie.

Na cośmy tam czekali<sup>358</sup> — sama nie wiem dobrze; prawdopodobnie na boskie zmiłowanie. Jakoż nie zawiodło.

W ulicy pokazał się człowiek, ciągnący w wodzie wysoki, dwukolny wózek, który to w sobie osobliwego miał, że kiedy dyszel w górę szedł, rama z desek, za pokład ciężarom służąca, opadała gwałtownie w tył; kiedy zaś ciągnący puścił dyszel z ręki, deski równie gwałtownie podnosiły się do góry.

Nie twierdzę ja, aby *caretto*<sup>359</sup> taki dostarczał najbardziej pożądaných warunków przenoszenia się z miejsca na miejsce; o ile jednak nie spadnie się z niego — pozycja w ogóle odejmująca złudzenie — o tyle wyobrażać sobie można jadąc, że się jest którąkolwiek z pięknych jarzyn, wózkami takimi zwykle na targi wożonych. Uwagę powyższą zrobiłam naturalnie już w drodze, lecąc w tył lub wznosząc się nagle, ilekroć Włoch dyszłem szarpnął, w pierwszej jednak chwili wszyscyśmy bez namysłu wołali: *Caretto! Caretto!*

Włoch wzdragał się zrazu; za sześć lirów jednak podjął się nas zawieźć do dworca, o tłuszciochu tylko słuchać nawet nie chciał, a i malarzowi, po próbie ruszenia z miejsca, zsiąść kazał.

Część miasta, którąśmy przebywali teraz, znacznie mniej ucierpiała od wody; ludzie kupili<sup>360</sup> się tu radząc, patrząc, wzdychając.

Poza Erberią<sup>361</sup>, gdzie zaledwie parę straganów z warzywami stało, spotkaliśmy fiakra<sup>362</sup>, którego woźnica w lakierowanym kapeluszu z trąbką wybawił nas od zmienności losu wózkowi naszemu właściwej i przed sam dworzec z wielką nas paradą a trzaskaniem bicza dostawił.

W drodze zauważyłam już jednak, że wszystko tu inaczej jakoś wygląda, niż wówczas, kiedyśmy pamiętną ową „carozza” z Grekiem do miasta jechały. Że przecież po katastrofie,

<sup>355</sup>kontentujący (daw.) — zadawałający. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>zaczęłam (daw.) — zatem, przeto. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>*Come bambino, sapete* (wł.) — Jak dziecko, wiecie... [przypis edytorski]

<sup>358</sup>cośmy (... ) czekali (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: co (... ) czekaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>*caretto* (wł.) — wózek. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>kupić (daw.) — tu: gromadzić się. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>*campo Erberia* — jeden z placów w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>362</sup>*fiakier* (daw.) — dorożka. [przypis edytorski]

jaka spotkała Weronę, żadna zmiana zadziwiać nie powinna, przestałam zwracać uwagę na piękne drzewa rosnące w dwa rzędy tam, gdzie ich przedtem wcale nie było, tudzież na różnicę w wielkości samego dworca, który mi się wydał dużo jakoś szczuplejszy.

— Facchino nr 2 — wołamy z fiakra jeszcze, uszczęśliwione, że na koniec z owego potopu ruszymy, gdy wtem z szeregu posługaczy występuje drobny chłopak, którego ów olbrzym, co kufry nasze pod opiekę wziął, mógłby w kieszeni nosić.

Protestujemy przeciw tej małości jego, chcemy innego, dużego fakina nr 2. Biedny chłopak zapewnia, że nigdy większym nie był i że sam tylko swój numer między służbą nosi.

Gdzież jest *capo di stazzone*<sup>363</sup>?

Okazuje się, że *capo di stazzone* damy jakieś bawi. Czekamy tedy, dziwiąc się po trosze, skąd naszemu małemu staruszkowi taka galanteria, gdy wtem podchodzi do nas piękny, smukły brunet, który przedstawiwszy nam się jako naczelnik stacji, tak samo jest zdumiony naszym żądaniem, jak my tą nagłą odmianą.

Żądamy wreszcie rzeczy, opisujemy nasze kufry.

— Rzeczy? Nie ma takich na składzie. Czy jednak panie są pewne, że na tym właśnie pozostawiły je banhofie?

— Alboż jest jeszcze drugi?

— Niewątpliwie. Jest jeszcze banhof centralny. Tylko że teraz komunikacja między nim a miastem zupełnie zerwana. U Ponte Navi artyleria stoi, nie puszczają ni wozów, ni pieszych.

— Cóż więc pocniemy?

— Sądzę, że panie powrócą do miasta.

Tu nastąpił jeden z najpiękniejszych ukłonów szanownego *capo*.

\*

Pomimo całego zmartwienia, uderzyła mnie komiczność naszej sytuacji.

Istotnie, podjąć tyle trudów, znieść tyle przykrości, tyle strachu nawet, po to tylko, żeby zamoczyć nogi do miasta powrócić, było — co najmniej — śmiesznym. Ponieważ jednak nic innego na razie zrobić się nie dało, wsiadłyśmy przeto do powozu noszącego znak: *Colomba d'oro*, tę jedną mając pociechę, że przeklęty Paparrigopoulos porażki naszej nie widzi.

W *Colomba* dano nam współczesniejsze cokolwiek niżli w *Barbesi* mieszkanie, dość nędzny obiad i dużo do rozmyślań czasu. Zaczęły się tedy godziny dumań posępnych u okna, przez które widać było zalaną *via colomba*<sup>364</sup> tudzież<sup>365</sup> kawał odrapanego muru, kędym ja sobie po rysach czerwonych ślad wody oczyma znaczyła<sup>366</sup>.

A tak — zamieniłyśmy jedno więzienie na drugie.

Jedynym łącznikiem pomiędzy nami a zewnętrznym światem był Stefan Hallah, szwajcar hotelowy z Bozano rodem, który za złotą dwudziestofrankówkę podjął się dostarczać nam wiadomości o stanie zalewu tudzież znaleźć takiego zucha, co by nam rzeczy z centralnego banhofu wydobył.

Pierwszego dnia miałyśmy deszcz, czekoladę dość cienką, rozmowę z Stefanem — i bardzo kwaśne humory. Drugiego — leciuchny promyczek słońca, deser z twardych jabłek werońskich i — dużo nadziei. Trzeciego — pełno gliniastych mułów pod oknami, trochę błękitu na wschodzie i najpociesniejszy w świecie widok bohaterских oficerów Werony, którzy co gorętszy czas zalewu po kwaterach przesiedziawszy, teraz, kiedy wody i do pęcin koniom na wysokich dzielnicach nie było, ruszyli się po dwóch, po trzech, malowniczo owinięci w płaszcze, groźni, chmurni, namarszczeni, z powagą zbawców miasta i narodu.

<sup>363</sup>*capo di stazzone* (wł.) — kierownik stacji. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*via colomba* — droga gołębia? [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*tudzież* (daw.) — a także, oraz. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>*kędym* (...) *znaczyła* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: którędy (...) *znaczyłam*. [przypis edytorski]

Tęgo ranka tłusty oberżysta z przeciwka, który dotychczas spluwał w oknie siedząc, wyszedł na balkon, zdjął szlafmycę<sup>367</sup>, spojrzął w niebo, uśmiechnął się i dłonią pogładził łysinę. Uważałam to za niechybny znak pogody.

Jakos ku południowi przyleciał Stefan Hallah z dobrą wieścią, że wykopał kędyś<sup>368</sup> śmiałka, co kufry nasze przez Adygę przewieźć chce. Nastąpiła tedy walna narada, czy wprost przez Ala puścić się na awantury<sup>369</sup>, czy też w cichym Desenzano nad Garda czekać aż rzeka przepłynie. Stańło na pierwszym, bo tęsknota ciągnęła do domu, a to już piąty dzień mijał, jakeśmy się z Wenecji ruszyły.

Rozjaśniła się nareszcie Werona słońcem i lazurem; ludziska wylegli suszyć się i oglądać wzajem. Chodziły wieści o domach zwalonych, o topielcach znajdujących tu, to tam; rosła też obawa o mosty, chociaż na nie zsypano całe wozy gruzu i kamieni.

O porządnym zwiedzeniu miasta i mowy nawet być nie mogło. Górniesze miejsca podsychały wprawdzie na słońcu, ale trafiały się i takie, gdzie koń puszczone sływał.

Rzeka — mało co ustąpiwszy ludziom placu — w oblężeniu trzymała całe brzegowisko swoje, od starego Skaligerów kasztelu na północ, aż do grobowca Giulietty na południe i dalej.

Ku wschodowi też, wężowym kłębem się wygiąwszy, trzęsła Adyga owym mostem Navi, poniżej *ponte*<sup>370</sup> Nuovo rzuconym, którego artyleria dzień i noc strzegła, żeby się z uzdy żelaznej nie zerwał a do Adriatyku nie ruszył.

A tak jądro tylko miasta i zachodnie jego odnogi, jak *via Palio*, *corso Cavour*, *San Antonio*, *Vittorio Emmanuele*, wyluskały się z onego zalewu. Jądem miasta jest plac Bra. Roma tędy przeszła. Ślad jej klasycznej stopy do dziś jeszcze widny. Tędy szła, przez łuk kamienny Muro Galieno albo Porta dei Borsari zwany, szesnaście wieków temu dźwignięty, a tak jeszcze krzepki, jakby drugie tyle przetrwać miał. Dziki winograd puścił się tu po szerniałej cegle; a jego lekkie girlandy kołyszą się za wiatrem zachodnim. Katulla<sup>371</sup> pieśni słyhać w tym szmerze liści elegicznym, słodkim.

W pośrodku placu Bra rozpięta się ponurym kręgiem wielka dioklecjańska arena, tchnąc na wędrowca zimnym tchem rzeczy uspokojonych już w sobie i ostygłych z krwi, ale które okropność swoją dawną na czole noszą.

Przez Porta lupi, przez Arca dei leoni szły tu na arenę jak świat wielką, gdzie gladiatorów narody tłumy — pustynnym rykiem. Dziś czarne otwory arkad, z wyższych pięter w znacznej już części zwalonych, są jako w czasce trupiej puste oczodoły, w których zmierzch osiadł i pajęczyny wieją, bo zgaszone są źrenice czasów ich, źrenice rozkoszą mdlejące i krwawe.

Wiek nowy otworzył teraz bezsenne, pałające oczy na arenę jak świat wielką, gdzie gladiatorów narody całe walczą na śmierć i życie. Ale przyjdzie czas inny i zadmuchiennie źrenice wieku rozgorzałe i wymiecie bojowisko z pobitych. A zwycięzcom dadzą poklask lwy pustyń, bo one to będą wspaniałymi widzami ostatnich walk człowieka z człowiekiem. Z placu Bra bez wielkich trudności, przebrałam się przez Gran czara na Piazza delle Erbe, gdzie ogromna wieża ratuszowa ładu między przekupniami strzeże, a trybuna jakaś stara, na kolumnach podparta się, oniemiała stoi, świadcząc, jako to targowisko jarzyn Forum kiedyś republikańskim za Podestów było.

I dziś jeszcze Erberia skupia w sobie ruch i życie uboższej zwłaszcza ludności. Tutaj to przypatrzeć się można tym zacnym werończykom, trochę ciężkim, trochę zamyślnym, śpieszącym do pracy, zgiętym pod ciężarami, stojącym w progach ubogich sklepów swoich.

Lud się tu nie rozkłada po ulicach do snu jak w Wenecji, balkony też puste prawie. Łatwych zarobków nie ma do próżniaczego trawienia, na obliczach widać troskę o kawałek chleba. Ten rys fizjonomii werońskiego ludu pociągnął mnie do niego za serce. Bieda i poczciwość z oczu tu ludziom patrzy.

<sup>367</sup>szlafmyca — dawne męskie nakrycie głowy zakładane do snu przez osoby śpiące w chłodnej porze roku w nieogrzewanych lub źle ogrzewanych pomieszczeniach. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>kędyś (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>369</sup>awantury — tu: przygody. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>ponte (wł.) — most. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>Katullus (ok. 82–32 p.n.e.) — rzymski poeta pochodzący z Werony. [przypis edytorski]

— Więc nie ma na to żadnego sposobu, żebym ja mogła zobaczyć grobowiec Giulietty<sup>372</sup>? — spytałam Giana Fasti, sprzedającego salami na via Cosimo.

Gian Fasti wzruszył ramionami.

— *La tomba? Sotto acqua, signora.*<sup>373</sup>

— *A Castelvecchio*<sup>374</sup>?

— *Anche sotto acqua...*<sup>375</sup>

— *A Tum? A giardino Giusti*<sup>376</sup>?

— *Sotto acqua, tutto sotto acqua!*<sup>377</sup>

Pomimo tego *tutto*, udało mi się zobaczyć na placu Signorii posąg Danta<sup>378</sup>, wielkiego Weroni gościa, a tuż niedaleko poza Maria Antica gotycki grobowiec gospodarza jego Cangrande<sup>379</sup> i tego rodu Skaligerów zuchwałych, co godłem lutnię miał, a sławą miecz, a końcem — sztylet miewał.

Na wszystkim prawie, com tu w dziedzinie architektury pięknego w Weronie widziała, Michele Sanmicheli<sup>380</sup>, wielki budownik odrodzenia, rękę swą położył. Jego myślą jest ta Kampanilla katedry werońskiej, z placu Signorii widna, przed trzystu laty zarysem kamiennym w powietrze rzucona; jego dziełem są przepyszne pałace Bevilacqua, Canossa, Sparavieri, co na północ od placu Bra stoją, jego kościoły, portyki, fasady Museo Civico i Gran Guardia Antica, o Portoni wsparta, kędy Werona zboże na chleb swój kupuje.

Sanmicheli wszystkie te arcydzieła swoje olbrzymią fortyfikacją otoczył, zamknął na doryckie bramy Porta Stupa, San Zeno, Porta Nuova i sam stanął wśród miasta swojego, zadumany nad wiekuiłą pięknnością liczby i linii, pitagorejczyk wspaniałą w kamiennym płaszczu swoim.

W bok od Erberii, pomiędzy siecią wąskich *vicolo*<sup>381</sup>, co ci się bałamutnie pod stopami płaczą, jak wąska uliczka San Sebastiano zwana, na którą nie pożałuj drogi.

Stoi tam dom stary, wysoki, o szczupłym froncie z nieregularnymi oknami, z ganczkiem, z boku kędyś uczepionym kapryśnie.

Kiedy się zbliżysz do niego, kroki twoje staną się powolniejszymi, spojrzenie gorętszym, a usta ci rozchyli jeden z tych tęsknych uśmiechów, które na to są stworzone, aby na nie pocałunki kłaść. Marmurowa tablica, w ścianę domu tego wprawiona, zatrzymuje cię i przemawia do ciebie. Stajesz i słuchasz... Szept słyhać z balkonu — „to słowik śpiewa” — „nie, to skowronek”<sup>382</sup>. Jakaś mgła różowa wzrok ci zasłania. To dom Capulettich, to balkon Giulietty. Zbliżasz się z dreszczem rozkosznym w piersiach, chcesz choć na chwilę przestąpić te progi. Biedny wędrowcze, cofnij się póki czas, bo stracisz całe złudzenie.

Tam, za tą bramą, pod którą skradał się rozkochany chłopiec, zajazd dziś jakiś mizerny rozpostarł wstrętne gospodarstwo swoje. Na dziedzińcu pełno śmieci, wozy ze słomą i sianem stoją, wewnętrzny ganek obwieszony podejrzanymi gratami, brudna dziewczyna ceber pomyj niesie.

Weroni! Wstyd tobie, że dom ten nie jest relikwią twoją!

7

<sup>372</sup>*grobowiec Giulietty* — grobowiec Julii, bohaterki tragedii Szekspira *Romeo i Julia*, której akcja rozgrywa się w Weronie. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*La tomba? Sotto acqua, signora.* (wł.) — Grobowiec? Pod wodą, pani. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>*Castelvecchio* — średniowieczny zamek gotycki znajdujący się w Weronie. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>*Anche sotto acqua...* (wł.) — Również pod wodą... [przypis edytorski]

<sup>376</sup>*giardino Giusti* — ogrody Giusti, renesansowy ogród założony pod koniec XV w. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>*Sotto acqua, tutto sotto acqua!* (wł.) — Pod wodą, wszystko pod wodą. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>*Danta* (daw.) — dawna forma dopełniacza, dziś: Dantego. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>*Scala della, Cangrande* (1291–1329) — władca Weroni z dynastii della Scala (Skaligerowie), przywódca stronnictwa gibelinów w północnej Italii. W latach 1303–1304 gościł i wspomagał wygnanego z Florencji Dantego. Bohater *Boskiej komedii*. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>*Sanmicheli, Michele* (1484–1559) — włoski architekt i inżynier manierystyczny, znany szczególnie z budowy fortyfikacji w Weronie. Pochodził z rodziny inżynierów-architektów wywodzących się z Porlezzy. Jego ojciec Giovanni i wuj Bartolomeo również byli architektami. [przypis edytorski]

<sup>381</sup>*vicolo* (wł.) — aleja. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>„to słowik śpiewa” — „nie, to skowronek” — cytat z *Romeo i Julii* Szekspira, całość wypowiedzi Julii: „Chcesz już iść? / Jeszcze ranek nie tak bliski, / Słowik to, a nie skowronek się zrywa.” (*Romeo i Julia*, akt 5, scena 3, tłum. J. Paszkowski). [przypis edytorski]

*Między Weroną i Ala — Dylizanse w Serravalle — Mężowie i żony — Nasza droga — Kamea i terakota — O czym Bóg nie wie — Hotel „Alla posta” w Roveredo — Narada w bramie — Dom signorów Franchini — Moje pieśni.*

Gwiazdy jeszcze stały na niebie, kiedyśmy z Werony ruszyli. Chłodno było, dzień zapowiadał się wietrzny. Zrazu forty werońskie za nami szły, potem przyzostawały<sup>383</sup> coraz leniwiej, o południowy horyzont oparte, aż wreszcie z daleka już tylko majacząc, snem były uciekającym dla oczu.

Parana i Pescantina spały jeszcze, kiedyśmy przez nie przelatywali ze świstem, dosyć już wszakże dnia było, żeby zobaczyć, jaką to drogą ważył się pociąg nasz.

Ogromne wyrwy w nasypach odkrywały dna jarów czerwonymi mułami zaszłych, wybite z pionu słupy chwiały się tu, to tam za głowy tylko drutami telegrafu trzymane, wielkie, wywalone z gniazd swoich topole i wiązy przydrożne sterczały korzeniami u burt, na leb kędyś w wodę runąwszy. Nad łoskotem wozów naszych i chrapaniem kotła panował huk rzeki, która potężnym rozlewiskiem waliła przeciw nam, wypchnięta kędyś z węższych gardzieli, spieniona, gniewna, niosąc koły z winnic wyrwane i grubych traw pokosy.

Wierzchem nasypów, w pierwszym pędzie przerzucone wody w gliniankach, w namuliskach na prawo stały, szmatami pławiąc pola i ogrody. Droga była pusta. W Domegliara dopiero napędziliśmy tłum robotników, co z pośpiechem nasypy równał, wyrwy kamieniami zapychał, odbijał muły zsiadłe, woził taczkami gruz wapienny z rozprutych boków górskiego odłogu, co się na prawo był podniósł. Pociąg szedł noga za nogą, stękając, sapiąc, jęcząc, jakby biedę swoją znał. Droga wyglądała jak ostrzelany i zdobyty szaniec. Zdawało się, że lada chwila z całym taborem runiemy w przepaść, wszystkie głowy były u okien, Włosi wzywali Madonny.

Tymczasem owe odłogi górskie, wapiennymi żebrami świecące, obstępować nas zaczęły coraz ciśnień, napierając na nas rzekę, która w głuszących szumach przewalała się tuż, tuż pod nami.

Droga dźwignęła się nieco — i poszła na zgubne imię skalistym wąwozem, w którym huk wody był taki, żeś nie słyszał własnych myśli swoich.

Zdawało się, że ten gardziel skalny wypływa na nas cały ocean bryzgów i pian mętnych, które lada chwila pochłoną wąski przesmyk, mało co nad wodą nas niosący. To Chiusa di Verona, Adygi srebrny klucz, którym tu ona sobie bok skalny do Adriatyku otwarła. Jeśli z nas i wiedział kto, że się tu Otton Wittelsbach<sup>384</sup> z Niemcami swymi, pod Barbarossą, przeciw werończykom bronił, to z pewnością ze strachu zapomniał o tym zupełnie.

Dla nas były to drzwi ponure, co się mogły zatrzasać nad nami śmiertelnym łoskotem i być zamknięte na wieki „kluczem rzuconym w morze”.

Jednakże całośmy się stamtąd wynieśli, a minąwszy Ceraino, ku Peri się mieli. Góry tu w oczach rosna, rosna, zachodzą jedne na drugie i na wędrowca coraz groźniej patrzą.

Gdyby je zwalić tu, u Monte Baldo, i Adygę okiem przerzucić, dojrzeć by można jezioro Garda i Tremosino i Riva....

Ale teraz, wapienne skały twardo na straży stoją i oczu nie puszczają na cichy błękit, poza wedety swoje.

Peri to ostatnia stacja, na której wolno krzyknąć: *Evviva Umberto il re*<sup>385</sup>, jeśli naturalnie ma kto po temu ochotę. Ala, to już habsburskie porządki i amty<sup>386</sup>, które reprezentuje szkaradny, zaspany Niemiec, co mi małą doniczkę z kwiatem, pielęgnowanym od samej Wenecji zabrał i rzeczy podróżne opryskliwie trząśł. Musiała jego Gretli z fusami kawę dziś dać, bo był w haniebnym humorze.

Była wieść zrazu, że tutaj w mieście pozostać nam przyjdzie, bo dalej rzeka nie puszcza, okazało się przecie, że jeszcze do następnej stacji dojechać można.

A tak mało co pośniadawszy<sup>387</sup> kawą, w której też rękę Gretli znać było, wsiedliśmy z pośpiechem do wagonów, nie bardzo wiedząc, na co nam jeszcze dziś przyjdzie. Jak na toż puścił się deszcz rzęsiasty, z którym się reszta karności między podróżnymi rozprzegła,

<sup>383</sup> przyzostać (daw.) — zmierzając gdzieś, zatrzymać się, pozostać w tyle. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> Wittelsbach Otto (1815–1867) — pierwszy król niepodległej Grecji 1832–1862, syn króla Bawarii Ludwika I Wittelsbacha i Teresy von Sachsen-Hildburghausen. [przypis edytorski]

<sup>385</sup> *Evviva Umberto il re* (wł.) — Niech żyje król Umberto! [przypis edytorski]

<sup>386</sup> amty (z niem.) — urzędy. [przypis edytorski]

<sup>387</sup> pośniadać (daw.) — zjeść śniadanie. [przypis edytorski]

siadał więc każdy, jak i gdzie chciał, nie bacząc ani na klasy, ani na dodatkowe bilety, ani na konduktora, co chwyciwszy się za głowę próżno od wagonu do wagonu biegał, rad bardzo, że nas wreszcie w Serravalle wyspać mógł.

Tutaj czekał już żółto pomalowany, wysoko wyniesiony a wąski dyliżans, jakim jeszcze Gil Blas<sup>388</sup> swego czasu podróżować musiał. Przy dyliżansie cztery konie w chomątach<sup>389</sup> z dzwonekami, na lejcowym forys<sup>390</sup> w żółtych galonach, frędzlach, taśmach, sznurach cały, na koźle takież pocztylion<sup>391</sup> ze spalonym jak cegła karkiem, z trąbką przy wydętych ustach.

Za tym pierwszym dyliżansem — drugi, trzeci, dziesiąty, cały tabor otaczała milicja konna, która porządku i bezpieczeństwa w drodze miała strzec. Zrobił się ruch, gwar, tłok — nie do opisania.

Damy zwłaszcza usadowić się jakoś nie mogły.

Każda chciała mieć „pod ręką” wszystkie swoje pakunki, a tu ciągle czegoś brakło — to pudełka z kapeluszem, to koszyka, to męża.

Mężowie szczególnie byli nie do odszukania. Przypuszczać by nawet można, że umyślnie ginąć kędyś musieli, szukając sobie po dyliżansach bardziej urozmaiconych widoków.

Pocztylioni biegali z poleceniami od powozu do powozu, damy się wychylały, wołając niewdzięczników po imieniu, już były obawy, że i milicja w sprawę tę wdać się zechce, gdy nagle zatrzaśnięto drzwiczki — kto wie — może na znak którego z poszukiwanych.

Zamęt powiększył się jeszcze, kiedy spostrzeżono, że deszcz i w dyliżansach kapie sobie po maleńku. Zaczęto rozpościerać chustki, płaszczki, parasole... W jednej chwili panie zostały obsługiwane z takim pośpiechem, z taką galanterią i gorliwością, jakiej nigdy oczekiwać nie mogły od własnych opiekunów swoich. I tutaj dopiero okazało się, jak dalece zbawienną jest rzeczą mieć w czasie deszczu pod ręką cudzego męża. Zaczem w dobrych humorach i wzajemnym zadowoleniu ruszyliśmy naprzód, z wielkim trąbieniem i klaskaniem z biczów, któremu góry dawały rozgłos armatniej salwy i muzyki łowów zaklętych.

Z miejsca my się zaraz w bok wzięli, zostawiając na lewo Adygę i zrujnowaną linię kolejową. A droga ta nam poszła wśród winnic obudowanych wysoko murem, z ciężkich kwadratowych głazów spojonym, i puściła się starym wiaduktem rzymskim, na którym spotykaliśmy ogorzałych mężczyzn z łagwiami<sup>392</sup> na plecach, iż czas winobrania był — i dzieci kędzierzawe, i kobiety z nagą szyją, w szerokie biodra ręką wsparte, dzbany i wiadra na głowach niosące.

— *E sempre piove!*<sup>393</sup> — mówił sąsiad mój, który wprawdzie parasola nie miał, ale za to dużym swoim kapeluszem słomianym zasłaniał nad nami szpary w dyliżansowym pułapie.

— *E piove!*...<sup>394</sup> — dodał po chwili, widząc, że mu nikt nie odpowiada.

Sąsiad mój był to piękny, smagły brunet, z klasyczną aż do najdrobniejszego rysu twarzą, z głębokim, trochę zimnym jak u posągu, spojrzeniem. Obok niego siedział gruby Niemiec, w Ala widocznie z „Amtu” jakiegoś wyrwany, którego czerwone, jowialnie popałowane policzki, trzęsły się w takt ruchu dyliżansowego.

Małe jego oczki uśmiechnięte były wewnętrzną jakąś błogością, a tłuste ręce, skrzyżowane na żołądku, źródło tej błogości wskazywać się zdawały.

To kamea i terakota...

Typy te, tak odrębne, tak silnym odbite kontrastem, spotykają się odtąd coraz gęściej razem, wzdłuż północnej części doliny Adygi aż do Salurn niemal. Po czym kamea się zaciera, a od Bozano począwszy, terakota wszechwładnie zapanowuje. Nie mogłam się dopytać, jak się zowie miejsce, w którym nagle koła dyliżansów obracać się przestały,

<sup>388</sup> *Gil Blas* — bohater powieści Alaina Lesagè'a *Histoire de Gil Blas de Santillane* (polski tytuł: *Przypadki Idziego Blasa*) wydawanej w latach 1715–1735. [przypis edytorski]

<sup>389</sup> *chomato* — odzaj jarzma używanego do zaprzęgania zwierząt pociągowych do ciągnięcia wozu. [przypis edytorski]

<sup>390</sup> *forys* — chłopczyk siedzący na jednym z koni przodowych w zaprzęgu. [przypis edytorski]

<sup>391</sup> *pocztylion* (daw.) — tu: woźnica zaprzęgu pocztowego. [przypis edytorski]

<sup>392</sup> *lagwiew* — naczynie do przechowywania i transportowania wody, napojów i innych płynów. [przypis edytorski]

<sup>393</sup> *E sempre piove!* (wł.) — Zawsze pada! [przypis edytorski]

<sup>394</sup> *E piove!*.. (wł.) — I pada... [przypis edytorski]

a wszyscy pocztulioni, ba, i forysie nawet, zeszedli z kozłów i z chomąt młodym winem przepić.

Ale wiem, że była to garść domów u zrębów starego muru przytulonych, kędy ludzie w sandałach i zielonych pończochach, przypatrując nam się, we drzwiach stali, a góry rzucały im zmierzchy swoje aż do wysokich kamiennych progów pod nogi. Kadzie, cebry i tloki pod murem osterii<sup>395</sup> honorowe miejsca trzymały, a gospodarz wino drewnianą czerpaczką gościom w kubki nalewał. Wszystko to tak było schowane między góry, winnice i porozwalane dawnych zabudowań szczęty, że nie dziwiłabym się wcale, gdyby i sam Pan Bóg o tym zakęcie nie wiedział.

Ale wiedział, przelatywał tam bowiem ptak dziki i lilie kwitnęły polne.

Południe się zbliżało i deszcz ustawał nieco, kiedyśmy z niezmiernym hałasem popisujących się trębaczy i brząkaniem dzwonek zajęchali przed hotel Alla posta w Roveredo, gdzie nas już oczekiwano, stamtąd bowiem były rodem nasze sławne dyliżanse.

Podróżni zaczęli tłumnie wysiadać, odszukiwać się, witać.

Teraz dopiero nastąpiły wzajemne wyjaśnienia między rozłączonymi parami małżonków, wymówki jednak ze strony dam tak były łagodne i słabe, że szanowni mężowie zdawali się tym być niemile dotknięci.

Tymczasem gospodarz, gospodyni, służba, wszyscy rzucili się do zdejmowania pakunków, co gdy skutecznym zostało i konie odeszły do stajen, okazało się, że ledwo połowa gości znajdzie pomieszczenie w hotelu.

Wystawiono tedy kilkanaście krzeseł dla tych, co się gdzie podziac nie mieli, i tak siedząc w bramie albo i na schodach podróżni, którzy się od Serravalle począwszy bardziej jakoś razem trzymali, postanowili po wspólnej naradzie czekać na to, co Bóg da, tym bardziej, że poza Roveredo, cały Tyrol pod wodą stał.

Pomimo pamiątkowej tablicy, powieszanej w korytarzu owego roku zbawienia Pańskiego, kiedy gościły tutaj koronowane głowy, pomimo białego krawatu garsona i chudych oleandrów, sterczących jak wysłużone miotły na paradnych wschodach, wyznać muszę, iż hotel Alla posta był dość zaniedbanym, dość sobie brudnym, prawdziwie włoskim hotelem.

Jaki tam komu dnia tego nocleg padł — nie wiem, ale co do nas, dostał nam się pokój, przez który jakieś młode małżeństwo do gniazdka swego przechodzić musiało.

Pomimo obustronnych zapewnień, że to wszystko jest *niente*<sup>396</sup>, pomimo dyskretnego udania się na spoczynek przed dziesiątą jeszcze, serdecznieśmy sobie przeszkadzali<sup>397</sup> wzajemnie.

Toteż nazajutrz — pierwszym naszym staraniem było wyszukać sobie inne jakieś, prywatne choćby mieszkanie.

Jakoż udało nam się to bez wielkich nawet trudności.

Gospodynią naszą była teraz signora Franchini, tłusta, bezdzietna, niemłoda już Włoszka, która chyba coś nie coś z obcej krwi musiała w sobie mieć, gdyż w porządku zamilowaną była namiętnie, i cały dzień boży z trzepaczką i ścierką chodziła, zmiatając by najmniejszy pyłek z posadzki, z sprzętów, z obrazów.

Mąż jej, signor Andrea Franchini był kasjerem jakiegoś prywatnego banku i zagorzałym czytelnikiem „Diritto”, sływał też z najpiękniejszych w całym mieście wąsów siwych, i jedną tylko miał wadę, że wytrząsał fajkę gdzie Bóg dał, na dywan, na stół, na okna.

Dobrzy ci ludzie okazywali nam wiele życzliwości, zwłaszcza kiedy się dowiedzieli, żeśmy Polki, a ja miałam szczególnie przywilej dostawania świeżych kwiatów, zakwitających na balkonie signorów Franchini.

Dom był urządzony dostatnio i odznaczał się wykwinną czystością.

Było to pierwsze ognisko prywatnego życia, jakie bliżej poznałam we Włoszech.

W wielkiej, trochę ciemnej, utrzymywanej w miłym chłodzie sali jadalnej stał niesłychanych rozmiarów kredens dębowy, pełen dzbanów, mis, cebrzyków metalowych, szklaneczek i nalewek.

<sup>395</sup> *osteria* — włoska restauracja serwująca wino i proste jedzenie. [przypis edytorski]

<sup>396</sup> *niente* (wł.) — nic. [przypis edytorski]

<sup>397</sup> *serdecznieśmy sobie przeszkadzali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: serdecznie sobie przeszkadzaliśmy. [przypis edytorski]

Wprost niego zegar staroświecki z kukulką, który też i kuranty grywał, czegośmy wszyscy z wielkim namaszczaniem słuchali. Wysokie, rzeźbione krzesła pod ścianami szeregiem stały, dalekie od tego roztrzpiotania się współczesnych mebli, które swoją fantazję okazują, po całym spacerując salonie; w pośrodku potężny stół, zawsze biało nakryty, z cynową misą polenty i dzbanem domowego wyrobu wina.

U okien wisały suszące się majeranu pęczki i wianki grzybów, i sery w siatkach nicianych, a na ścianach ginęły w zmroku poczerniałe obrazy, których treść przed jakimi stu laty może i widną była.

Dwoje drzwi otwierały się w sali tej naprzeciw siebie. Jedne do komnaty pana domu, w której mi jakoś nigdy być nie przyszło, drugie — do olbrzymiej, sklepionej w łuki kuchni, w której wysunięty od ścian ku środkowi komin zajmował główny plac. Niezliczone kociołki miedziane z nogami i bez nóg, z uszami i bez uszu, smagłe, pękate, wydęte zgoła wszelkiej miary i wszelkiego kształtu, stanowiły ornament ścian, a piękny stół, na krzyżakach dębowych rozparty, był warsztatem, przy którym krzątała się zawsze zarumieniona Gemma, w wielkim białym fartuchu i niebieskiej chusteczce na piersiach.

Z kuchni oszklone drzwi prowadziły na wewnętrzny od strony dziedzińca ganek, kiedy na półkach drewnianych, u ścian przybitych, kwitnęły pelargonie, gardenie i późne stokrocie.

Z ganku tego widać było szczyty gór liliowe, a niżej, na stokach, nieskończone winnice i morwowe sady. Tę to część domu zajęli teraz zacni nasi gospodarze, ustąpiwszy nam salonu i pokoju pani. Salon był narożny, dwoma oknami na Piazza Rosmini zwrócony, tutaj stały paradne sprzęty, a ściany ozdobione były pięknymi sztychami. Najpierw, na głównym miejscu, wspaniała Madonna; tuż obok niej Mazzaniello<sup>398</sup> ciska zarzewie słów palących w pierś ludu neapolitańskiego, dalej Wilhelm Tell<sup>399</sup> odpycha nogą łódź, na której z garścią ochotników przybył, aby walczyć i polec za wolność. Jeszcze dalej scena z *Fausta*, kiedy powracająca z kościoła Małgorzata, mówi kusicielowi swojemu: *Bin keine Dame, weder schön; kann unbegleitet nach Hause geh'n...*<sup>400</sup>

W kącie pianino, na którym dobra signora Franchini od wielu lat grywać już przestała. Teraz otwarte i podstrojone dla mnie przemówiło tęskną nutą ukraińskich dumek i pieśni ludowych, i chorałem pełnym bóleści i krwi, i łez, i dymów żrących. A echa zdumione takim płaczem pieśni, chodziły po mieście tym włoskim jak cudze i odlatywały w góry smucić się, i roznosić westchnienia mdlejące.

8

*Elizabetina — Drzewo wiadomości dobrego i złego — Ewa w Roveredo — Pod oknem — Castelvecchio — Na drodze — Madonna del Monte — Dwa cuda — Rzut oka z góry — Gemma.*

Kiedym się w miasteczku naszym po trosze rozglądać zaczęła, spostrzegłam na *contrada*<sup>401</sup> Alla posta, wielkimi literami po murach domów popisane kredą: *asinus, asinus*<sup>402</sup>.

Wniosłam stąd, że niedaleko gdzieś szkoła tu być musi. Jakoż była.

W pięknym, wielkim gmachu, który na czole nosi nazwę Elizabetina, a u stóp, na wyniesionym nieco chodniku, ma olbrzymią rozetę mozaikową, z kamyków czarnych, białych i brunatnych, misternie złożoną, istnieją w Roveredo połączone szkoły: normalna i wyższa.

W obszernym, dźwigniętym nad schody przysionku, wprawiono po lewej stronie erekcyjną tablicę z marmuru, a po prawej zawieszono wielki obraz, przedstawiający drzewo wiadomości dobrego i złego. Tło obrazu stanowi naturalnie raj. Tylko że osobliwości

<sup>398</sup>Masaniello (1620–1647)— rybak, który stanął na czele rewolucji przeciwko panowaniu Habsburgów w 1647 r. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>Tell, Wilhelm — legendarny szwajcarski bohater narodowy. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>*Bin keine Dame, weder schön; kann unbegleitet nach Hause geh'n...* — Anim ci pani, ni nadobna, / przystojniej wracać mi z osobna (cyt. za Goethe, *Faust*, tom I, tłum. Emil Zegadłowicz, wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1953). [przypis edytorski]

<sup>401</sup>*contrada* (wł.) — dzielnica. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>*asinus, asinus* (łac.) — osioł. [przypis edytorski]



raju tego zredukowano do tych widoków powszechnego świata, jakie wychowaniec Elizabetiny przed oczyma w życiu będzie miał.

Nie ma tu więc owych barankowatych lwów ani lampartów tchnących zasadami wzniosłego humanizmu, ani róż niebieskich, ani bogobojnych jaszczurek, ani smoków skrzydlatych, hodujących pierwsze pióra dla przyszłej prasy postępowej, jak to wszystko widziałam na pięknym obrazku w krakowskiej kramicy przed dominikanami.

Tutaj u stóp tragicznego drzewa leżą księgi, globusy, cyrkle oraz pergaminy stare, trącające Herodotem i molami.

Drzewa też sobie rosną bez żadnych wielkich fumów, jak Bóg dał; klon — to klon; świerk — to świerk; lipa — to i lipa.

Co do węża, jest to jeden z tych niewinnych, przyjacielskich, lubo<sup>403</sup> nie bez ukrytego żądła wężów, co się rade okręcają koło laski Eskulapa, a jego płaska głowa zdaje się dobrotliwie uśmiechać do małego w szkolnej bluzie i w słomianym kapeluszu Adama, który sięga po fatalne jabłko z wesołą rumianą twarzą.

Ewy — nie ma w tym raju. Istotnie, cóżby ona tu robiła?

Nieznane mi są zasady pedagogiczne, jakimi się Elizabetina rządzi, ale pełna filozofii naiwność powyższej symboliki jest — przyznając — wzruszającą. Umieć coś pokazać dziecku, tak szczerze, jest rzadkim przymiotem starszych.

Kiedy się z przysionka tego dwoje drzwi bocznych otwarło, zobaczyłam — na prawo i na lewo — dwa wewnętrzne, pełne drzew, krzewów i kwiecica dziedzińce, wokół których obiegają galerie, dające przystęp do klas i oddziałów szkół obu.

Cień, chłód, zapach, świergot ptaków, plusk wody żywej, oto co mnie tu uderzyło zamiast tradycyjalnej stęchlizny, kurzu, martwoty, tak zwykłych naszym pedagogicznym zakładom.

Pusto było w tym „raju w Roveredo”, gdzie dla setek dzieciaków dojrzewają jabłka wiadomości dobrego i złego, wakacje bowiem tego roku przeciągnęły się nad miarę z powodu wylewów, które rozpiezchnionym<sup>404</sup> malcom nie pozwoliły zebrać się w Elizabetynie.

Tylko stary pedel<sup>405</sup> w niebieskich okularach i letnim spencerku strugał podpórki dla puszystych gwoździaków, tchnących rozkoszną wonią, a pies jego, wyciągnięty na błyszczącym żwirze, pyskiem za muchami kłapał, drzemiąc na jedno oko.

Wprost wejścia głównego wznoszą się z przysionka obszerne schody, na których pierwszym zakręcie żelazny balkon daje widok na góry, u czubów nagie, dołem ginące w zieleni morwowych sadów i winnic, a wyżej drzwi do biblioteki i gabinetów, zawierających pomoce naukowe Elizabetiny.

Wychodząc z tej pięknej pomysłami, a dzielnej wykonaniem szkoły, zaciekawioną byłam niepomatu<sup>406</sup>, gdzie tu jednak bywa Ewa, której na obrazie brakło, gdy wtem na rozgłosnym miejskim zegarze uderzyło południe.

Naraz z mnóstwa ulic i uliczek wysypał się tłum smagłych, bladawych, ciemno odzianych dziewcząt. Niektóre z nich próbowały biec, śmiać się, mówić głośno, większa atoli<sup>407</sup> część miała wzrok sztywnie skierowany przed siebie, usta milczące, krok powolny. Młodość ta była bez zapału, bez ciepła, bez zdrowych rumieńców, starsze kobiety wlokły się jak automaty, suwając głośno skościami w stawach nogami.

To pomocnice jedwabników południowego Tyrolu, to prządki z Roveredo, gdzie najokazalsze i największe gmachy noszą napis: *fabbrica di sete*<sup>408</sup>.

Tysiące szczupłych, czarniawych rąk kobiecych pracuje nad tą kwitnącą tutaj gałęzią przemysłu, a piersi tych, całymi latami schylonych nad nitką jedwabiu dziewcząt, zapadają i więdną przedwcześnie.

Słyszałam tu długie, męczące kaszle od pyłu kokonów, widziałam haczykowate, niedające się rozprostować palce od gremplów i szcotek, widziałam też oczy bardzo smutne, chociaż bardzo piękne.

<sup>403</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>404</sup>rozpiezchniony (daw.) — rozproszony. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>niepomatu (daw.) — bardzo, niezmiernie. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>atoli (daw.) — jednak, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>fabbrica di sete (wł.) — fabryka pragnień. [przypis edytorski]

Taką jest w Roveredo Ewa.

Dodać tu jeszcze muszę, że ów wąż zacny z Elizabetyny, tylko względem małego Adama przybiera taką niewinną minkę. Tu bowiem, wobec tych przybladłych od pracy dziewcząt, gra on całkiem inną rolę i chętnie snuje się przed fabryką w południe i wieczorami, strojny w mundur oficera austriackiego, z mocno wyciągniętym wąsikiem, w załotnym kepi na bujnej czuprynie, pełen zwycięskich uśmiechów. Ale w górach leży śnieg tak czysty, takie jasne rosy po winnicach stoją, tyle Boga jest w tej dzikiej a pięknej<sup>409</sup> przyrodzie, że Ewie zgrzeszyć niełatwo.

Obyczaj też surowo się tu chowa, a piękni adiutanci feldmarszałka Thun utrzymują, że dziewczęta tutejsze kwaśne są i niedojrzałe.

Zdarzyło się jednak, że widziałam raz wielki militarny tryumf. Było to zmierzchem, na chwilę przed otwarciem ciężkich drzwi fabrycznych, wypuszczających całe roje pięknych jedwabniczek.

Pod oknem przedzalni stał młody mężczyzna trzymając na ręku paroletniego chłopczykę. Chłopiec stukał palcem w okno i wołał: „*Mamma! Mamma!*”. Ale mama nie słyszała drogiego głosiku, ogłuszona hukiem maszyny. Ojciec dopiero pomógł chłopcy, a wtedy poza wielką szybą, drżącą od kół łoskotu, ukazała się twarz młodej kobiety, której usta uśmiechały się tkliwie, a oczy były śmiertelnie znużone. Zobaczywszy matkę, chłopiec nabił swój piękny pistolet z ołowiu i zmarszczywszy groźnie czoło, na wiwat strzelił.

Natychmiast w oknie błysnęło kilkanaście głów dziewczęcych, powstał szmer, wrzawa, a że już siódma biła, wszystko się to wysypało na ulicę, śmiejąc się, całując ślicznego dzieciaka, zazdroszcząc może trochę...

Oprócz wielkich przedzalni jedwabiu i tkackich warsztatów są w Roveredo fabryki cygar, zatrudniające przeważnie kobiety, sukiennice, przerabiające grubsze gatunki wełny, a w dół Adygi, poza starym zamkiem Podestów, wzorowo urządzonej papiernia.

Castelvecchio<sup>410</sup> górnice nad miastem i rycersko trzyma, ze wszech stron obracając za wędrowcem zębate blanki swoje i ciężkie, okrągłe, poszczerbione turmy<sup>411</sup>. Stare strzelnice też, iż w zamku regiment żółtych strzelców stoi, marsową minę stroją, jak mogą; ale jaskółki gospodarują w nich świergotliwie dzień cały, a białe, suszące się na wietrze spodniczki kapitanowej, są jedynym sztandarem, jaki tam powiewa.

Ku rzece spada Castel pełnymi winnic tarasami, a po murach jego pną się rozchodniki żółte, strzępiaste chmiele, macierzanki i miodem pachnące meliski. Tam ja to sobie często chodziłam słuchać Adygi szumów, bo kocham się w takich kamiennych lupinach przeszłości, w takich zamkach starych. Naturalnie, jeśli w nich nie ma podestów<sup>412</sup>.

Rzeka tymczasem szalała.

Zerwane tamy puściły ją do foluszów, do kanałów, do winnic potopem całym. Na moście huk był taki, że sąsiada krzyczącego ci w ucho ledwoś zrozumieć mógł. Lawinom śniegów podobne, pędziły wierzchem szluz rozbite na pianę fale, a bryzgi ich słupami w górę szły, tworząc katarakty dziwne i siejąc dżdżem drobnym.

Tłum na moście od rana do wieczora stał, u brzegów poszarpanych pale bito i walono głowy. Ludziska bronili się jak mogli, ale napór wód był taki, że im spod nóg ziemię chwycił, a most drżał i dygotał w sobie wszystkimi balami, jak gdyby tabun koni w zawody po nim biegł.

A tam za rzeką wznosiły się Alpy Tyrolu, w majestacie rzeczy wielkich i spokojnych. Na Stivo, na Bijano, na Monte Creino, świeże śniegi błękitniały rankami pod słońce, a księżyc, iż pełnia na niebie była, wstawały nad nimi złote, lekkim różem otchnione.

— Chodź ze mną w góry — rzekłam raz do Gemmy, która pozmywawszy całą armię talerzy, siedziała w ganku z założonymi na białym fartuchu rękami.

Gemma zerwała się w rumieńcach cała.

<sup>409</sup>dzika a piękna — konstrukcja z „a” w funkcji spójnika łącznego, dziś: dzika i piękna. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>Castelvecchio — średniowieczny zamek gotycki znajdujący się w Weronie. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>turmy (daw.) — więzienne wieże. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>podesta — najwyższy urzędnik o uprawnieniach sędowniczych i wojskowych, odpowiednik burmistrza. [przypis edytorski]

— *Alla Madonna del Monte, signora?*<sup>413</sup> — zapytała, natrącając projekt, jakiego nie miałam.

— Chodźmy *alla Madonna del Monte*<sup>414</sup>.

— *Ah, che bella! Ah, che miraculosa!*<sup>415</sup> — mówiła szybko Gemma, chwytając świeżą chusteczkę na szyję. — *E la padrona?*<sup>416</sup>

Okazało się, że *la padrona* przeciwną temu nie była. Poszliśmy więc w górę miasta, bokiem czystych, drobno zabrukowanych uliczek, którymi woda wyparta z przepelnionych źródeł górskich, szemrząc i pluszcząc, szła przezroczysta, jasna, świeża. Pomiedzy uliczkami tymi, na placu u studni miejskiej, stał na marmurowym bloku Neptun czarny, złotym trójzębem o podstawę wsparty. Nie był to jednak ów tradycyjalny władca oceanu, starzec lubieżny, co ciężkim, rozlanym ciałem na delfinach siada, z brodą mchami porosłą, w otoczeniu pyzatyh dzieci i oceanid nagich.

Neptun w Roveredo jest to młodzieńczy morza bóg, dzierzący się w górę całą muskularną postacią swoją, głowa jego harda, myślami głębie wód mierzy, oko natężone, pierś burzliwa, noga gibka, do pochodu naprzód podana.

Kiedym się przyglądała tej pięknej i śmiałej rzeźbie, Gemma odmówiła swoje *ave*, przężegnawszy się pierwiej pobożnie, co zresztą czyniła też przed spotkanymi po drodze kościołami, San Marco, Santa Maria, San Sebaldo. A kiedym, wskazując posąg, zapytała, kto by to był — *un santo, mi crede*<sup>417</sup> — odpowiedziała spokojnie.

Po czym droga się nasza wyniosła nad miasto, między strzeżone wysokimi murami winnice, które już na liść jesienny kolory od słońca brały. Przeciw nam szły w jarzmach woły siwe, ciągnąc wozy na niskich kołach, ciężkiej budowy, skrzypiące; a gospodarze opodal za nimi idący, ze świstem puszczały w powietrze długie swoje bicze, wołając: „*Ohe! ohe!*”.

— *Felice via!*<sup>418</sup> — pozdrawiała ich Gemma.

— *Con Dio*<sup>419</sup> — odpowiadali niezmiennie.

Tymczasem ukazała się piękna, obszernie zbudowana willa, z ogrodem pełnym chłodników, altanek wiszących i kwiecica. Na prawo i lewo ciągnęły się nieskończone plantacje morwowe. Gemma objaśniła mi, że wszystko to należy do signora Tachi, największego bogacza w Roveredo, który jest też właścicielem olbrzymich przędzalni jedwabiu.

Nieco dalej musiały wszakże i klasztorne grunta być, bom po winnicach widziałam mnichów czarnych, jak zakasawszy rękawy, ład w kadziach czynili ku pożytkom zimowym albo drepcząc w patynkach drewnianych, dźwigali łagwie świeżo pobite, na plecach je dzierżąc za pętle skórzane.

Zrazu my ludzi spotykały gęściej, potem mniej coraz, aż wreszcie opustoszała droga nasza i stała się kamienistą ścieżyną, bystro się do czuba góry biorącą. Kapliczki i krzyże przy niej stały, jak na kalwariach naszych, i tak my już tą *via crucis*<sup>420</sup>, gdzie Gemma mało piętnaście razy na kolana padła, doszły do Madonny del Monte.

Architektura kościoła tego jest pospolita, choć miejsce samo piękne. Śmigła wieżyca, mury białością świeżych tynków lśniące, kilka jedlic i brzóz, po których wiatr górny chodził, zakwiecony wirydarzyk na lewo, wspaniała grobowiec rodziny Tachi na prawo, dwóch biało odzianych mnichów, rozmawiających przed progiem — oto wszystko. Wnętrze za to opisać byłoby trudno.

Nigdy i nigdzie nie widziałam tyle kolorowych światełek, tyle wieńców z folii strzyżonych, tyle aniołów latających na drutach w powietrzu, tyle kadzielnego dymu, tyle świecideł, wstążek, dzwonek tyle — nade wszystko — wotów. Od stropu do kamiennych płyt posadzki pokrywały one ściany całkowicie. Nie były to jednak te ręce, nogi i serca srebrne, jakie widać w naszych kościołach.

Wcale nie.

<sup>413</sup>*Alla Madonna del Monte, signora?* (wł.) — Do Madonny del Monte, pani? [przypis edytorski]

<sup>414</sup>*alla Madonna del Monte* (wł.) — do Madonny dell Monte. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*Ah, che bella! Ah, che miraculosa!* (wł.) — Och, jak pięknie! Jak cudownie! [przypis edytorski]

<sup>416</sup>*E la padrona?* (wł.) — A pani? [przypis edytorski]

<sup>417</sup>*un santo, mi crede* (wł.) — święty, wierz mi. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>*Felice via!* (wł.) — Szczęśliwej drogi! [przypis edytorski]

<sup>419</sup>*con Dio* (wł.) — z Bogiem. [przypis edytorski]

<sup>420</sup>*via crucis* (łac.) — droga krzyżowa. [przypis edytorski]

To były malowane albo wierszem opiewane i w ramach zawieszono cuda Madonny del Monte, jedyna w swoim rodzaju galeria, w której naiwność sztuki przewyższoną być mogła chyba naiwnością wiary.

Pośród tych wszystkich ludzi palących się, lejących w przepaść, powieszonych, konających, umarłych, pośród odrastających rąk, głów, nosów, wpośród zmartwychwstałych koni, osłów i wołów, łagiew cudownie napełniających się winem i piorunów odpędzanych jak muchy, zauważyłam dwa małe obrazki i te tylko pozostały mi w pamięci.

Na jednym z nich młody chłopiec leży w nędznej izbie, oczy konające wzniosł w górę, na stołku książek kilka, dzbanka wody nie ma tam nawet. Znać, że gasnącym głosem chłopiec ten woła matki, że żąda uściskać komuś rękę, że ciężką mu jest ta śmierć w samotności, w nędzy i opuszczeniu zupełnym.

Wtem we drzwiach uchylonych staje siostra miłosierdzia. I to już wszystko, to cały już „cud”, cud miłości, na który się i ja z głębi serca piszę.

A drugi taki.

Przed starą, wyschlą, szpetną pannicą klęczy śliczny, młody mężczyzna, z którego ust wychodzi na wstędze *t'amo!*<sup>421</sup>. Notabene podpis pod obrazem objaśnia, że panna posagu nie miała.

— *Ach! Che miraculosa!*<sup>422</sup> — powtórzyłam za Gemmą, patrząc na wotum to. I odtąd wiara w cuda dokonywane przez Madonnę del Monte jest we mnie niczym niezachwianą wiarą.

Słońce zachodziło, kiedy na skraju góry stanąwszy, puściłam wzrok, jak się puszcza ptaka na wolę<sup>423</sup>. Pod nami leżało miasto bielejące wśród winnic i sadów, w obszernej górskiej kotlinie, cieniem nakrytej od wschodu, od zachodu rozgorzałej w lunach. Huk Adygi aż tu słycać było. W czerwonych płomieniach leciała, złotą pianą bryzgając pod słońce zniżone. Zmierzch padał już po jarach głębokich, rozjaśnionych srebrnymi pasami wód żywych, które się zrywały z gniazd swoich, jak orły ruszone, i bijąc skrzydłami białymi w dolinę pęd brały, namiętym chórem odpowiadając loskotom fal gniewnych. Muzyka to była dziwna, od której serce drżało też do lotów nagłych, górnych, niepowstrzymanych, gwałtownych.

Słowa do pieśni tej rodzą się na ustach narodów, kiedy im z serca kipią czyny ogromne. Ale nie było takiego, co by złożył cały hymn. I wiem, że długo nie będzie. Biedni dobieracze zgłosek! Niemowlętami jesteście. A kiedyż przemówicie jak męże?

— *Mori...*<sup>424</sup> — szepnęła Gemma słodkim, cichym głosem, zwracając ku południowi głowę. — *Mori...*

I zasłoniwszy się ręką od bijących jej w twarz promieni słonecznych, stała zapatrzona na rodzinny dom swój, z tym półsmutnym, półradosnym wzruszeniem dusz prostych a tkliwych, którym pociechą jest, że mogą tęsknić do czegoś.

## 9

*Oblicze miasta — Polano — Sant Moroni i kos jego — W cztery strony świata — Piazza Rosmini — Illustrazione Popolano — Ogród miejski — Florentino — Północna droga — Na moście — Cmentarz w Roveredo — Czwartego dnia — noc.*

Przebyć w Roveredo tydzień cały, nie mając żadnego zajęcia i oczekując z dnia na dzień wieści, że jechać już można — nie jest bynajmniej tak łatwym, jak się być wydaje. Pracowite to i stateczne miasto wygląda, jak gdyby je obowiązywała jakaś reguła zakonna. Nie ma w nim ruchu, głosu, pulsu życia. Wielkie jego, poważne, surowego stylu domy, cały dzień bywają zamknięte na ciężko okute podwoje, błyszczące zamiast klamek lwimi paszczkami, a szeregi okien, u których zapuszczono żaluzje białe, nadają prostym, szerokim ulicom jakiś pozór chłodu i martwoty.

Mężczyźni wyglądają jak kwakry, kobiety — jak mniszki.

<sup>421</sup>*t'amo!* (wł.) — Kocham Cię! [przypis edytorski]

<sup>422</sup>*Ach! Che miraculosa!* (wł.) — Ach, jak cudownie! [przypis edytorski]

<sup>423</sup>*wola* (daw.) — wolność. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>*mori* (wł.) — umarli. [przypis edytorski]

Psów i koni jest tak mało, że w przeciągu trzech dni poznałam je do jednego. Co do ekwipażów, to mieliśmy w Roveredo — oprócz zapasowych dyliżansów, które po remizach stały — dwie pocztowe karety chodzące do Mori i Riva, kabriolet pułkownika, którym żonę na spacerzy woził; starą, zrujnowaną landarę biskupią, prowadzaną do stelmacha po każdej paradzie, dwa, trzy bankierskie powozy i welocyped młodego signora Tachi.

Naturalnie, że nie liczę tu wózków z jarzynami oraz taczek, służących ojcu Balbi do wywożenia śmieci z publicznego ogrodu.

W mieście też, poza mostem, gdzie huczała rzeka, i poza godzinami otwierania fabryk, było tak cicho, żeś o pół wiorsty słyszał stuk drewnianych sabotów<sup>425</sup> przechodzącego *contadino*<sup>426</sup> w szarej swojej opończy, który z Villa albo Pomarole z workiem na plecach szedł, a choć głuchy oddech maszyny cały dzień w powietrze bił, ucho nawykło doń szybko i przestawało go wyróżniać spośród ogólnej ciszy.

Nawet Erberia, kędy<sup>427</sup> wielkie ceglaste gołębie w zadumaniu po gzymsach siedziały, martwą była i pustą. Najżywszy na niej targ szedł rankiem o skowronki pobite, całymi sznurami u straganów wiszące.

I co tu było robić w takim mieście?

A przy tym te nieskończone kurczęta signori Franchini! Zawsze i co dnia — *polano*. Zdawało się, że zjemy tych kurcząt dynastię całą. Jakoż ostatniego dnia podano nam najmłodsze, a obok niego, wychudłą od trosk rodzicielskich kurę starą, matkę tych Machabeuszów<sup>428</sup>.

Z rozpaczy zapoznałam się z Santim Moroni, który wprost okien naszych owocarnię miał, przed południem czytywał gazety stare i politykował, a po południu kosa gwizdać uczył.

— *Chi ha arte, ha parte*<sup>429</sup> — mawiał do kosa swego Santi Moroni, zdejmując klatkę z kołka. Ale biedne ptaszysko nie zawsze rozumiało, czego od niego chcą. Santi wpadał wtedy w zapalczywość wielką.

— *Ach pezzo d'asino!*<sup>430</sup> — krzyczał. — *Ach faecia da briccone! Poco manco che tu sii un offiziere tedesco!*<sup>431</sup>

Santi bowiem był zagorzałym patriotą włoskim, Niemców nie cierpiał, a mundurem austriackim po prostu się brzydził. Nieraz też kupując winogrona wśród ostrego zapachu wielkich, srebrzystych cebul w warkocze splecionych, słuchałam narzekań Moroniego, który kiedy o Niemcach mówić zaczynał, ręce mu się trzęsły, tak że reszty z lira zdać nie mógł. Skargi te przynosiły mu widocznie ulgę w żółtaczce, którą był trapiiony.

— Albo i te wylewy — mawiał z goryczą — słyszane to rzeczy, signoro? Tylko przy polityce austriackiej coś podobnego wydarzyć się mogło.

Tu gwizdał, a kiedy kos całkiem fałszywe tony brał:

— *Che combinazione!*<sup>432</sup> — krzyczał ze złością Santi, za głowę się chwytając. — Czy myślisz, ptaku przeklęty, że ja cię tu będę trzymał i żywił *per far la figura*<sup>433</sup>? Tak jak się wojsko w Castelvechio trzyma?

Tu następowała jedna z najburzliwszych lekcji, przeplatana aluzjami do polityki habsburskiej, a ptak nieszczęśliwy, oszołomiony, wystraszony, piszczący, tłukł się po klatce z rozpaczą, dopóki ktoś z kupujących nie odwołał mistrza.

Razu pewnego postanowiłam zwiedzić Roveredo, idąc w kierunku czterech stron świata, gdzie oczy poniosą.

<sup>425</sup>sabot — drewniak, rodzaj obuwia. [przypis edytorski]

<sup>426</sup>contadino (wł.) — rolnik. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>kędy (daw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>428</sup>Machabeusze — judejski ród kapłański, dynastia panująca w Judei. [przypis edytorski]

<sup>429</sup>Chi ha arte, ha parte (wł.) — włoskie przysłowie oznaczające, że tylko ci którzy znają dany temat, mogą się wypowiedzieć; dosł.: kto ma umiejętności, ma udział. [przypis edytorski]

<sup>430</sup>Ach pezzo d'asino! (wł.) — A to kawał osła! [przypis edytorski]

<sup>431</sup>Ach faecia da briccone! Poco manco che tu sii un offiziere tedesco! (wł.) — Co za gęba! Niewiele ci brakuje do niemieckiego oficera! [przypis edytorski]

<sup>432</sup>Che combinazione! (wł.) — Co za połączenie! [przypis edytorski]

<sup>433</sup>per far la figura (wł.) — na pokaz. [przypis edytorski]

Pierwszego dnia poszłam na południe i znalazłam się na obszernym placu, gdzie w to-dze prawniczej i z księgą w ręku stoi biały posąg Antonia Rosmini<sup>434</sup>, dumającego może nad swoją *Filozofią prawa*. Nieopodal wznosi się spośród grządek pachnących werben i rezedy Ajuto del Rosmini, przytułek, staraniem męża tego dla sierot wzniesiony. Dalej, na lewo, dom jego rodziny, pięknym otoczony ogrodem, kędy mieszkał i brat jego, Carlo, historyk Mediolanu.

Dwaj ci mężowie to największa chluba miasta. Tu się oni urodzili, tu pracowali na sławę. Dom ich lud zowie „Academia Rosmini”, a najpiękniejszy plac w Roveredo imię ich nosi. Tuż z placu prowadzi na południe aleja pełna szumu drzew i pieśni ptaszyc, arystokratyczna część miasta, zabudowana pałacami patrycjuszów tutejszych. U samego jej wstępu trafiłam na kawiarnię Del’ academia, gdzie mi w rękę wpadł świstek włoski: „Illustrazione Popolano”. Mantua tam się popisowała na pierwszej zaraz stronie ze starym wirgiliuszowym popiersiem, dalej szły wieści o wylewach Adygi, potem polityki trochę, potem jeszcze nędzny drzeworyt, przedstawiający jakąś wielką rewię z dwiema armatami, wreszcie tłusta przypowieść o rzeźnickim majstrze i czeladniku jego.

Na ostatniej już kartce znalazłam wierszyk nieznanego poety: „O góry” — mówił on — „o góry mojej ziemi! Wyście mi porywały oczy, kiedym dzieckiem był, i ku wam, spod progu chaty, podnosił głowę lichą; wyście mi porywały serce, kiedym na szczyty wasze, zuchwalec młody, po różę alpejską dla dziewczyny szedł; wy dziś, o góry ojczyste, duszę mi bierzecie, śpiewając mi wspomnienia pieśń, gdy starzec posepny, z burzliwych dróg waszych, ku dolinom strudzone stopy zwracam. A tak, całym ja wasz, o góry moje...”

Z myślą o wierszu tym zaszłam het, het, aż na koniec drogi, zamkniętej w poprzek stojącym dworcem kolei żelaznej, głuchym teraz i pustym, gdzie jeden Niemiec ziewa, a drugi fajkę czyści. Co by robili? *Tutto sotto aequa*<sup>435</sup>.

Drugiego dnia poszłam na wschód i natrafiłam na ogród miejski, chłodny, cienisty, w dole nieco leżący, którego środkowym punktem jest piaskiem wysypany, kasztanami dokoła obsadzony, krąg służący za miejsce igrzysk uczniom z Elizabetyny. Wielkie perukowce u wejścia tu stoją i tuje czarne, a dalej rozcinają się klony, wiązy i świerki, i kwiatów mnóstwo wielkie, róż zwłaszcza i lewkonii pełnych.

Ogród ten ma za tło poprute strumieniami gór stoki, co się srebrzą i złocą od lecących w słońcu wód pyłów, więc w powietrzu rosę tu czuć i świeżość jarów górskich. W kącie, na lewo, stoi garść brzoź, płaczących tak po naszymu, tak swojsko, że aż dziw brał, skąd się tu one takie smętne wzięły. Stałam przed nimi właśnie, myśląc o miejscu bardzo mi drogim i bardzo dalekim, kiedy gwałtowne bicie w bęben spłoszyło mnie nagle. Zrazu byłam pewną, że klęska jakaś na miasto spaść musiała.

Może karetą biskupia rozsypała się do szczytu? Może jedwabniki zmówiły się jedwab dla siebie odtąd prząść i w adamaszkach, jak signor Tachi, chodzić? Może Santi Moroni wojnę Niemcom wydał? Ale nie, to mały, uczący się dobosz<sup>436</sup> za ogrodem chodzi tu i tam, i w większy prawie od siebie bęben bije, co siły ma. Kiedy się zmęczył i przystanął trochę, zapytałam go, czyby z dobrej woli na dobosza szedł?

„A jakże! Czemu nie?” Kum Brenti przyprowadził go tutaj, bo w domu koza zdechła. Zrazu to mu się co dzień płakać chciało, ale teraz przywyknął. Bęben jest piękny, co się zowie, i taśma żółta. Tylko przyciężko trochę.

Tu podniósł cienkie swoje rączyny, które się trzęsły wysilone i mdlały.

Florentino się zwał, do matki chciałby czasem. Teraz tam kukurydzą suszą. Ale ma jeszcze dwie siostry, do niczego to! Małe, chude, nic zrobić nie umięją chyba jeść. A zbyt-nice<sup>437</sup> jakie! Zena i Lodi... A matka, to wdowa jest... koszule mu pierze. Ich wioska? To wcale nie daleko. Jak się wiatr z tamtej strony obróci, dzwony słycać.

Pies tu kiedyś do niego ze wsi przyleciał, ich Trapo, ale go starszy kazał zbić, więc uciekł i teraz się boi.

Pies był okrutnie chudy, na wsi ciężko żyć!

Tu westchnął, jak wzdycha stary, smutny człowiek.

— Czyż ci nie tęskno do swoich? — spytałam go jeszcze.

<sup>434</sup>Rosmini, Antonio (1797–1855) — włoski myśliciel, filozof. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>*Tutto sotto aequa*. (wl.) — Wszystko pod wodą. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>dobosz — członek orkiestry, grający na bębnie. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>zbyt-nice (daw.) — kobieta przesadnie oddana wartościom materialnym. [przypis edytorski]

Mały dobosz podniósł głowę wysoko, wytrzeszczył oczy na słońce, poczerwieniał, usta mu się zatrzęsły.

A potem, nie odpowiadając mi i nie patrząc na mnie, odszedł wielkimi krokami, z całej swojej dziecięcej siły tarabaniąc w bęben.

I znów chodził za ogrodem tu i tam, i bębnił, bębnił, bębnił...

Z ogrodu wyszłam na północną drogę, szeroką, cieniem wielkich drzew nakrytą, kędy ławki kamienne stały i goniła się chmara dzieci, zbierających kasztany dzikie.

Gdyby mi wstyd nie było, przyznałabym się, że i ja także zbierałam je z nimi. Ogromne to były kasztany, lśniące jak mahoń polerowany w ciemniejsze, grube słoje. Drogą tą wyszłam później między podmiejskie domy i ogrody i szłam aż do rzeki, która nie tak już huczy jak przy Castelvecchio, bo szersze pędy bierze, choć i tu jeszcze warkotu dość. Most też nie bardzo na niej pewny, drewniany, stary już. Dziad tam na ławie siedzi, nie żeby zaś żebrał, broń Boże! Owszem, cygaro sobie pali i z przechodniami rozprawia, ale, że ot tak, żyje sobie z tych centów, co mu spadają w kapelusz na ziemi stojący, choć nie mówi: „Dzięki tobie”, ale — „Bogu dzięki”. Żebrak to z „Bożej łaski” jest, a czemu nie ma być? A za mostem, za rzeką, widać już półka wyniesione nad zalew jarzynnym plonem, i wioski bielejące, i kościelne wieże, a potem góry, góry... Tam, tam, na północ wrócić bym już chciała! Oczy też mają tęsknotę swoją i na równiny już patrzeć chcą.

Trzeciego dnia poszłam na zachód i znalazłam się na cmentarzu, co schowany między sady, cichy i jasny pod niebem, leżał w uspokojeniu głębokim. Śmierć tu nie często chodzi, bo trawy niedeptane u furty stoją, a drzwi skrzypią przykro na swoich zawiasach rdzawych. Życie ciężko, ale kiedy się już raz żyje, nie ma się po co do mogiły spieszyć. Taką jest filozofia mieszkańców Roveredo. Siwy *custode*<sup>438</sup>, co mi otwierał bramę, powiada, że jak zapamięta — a od pół wieku urząd swój tu pełni — jeden tylko niedorostek powiesił się na podmiejskim murze. A i to straceniec jakiś i przybłąda był, co ojca, matki nie miał, jakóż mu na to nie miało przyjść?

Cmentarz w Roveredo dziwne robi wrażenie. Całe to smętne pole, nad którym gonią się w promieniach słonecznych wielkie, żółte motyle, podzielone jest na cztery części drogą, przy której, jakoby gęsty szpaler, stoją krzyże tych, co sobie na zbytek ten pozwolić mogli. Poza krzyżami, na gładko wyrównanej ziemi, sterczą równoległe płaskie, okrągławe, nie wyższe nad pół łokcia kamienie, z wyrytą na nich liczbą porządkową grobu. A tak lud się tu bezimiennie w ziemię, rzędami kładzie, z piasku nawet mogiły nad głową nie mając. Ale jest liczbą. Panowie, inaczej. W murze cmentarnym katakumby i kaplice ozdobne, poza piękną żelazną kratą, goreją od lamp wiszących i ciągną oczy widokiem kwiatów, płaskorzeźb, posągów i napisów na marmurze rytych. Ci nie są liczbą.

Czwartego dnia... ale nie, czwartego dnia nie byłam nigdzie, bo za ledwie uchylwszy okno z rana, spostrzegłam wielki tumult<sup>439</sup> na ulicy. Oficerowie kręcili się w galowych mundurach; kilku urzędników z poczty i z telegrafu wybiegło bez czapek, z piórami za uchem; mały właściciel wielkiej, narożnej kawiarni, zapuścił się w białym fartuchu i z moździerzem w ręku aż na środek placu; znalazło się nawet — nie wiem jakim sposobem — uliczników kilku. A od hotelu Alla Posta tymczasem, biegło całe nasze współpodróżne grono, na czele którego trzymał się ów tłusty Niemiec z Ala, gwałtem widać od kawy rannej oderwany, bo jeszcze ustami ruszał i serwetę białą pod brodą miał. Biegnąc, rękoma dla pośpiechu machał i ruchem tym zastępował pewną ociężałość małych, krótkich swoich nóżek. Orszak zamykała dama z grzebieniem i papilotami w ręku.

— Co się to stało? — zapytałam Gemmy, która z szcnotką i miotłką wybiegła patrzeć przed bramę.

— *Generalissimus!* — huknął mi przechodzień jakiś, podniósłszy głowę ku oknu.

Ten *generalissimus* był to feldmarszałek Thun, który przebywał tę część Tyrolu dla obejrzenia spustoszeń przez Adygę na liniach kolei zrzędzonych. Cały ten dzień miasto było w gorączce. Młody adiutant feldmarszałka po dziesięć razy musiał opowiadać damom przygody swojej podróży, ot tak, na środku placu, a niezliczone „och” i „ach” pół dnia rozlegały się w powietrzu. Myślałam, że tym razem przynajmniej zapomną nam dać

<sup>438</sup>*custode* (wł.) — dozorca. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>*tumult* — zamieszki, zgiełk. [przypis edytorski]

kurczą na piecyste, ale nie, signora Franchini pamiętała o nich wśród powszechnego wzburzenia umysłów.

Nie wiem, jaką tam *generalissimus* konferencję na miejscu z Adygą odbył, ale tak mi się coś zdaje, że musiała ona być nieco podobną do wszelkich konferencji dyplomatycznych, w których ostatnie słowo ma wielka wypadków fala.

Przybycie wszakże feldmarszałka wlało w nas pewną otuchę, nie brakło nawet śmiałości, co się tego samego dnia jeszcze puścili śladem *generalissimusa*. My czekałyśmy jutrzejszego ranka.

---

Ostatnia noc w Roveredo była księżycową nocą. Taką, co to myśli nasze na skrzydłach nosi i czyni z nas po głębinach modrych latające duchy, i serce nam naciąga jako łuk tęczy, i na czoła nasze kładzie gwiazdę srebrną.

W taką ja noc myślę o łąkach ros pełnych, budzonych o brzasku rzeniem spętanych koni, i o węglach niskich i czarnych chatach, na których się rozłamują promienie miesięczne, i o ludziach zmęczonych bardzo, którzy ani wiedzą, po ławach twardych pośpieni<sup>440</sup>, że jasność wielka o nich się otrąca.

W taką ja noc szumy ojczystych niw słyszę i zapach ziemi poruszonej czuję, i wiem, że żniwo się zaczyna, kłosami ciężkimi bogate, co brzęczą jak stal trącona, a chleba przyszłości są pełne. O, bądźcie mi pozdrowieni z dała wy, co żniw tych czujecie czas. Bądźcie pozdrowieni kosarze dobrzy, co czekacie dnia, aby na dziale stanąć. Za wami pójdzie łanem pieśń, jako Ruth<sup>441</sup> zbierająca uronione kłosy, i wieniec z nich uwije, i na czoło włoży sobie, aby pokazała światu, iż bez ozdoby pól ojczystych nie jest...

Tęsknota, Polska, Patriota

IO

*Wyjazd z Roveredo — Trento — Lavis — Nasza szkapa — Noc w Salurn — Poranek w górach — W Cortinau: — Jul Prell — Jego zięć — Schimele i Juvele — Margreit — Kaltern — Dylizansem — Przeprawa w Sigmundskron — Bozano — Przez góry Ortles — Hans Michael — Alois Flinks — Nad przepaścią — Czym koń nasz w Klausen popasał.*

Z jakąś melancholią porzuca się miejsca, gdzie dusza nasza odetchnęła raz choćby, więc i ja żegnałam Roveredo z mimowolnym wzruszeniem, oglądając się na winnice jego i domy białe, i kasztany, co nam cień swój na drogę rzuciły. Gemmo, doboszu mały i ty udreńczony kosie, bądźcie mi zdrowi, żegnajcie! Kilka dni cichych bardzo tu przeżyłam i to jest słowo, które chciałabym mieć na ustach, żegnając ziemię.

Jaki to był świeży i otrzęsiony rosami poranek, tego wypowiedzieć nie umiem! Mając przed sobą krainę dziwną, we mgłach liliowych leżącą, ruszyliśmy tym samym mostem, na którym dziadów z Bożej łaski siedział nie gorzej, jak się siedzi na innych — z tejsze łaski — miejscach.

Zbudzone trąbką *postiglione*<sup>442</sup> naszego, góry wstawały ze snu i zachodziły nam drogę to z prawej, to z lewej strony, a po załamach skalnych grały świeże echa, dając nam odzew daleki.

Wkrótce jednak chwyciły nas między siebie głębokie wyboje, wśród których, drogą ze źwirów wymytą, woda jeszcze bystro szła, tak że tylko bokami się wieszając po przydrózkach, gruntuśmy pod kopyta koniom dostać mogli<sup>443</sup>. W ten sposób przebrnęliśmy jakoś Pomarole, Villa, Levico, ni to wsie, ni to miasta; coś, co ma kościół swój, urząd i winiarnię. A i biedę też swoją ma, wylażącą wszystkimi bokami. Domy tu, z szarego kamienia na wysokich podmurowaniach wzniesione, na piętrach dopiero, pod dachem gdzieś okna mają — ślepe i martwe od dołu. Odrzwia<sup>444</sup> starym, dobrym gustem w głębokie łuki z kamienia wpuszczone, po murach gdzieniegdzie malowania zblakłe, ganki zatrzęsione śmieciem, chusty się na nich suszą i kukurydzy pęki. Przed domami kobiety

<sup>440</sup>*pośpieni* (daw.) — uśpieni, śpiący. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>*Ruth* — postać biblijna, żona Boosa, którego poznała, zbierając kłosy jęczmieńne na jego polu. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>*postiglione* (wł.) — listonosz. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*gruntuśmy (...) dostać mogli* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: gruntu (...) dostać mogliśmy. [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*odrzwia* — konstrukcyjne ujęcie otworu drzwiowego, złożone z węgarów i nadproża. [przypis edytorski]



się cheszają, nogi myją, karmią dzieci, mężczyźni... ale nie, niepodobna opowiadać wszystkiego, co się w miastach włoskich na ulicy robi.

Południowa już była godzina, kiedyśmy w Trento stanęli.

Mocne, niezapomniane wrażenie zrobił na mnie ten Trydent stary, w siwiźnie średniowiecznych budowli swoich stojący, trochę przyćmiony zadumaniem wieków, co nad nim szły, nieregularny w planie, z pierwotnego jądra wywinęty w ozdoby i gmachy nowe, które by wędrowiec odmuchiwał z niego rad, dziwny, sam sobie tylko podobny, klócający się fizjonomią z powszedniego życia ruchem. Na obejrzenie go wszakże tyle tylko miałam czasu, ile go potrzebował pocztylion, aby zmienić konie, i kucharz z hotelu Europa, aby przyrządzić polentę *con u'celli*<sup>445</sup>, potrawę, którą tu robią na prędce, jak u nas befsztyk. Zbrodniarz, zużył do polenty tej tyle skowronków, że starczyłoby ich na rozśpiewanie całej polskiej wioski.

Więc tylko okiem rzuciwszy na tum<sup>446</sup> starożytny i wieżę sądową, krótkim wejściem objęłam główne punkta miasta i poszłam do Santa Maria Maggiore, kędy<sup>447</sup> przed trzema przeszło wiekami zasiadał zbor ów sławny, na którym i nasz Hozjusz<sup>448</sup> głos brał. Dziś — cicho tu i pusto; i tak swobodnie zadumać się można o prostocie nauki Chrystusowej, jakby nie było na świecie konsyliów, które ją tłumaczą uczenie. Z żywym i bardzo rozbudzonym uczuciem pożegnałam Trydent stary, a kiedy godzina może drogi za nami była, dał się słyszeć głuchy łoskot wód, z Val Cembra ku nam idących.

Był to Aviso, który pod Lavis takim niepowstrzymanym wałem do Adygi z wysoka się rzuca, że w zwykłych nawet czasach tworzy jakoby górę szklaną, zapadającą się w przepaść — jak w bajce. Cóż teraz, kiedy i Adyga podjęła ku niemu wody swoje z namiętym szumem, kiedy się zlały w jeden huk dwa głosy: otchłani, która pragnie, i tej, która się oddaje. Powóz stanął, konie dalej ważyć się nie mogły, zostawiono nas tutaj własnej naszej doli.

Przed nami leżało Lavis, do którego trzeba nam się było dostać bądź co bądź, gdyż tamtędy droga nasza ku Bozano szła, ale pomiędzy nami a miasteczkiem była rzeka, i Aviso, gwałtownik ów szalony, który w pędzie swoim zerwał z Adygi most, na cały Tyrol z długości swej sławny, zamiast którego deski tu teraz rzucono, linami je powiązawszy jak tratwy. Z jednej i z drugiej strony tego improwizowanego mostu wojsko stało i kupy kamieni leżały zwalone; i zaiste, było o czym dwa razy pomyśleć, nim się tu postawiło stopę.

Deski na prędce z tartaków chwycone tak były gibkie, że się uginały pod ciężarem ludzi, co z kufkami naszymi szli, a woda kłębamii przewalała się wierzchem, ilekroć silniejsza uderzyła fala.

Nie wstyd chyba przyznać się, że mi strach ścisnął serce, że jednak ludzie patrzeli na nas, podniosłam głowę i w ogniach cała wstąpiłam na chwiejący się pomost. Zaledwie jednak uszłam kilkanaście kroków, kiedy jakaś ogromna tyrolska łapa z taką siłą pochwyciła rękę moją, że z bólu zapomniała zupełnie o strachu i sama nie wiem jak, znalazłam się na drugim brzegu. Tutaj powitano nas okrzykiem, byłyśmy pierwszymi kobietami, co się nad otchłanią tę bez zawrotu głowy ważyły. Zaraz też opowiadać zaczęto, że wczoraj całe grono dam z Roveredo przybyłych, nakrzyczawszy się tutaj w różnych językach i napłakawszy nawet, wsiadło do powozów, zmuszając i mężów do haniebnego odwrotu.

W Lavis natychmiast krzątać się zaczęto, żeby nam podróż do Salurn ułatwić; na poczcie wszakże najsmutniejsze czekały nas wieści. Jeden koń, stara jakaś arka, która i na lwa, po dobrej drodze, niepospolitym byłaby ciężarem, a w dodatku ani kawałka woźnicy — ot wszystko, cośmy tu zastały po wczorajszym przejeździe feldmarszałka Thuna.

Pocziwy wszakże zawiadowca poczty tak był odwagą naszą przejęty, że w skok pobiegł wyprosić drugiego konia u właściciela zameczku w Lavis, a zaprzągnął go wraz z własną

<sup>445</sup>*polenta con u'celli* — sycząca włoska potrawa ludowa, sporządzana pierwotnie z mąki kasztanowej, obecnie na ogół z mąki kukurydzianej lub kaszki kukurydzianej, niekiedy z dodatkiem sera i różnych sosów oraz warzyw, tu: z ptakami. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>*tum* (daw.) — średniowieczny kościół katedralny lub kolegiata. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>*kędy* (daw.) — któredy. [przypis edytorski]

<sup>448</sup>*Hozjusz, Stanisław* (1504–1579) — polski humanista, poeta, sekretarz królewski Zygmunta I Starego od 1538 roku, sekretarz wielki koronny od 1543 roku, dyplomata. [przypis edytorski]

szkapą do arki owej, sam na kozioł wsiadł wśród kumów radzących, co się z nami stanie, i do Salurn nas powiózł.

Słońce już zniżać się zaczęło; ostatnie blaski jego błąkały się po górach jako duchy złote. Gejer tylko, szatańska Alpów Tyrolskich forteca, w ciemnościach stał gniewny, od słońca wyklety, piorunowych dróg ślady na sobie noszący. Dzikość gór — niezrównana. Mchy goreją pod światło, dzikie kwiaty osypują się w szczeliny skalne. Tu by dobrze było zapomnieć o wszystkim i żyć sam na sam z jakimś wielkim szczęściem.

Tymczasem po zakrętach tej skamieniałej Tebaidy, pełnej kuszących duchów, wiozła nas arka nasza sędziwa, utykając po trosze, iż koła przednie z półwozia jakiegoś nienajlepiej dobranymi były. Co do szkapy pocztowej, było to poczciwe zwierzę, w sam raz dla turysty stworzone.

Pociągnąwszy mało wiele drobnym, gospodarskim truchcikiem, podnosiła ona łeb do góry, spoglądała melancholicznie na prawo i lewo, a jeśli jej się co pięknym wydało, stawała. Między górami Tyrolu wszędzie czarodziejstw tyle, że trudno się było spierać z nią co do trafności jej artystycznych instynktów; niemniej jednak przyznać muszę, iż trochę za często zdarzały się te chwile zachwytu i była pewna uzasadniona obawa, że zanocujemy na Böhling lub Essler, tym bardziej, że i koń z zamku rycersko stosował się do marzycielskich usposobień towarzyski swojej i także przystawał chętnie. Wtedy szkapę nasza zakładała wielki swój, ciężki łeb na jego gibką szyję i przymrużywszy oczy, zaczynała rozkosznie drzemać. Nie śmiem utrzymywać, iż podróżując w taki sposób można objechać świat w 150 dni, że przecież wszystko musi mieć swój koniec, więc przyszła wreszcie i taka chwila, kiedy z pośrodku gór zsiadłych wystrzeliła przed nami w niebo iglica skalna, na której szczycie stał zamek Salurn — w ruinie.

Dziwnie to lekka, przezroczysta, jakby niewykończona arcydzieło — ruina. Arkady jej, na tło jasnego nieba rzucone, już zachodziły lekkim różem i pierwszymi mgłami zmierzchów liliowych; nic zapyłonego, nic ciężko uszkodzonego, nic, co by trąciło rozkładem. Dzisiejszej nocy jeszcze mogłaby ruina Salurn być komnatą balową rusalek białymi stopy po rosie tańczących. Zorze zaczynały gasnąć, kiedyśmy do miasteczka wjeżdżali.

Przed nami wznosiła się idąca stromo w górę, kamienista droga, po której trzoda kóz schodziła z pastwisk dziennych.

Kozły z dzwonekami szły naprzód, lby pochylone niosąc i o ziemię raciami bijąc, za nimi jarki<sup>449</sup> młode, w podskokach całe, lśniące, smukłe, z wielkimi przezroczystymi oczyma, potem ociężałe matki, wreszcie kozy dojne, a przy nich drobiazg beczący, przez kundysa<sup>450</sup> pilnie zganiany.

Na samym już końcu pasterz szedł w brunatnej opończy, kapeluszu głęboko na oczy wciśniętym, na piszczalce grając przenikliwie. Cały ten obrazek tak mi się żywo w myśli wymalował, że widzę nawet złotawy pył, co się był podniósł za idącą trzodą, i dziewczeczkę tę bosą, co po kozę swoją przed innymi na drogę wybiegła. A tu już arka nasza, szturchnąwszy o węgiel<sup>451</sup> na prawo i o takież węgiel na lewo, zatoczyła się szczęśliwie przed *albergo*<sup>452</sup> Bernardina Mommi, który, prócz wybitnej tuszy, tę właściwość miał, że w nocnym ubraniu wśród białego dnia przed bramą domu swego rad stawał. Zresztą wszystko było w porządku, jak miałyśmy sposobność przekonać się o tym, wszedłszy do wielkiej, o trzech oknach sali, którą nam Bernardino Mommi uprzejmie na sypialnię przeznaczył. Najmilej by nam było, co prawda, nie czekając rozkoszy tego paradnego noclegu ruszyć dalej tegoż jeszcze wieczora, ale było to niepodobieństwem.

Teraz bowiem wpadliśmy w sam gardziel rozlewu, a poza Salurn nie stało już drogi dla wozu i koni; trzeba więc było dnia czekać, a dalej pieszo iść. Zmówiwszy tedy ludzi, którzy mieli ponieść kufry nasze, miałam dość czasu do rozejrzenia się wokoło siebie.

Pokój nasz ozdobiony był widokami natury dość zagadkowej, malowanymi wprost na murze, ot tak, od razu z ramą, czterema pociągnięciami pędzla zdziałaną. Signor Mommi junior, jak nas objaśniła usługująca dziewczyna, był twórcą obrazów tych, z których najmniej fantastyczny przedstawiał Wenecję, utopioną w dość sporej wannie, skąd tylko dwa niedźwiedzie szczęśliwie na ląd wyszły.

<sup>449</sup>jarki — samice jagniąt. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>kundys (daw.) — pies pasterski. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>węgiel — miejsce zetknięcia się dwóch ścian zewnętrznych (pionowych) budynku. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>albergo (wł.) — zajazd. [przypis edytorski]

Na innym widać było Neapol, skopiowany z najpiękniejszej części Salurn, z dodaniem kilku porządnym kamienic, które artysta w Bozano widzieć musiał. Ciemnozielona dziewica miała tu małe *rendez-vous* z pomarańczowym strzelcem; zresztą wszystko było spokojnie, gdyż Wezuwiusz przeniósł się nad piec, w kącie sali stojący, i stamtąd buchał ognistym słupem dymu, aż pod strop, het, wysoko.

Jeszcze oglądała dziwną tę galerię, kiedy w nagle zapadającym zmierzchu błysnęło mi do oczu światelko bliskie. Była to lampka szewca z przeciwka, który siedząc przy szerokim, okno zastępującym otworze, młotkiem skórę bił i przez zęby gwizdał. Wnet porozumieliśmy się szczęśliwie i przez okno odbyli naradę, skutkiem której warszawskie obcasy naszych bucików pozostały w Salurn, a podeszwy nasze dostały jedną jeszcze skórę, ćwieczkami porządnie przybitą. Po czym, w przewidywaniu jutrzejszej podróży, położyliśmy się spać, co wcale nie było tak łatwym, jakby się to zdawać mogło tym, co nigdy nie mieli szczęścia nocować w paradnej sali Bernardina Mommi.

Łóżka tu bowiem tak były ustawione wysoko, że wszedłszy na rusztowanie, mające trzy czy cztery schodki, trzeba było krzesło jeszcze przystawić i po nim dopiero dostać się na owo łoże, które było równie twarde, jak ogromne.

Przecież wgramoliłyśmy się jakoś szczęśliwie, zostawiwszy drzwi otworem, gdyż w tej błogosławionej krainie ani zamków, ani klamek nie ma. Gałka u drzwi do popchnięcia ich — oto wszystko.

Usnęłam prędko i mocno, ale niebawem zbudził mnie odgłos jakiś, z którego sobie sprawy zdać nie mogłam. Siadłam na posłaniu; pokój był pełen blasków miesięcznych, które trzema smugami przez okna wpadając, na podłodze i na ścianach się kładły. Za oknem słychać było śpiew męski, jednostajny, prosty, w krótkich strofach padający w ciszę.

Czy pamiętasz hejnał ten wieczorny, który halabardnicy w drugim akcie *Hugonotów*<sup>453</sup> śpiewają? Otóż hejnał ten to jest pieśń stróża nocnego z Salurn, którą Meyerbeer w Tyrolu za skrzydła schwytał kędys<sup>454</sup>. Tylko, że na żadnej scenie świata nie robi pieśń ta takiego wrażenia, jak tu, w tej mieścinie w górach zapadłej, stojącej pod pełną duchów ruiną starego zamczyska swego, o tej godzinie, wśród nocy miesięcznej, głosem pełnym prostej, głębokiej wiary śpiewana.

Tyle już czasu minęło, tyle pieśni słyszałam już odtąd, a przecież, kiedy się obudzę w noc podobną, myślę o tym dalekim śpiewaku i słyszę hejnał jego.

Nazajutrz szarym jeszcze rankiem ruszyliśmy z Salurn piechotą.

Mgły leżały na górach, chłód był przejmujący, Adyga przewalała się w pianach mętnych, groźna choć leniwa. Rzuciwszy brzeg jej na prawo, przeszliśmy po kładce niezbyt szeroką łachę pod tartakiem i okrążywszy miasteczko z drugiej strony, wyszły wpośród winnic cichych, obsadzonych niskim żywopłotem. Szałwie tu pachniały i lawendy, i hyzop drobny, a rosy tak było, jakby kto pereł nasuł<sup>455</sup> między zioła. Ptaki budziły się dopiero i otrzepywały ze snu pióra, próbując pierwszych świergotów, wkrótce też rogi pastusze grać poczęły we mgłach tu, to tam, dając odzew klekotkom kóz, pasących się na wrzosach.

Góry ożyły.

Wiatr poranny przeciągnął raz i drugi, i wnet różaność złota zaczęła się przez liście klonów siać, a kiedyś się obróciła ku wschodowej stronie, na kamiennym cyplu Alpów gorzało słońce.

Proboszcz z Curtinay, który tego ranka po kawie z fajeczką i w pudermantlu<sup>456</sup> na ganek plebanii wyszedł, miał przed oczyma widok niezwykły w tym kącie w górach zapadłym.

Obaczył mianowicie dwie podróżne kobiety w rynku miasteczka na kufrach swoich siedzące, a wkoło nich kupę dzieci i trochę cieląt, które na pastwisko idąc, przystanęły, aby się na wędrownice popatrzyć. Proboszcz wychylił się z ganku i fajka mu zgasała w zębach, to jednak nie zmieniło w niczym losu obcych kobiet, które się nie miały gdzie podziąć,

<sup>453</sup> *Les Huguenots* — opera autorstwa Giacomo Meyerbeera, jedno z największych arcydzieł opery romantycznej. [przypis edytorski]

<sup>454</sup> *kędys* (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>455</sup> *suć* (daw.) — sypać. [przypis edytorski]

<sup>456</sup> *pudermantel* — letni płaszcz noszony w podróży chroniący przed kurzem. [przypis edytorski]

do jedynej bowiem oberży w Curtinay przybywał w tej chwili gość równie krzykliwy, jak mały, dla którego kołyskę natrzęsano świeżym sianem właśnie...

Posiliwszy się tedy mlekiem na ulicy, pozostałyśmy i nadal przedmiotem obserwacji dzieci, cieląt i proboszcza, póki Jul Prell, Tyrolczyk, ogromnych barów i wielkiej fantazji słowa, nie wytoczył wózka, którym nas dalej powieźć miał. Zaprzęganie wózka tego było całą epopeją.

Przede wszystkim dowiedziałyśmy się, że nim to właśnie gospodarz nasz przed trzydziestu laty na ślub swój do Tramin jechał; potem nastąpiła historia Marcina Holerejt, który na wózek ten od dawna zęby ostrzy i daje za niego dwadzieścia guldenów<sup>457</sup> i pół, ale ho, ho! Niedoczekanie to jego! Chyba by się dziś na tej piekielnej drodze gdzie rozleciał. Zrobiwszy nam tak miłą nadzieję, Jul Prell wyniósł dwie dery, z których każda miała osobną historię, gdyż na dwóch jarmarkach w Kaltern z różnymi przygodami kupowane były, a kiedy się i to szczęśliwie skończyło, Tyrolczyk nasz wyprowadził chlubę swoją całą, swoje dwa konie. Ale co za konie! Drugich takich chyba w Margreit szukać. Jeden z nich, szkapa dobrze już letnia<sup>458</sup>, zwał się Schimele<sup>459</sup> od przyprószającego ją szronu, drugi, młodszy, miał imię Juvele<sup>460</sup> i wart był imienia swego.

Przede wszystkim musiałyśmy wysłuchać historii tych zacnych zwierząt, o tyle wzruszającej, o ile śmiertelnie długiej, po czym Jul Prell raz jeszcze po bat się wrócił, a następnie wykończywszy przy nas toaletę swoją podróżną, na rozworze siadł i przewiesiwszy nogi, ruszył szczęśliwie, wprost przez podmiękkłe bruzdy i zagony, gdyż drogą woda szła jakoby wielka rzeka. Nie wiem, o ile na wózku Jula Prell do ślubu jechać by miło; ale do Kaltern na przykład trzęsie on niemiłosiernie. Czyś chciał, czyś nie chciał, mogłeś się po godzinie drogi takiej dorachować wszystkich kości swoich, gdyż każda bolała cię osobno.

Byłoby to jeszcze bardzo pomyślnym zdarzeniem, gdyby Jul Prell nic innego nie miał na świecie prócz wózka, dwu derek i koni.

Na nieszczęście miał jeszcze — zięcia. Nie przypuszczałam nawet, aby zięć jaki w ogóle tak komu zbrzydnąć mógł, jak mnie ten nieszczęsny chłopak, co się z jedynaczką Jula Prell ożenił. Nimeśmy pół drogi do Margereit zrobili<sup>461</sup>, wiedziałam z jakiego rodzaju „zięć” ten idzie, ile nań schedy po rodzicach spadnie, jakie oporządzenie przed weselem dostał, co wreszcie robi w dzień, a co w nocy, z czego ostatecznie taka wynikała konkluzja, że się Jul Prell pierwszego wnuka spodziewa.

Koniki tymczasem przystawały sobie po trosze, z namysłem zabierając się do każdego pociągnięcia dyszlem, wtedy gospodarz nasz przemawiał do nich pieszczotliwie grubym swoim głosem:

— *Zieh', Schimele, zie'h!*... *Juvele, na Juvele! zie'h doch, na!*...<sup>462</sup>

I tak jakoś wreszcie dobiliśmy się do Margereit, mieściny tyleż, co i Curtinay wartej. Tu, posiedziawszy na wózku z godzinę może, podczas której zrobiło się koło nas powszechne zbiegowisko, miałyśmy szczęście ujrzeć owego historycznego „zięcia”, który prowadził szkapę na przyprzążkę, gdyż Jul Prell zabierał Schimele do domu, Juvele tylko powierając wraz z nami i wózkiem przysłemu ojcu swego pierwszego wnuka. „Zięć”, był to młody, barczysty, koloru palonej cegły chłopak, który wytrzeszczywszy na nas okrągłe swoje oczy, zarzucił lejbik na ramię i pieszo przy wózku ruszył. Tłum dzieci biegł za nami poza Margereit jeszcze, póki coraz bardziej zniżający się grunt nie spłynął wodą, tak że cała okolica stała się jednym jeziorem, z którego przed oczyma naszymi wstawały wapienne skały i góry lasem obrosłe, dźwigające na sobie zamki stare, z imienia nawet zapomniane przez lud, którego karki niegdyś gniotły.

Tak minęliśmy Kurtatsch, Tramin, Egna, po skałach jak dzikie ptactwo się gnieźdzące, po czym, zostawiwszy na prawo Neumarkt, do którego teraz nie dawała przystępu Adyga, dźwignęliśmy się z doliny Fleimser i podnieśli na górnieszą już drogę.

<sup>457</sup> *gulden* — moneta bita w krajach germańskich od XIV wieku, odpowiednik florena. [przypis edytorski]

<sup>458</sup> *letnia* — leciwa, w latach, wiekowa; stara. [przypis edytorski]

<sup>459</sup> *Schimele* (z niem. *schimmel*) — pleśniowy; siwek. [przypis edytorski]

<sup>460</sup> *Juvele* (niem.) — Klejnot. [przypis edytorski]

<sup>461</sup> *nimeśmy*(...) *zrobili* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: nim (...) zrobiliśmy. [przypis edytorski]

<sup>462</sup> *Zieh', Schimele, zie'h!*... *Juvele, na Juvele! zie'h doch, na!*... (niem.) — Ciągnij Schimele, ciągnij... Juvele, chodź, no, ciągnij! [przypis edytorski]

Tu wszakże wózek nasz tak okropnie dał mi się we znaki, że porzuciwszy towarzyszkę moją, pieszo poczęła iść, mając po prawej ręce kapiące bluszczem i kaliną góry, a u stóp na lewo, ogromne jezioro Kaltern, po którym cienie lasów czarnych szły zasypane modrymi iskrami falującej powierzchni jego.

Poza jeziorem rozciągały się sławne winnice tutejsze i bieląło na górze miasteczko, które ciągle zdawało się być bliskim, a było zawsze dalekim.

Oberża Kaltern mieszcząca się, jak zwykle w Tyrolu, na poczcie, była dnia tego niezmiernie ożywioną i gwarną, pierwszy dylizans po długiej przerwie do Bozano szedł, Oberdanka schwytano, w Meranie ktoś się zastrzelił, pełno było wrzawy i uciechy.

Ledwośmy wśród ciżby tej kąt dla siebie znalazły, kiedy trąbka ozwała się raz i drugi, więc jak kto stał, tak się od stołu zrywał, ten do drzwi, ów do okna.

W dylizansie — jak nabił<sup>463</sup>; na stopniach, na koźle<sup>464</sup> wieszali się mniej wymagający pasażerowie, byle dziś jeszcze w Bozano stanąć.

Thusty brygadier, dama w sukni wyciętej z mężem dobrodusznie uśpionym i trzech księży do Innsbrucku jadących, zajmowało miejsce przeciw nas, dając nam z siebie nieocenione widowisko. Gwarna rozmowa szła mieszanym trybem; brygadier rznął po niemiecku, wspaniała brunet z tonsurą po włosku przyszeptywał z boku, a dama przy nim siedząca odcinała się *mezzo Tedesco, e mezzo Lombardo*<sup>465</sup>. Słowem wszystko było w porządku.

Zaraz za miastem droga z takiej wysokości wagę w dół poczęła brać, że trzeba było dylizans hamulcem trzymać, żeby konie za łby nie runęły w przepaść. W powozie powstały krzyki, kobiece zwłaszcza; uważałam jednak, że towarzystwo nie było nierade zamieszaniu temu.

Zaczęliśmy się teraz przedzierać poszarpanym łańcuchem mittelsberskich Alpów, z porfirów swoich sławnych, wypadło nam góry okrążyć, za suchsze podchwytywać przęsła i trzymać się ciągle między ścianą, która runąć chce, a otchłanią, w którą runąć można.

Droga to była męcząca, dla oczu nawet, które tą groźbą natury zasmucone się czuły i błądziły niespokojne po wieżycach zamków i kościołów nad przepaściami wiszących.

A tam, na wschodzie, podnosiły się ostro cięte dolomity Alpów Fassańskich i Adyga obwieszczala się hukiem złowróbnym, dalekim.

Wieczór się zbliżał, kiedyśmy stanęli w Sigmundskron. Po lewej ręce wzburzona rzeka toczyła się, a tuż zrujnowana, zniesiona zupełnie linia kolei żelaznej, najsmutniejszy przedstawiała widok. Wszystko tu spienione, wściekle z pasji jakiejś tajemnej. Połowa mostu wisiała jeszcze u przyczółka swego, druga połowa runęła w wodę z całym nasypem i palami. Nieco dalej sterczały szyny żelazne, w powietrzu nad rzeką wiszące, gdzie indziej woda garnęła belowinę dębową, z posad wyrwaną; słowem spustoszenie zupełne.

Tutaj czekała nas ciężka przeprawa, gdyż na drodze naszej, pomiędzy Sigmundskron a Bozano, stały zatopione sady, przez które trzeba było wiosłem drogi szukać wśród niewidzialnych pniów grusz i jabłoni.

Gromadki kobiet siedziały przed opustoszałą stacją, płacząc i o biedzie swej radząc; wylękle dzieci spały lub na wodę patrzyły beznamiętnie. Mężczyźni hakami wyciągali belki, inni rzucali z łózek sieci rybackie, aby pochwycić pływające jabłka i melony. Były to wody dziwne, ludzkimi łzami i krzywdą biedaków wezbrane. Z żalością też raczej niż z obawą przebyłam je, oczy mając utopione w głębinie mętnej i w smutku.

Nie było czasu wypoczywać w Bozano i zaraz z wieczora przybywszy, zaczęliśmy się krzątać koło jutrzejszej podróży.

Teraz już naprawdę strach brał, bo przed Adygą uciec już nie sposób, tylko się trzeba biegu jej aż ku Brixen kędyś pilnować. Mówiono o całych górach w rzekę strąconych, o zapadających się mostach, po prostu o niemożliwości wydobycia się dalej z Bozano.

Doświadczenie jednak nauczyło już nas, że w takich razach właścicielom hotelu niekoniecznie wierzyć należy, i właśnie chciałam zbiec na dół dla zasięgnięcia pewniejszych jakichś wieści, kiedy na wstępie samym uderzył mnie widok niezwykły. W końcu przyćmionego trochę korytarza, wisiał na ścianie ogromny Chrystus ukrzyżowany na wiel-

<sup>463</sup> jak nabił — tu: gęsto, ciasno. [przypis edytorski]

<sup>464</sup> koźioł — tu: siedzenie dla woźnicy w pojeździe konnym. [przypis edytorski]

<sup>465</sup> *mezzo Tedesco, e mezzo Lombardo* (wł.) — pół po niemiecku, pół po lombardzku. [przypis edytorski]

kim czarnym krzyżu, sięgającym od pułapu, aż do kamiennej podłogi, przed nim paliła się krwawym płomykiem brązowa lampa na łańcuszkach wisząca.

Przyznaję, że byłam zdumioną. Wielu bowiem rzeczy spodziewać się można w hotelu, ale najmniej — ołtarza.

Wczesnym bardzo rankiem, kiedy Bozano ze snu dopiero budzić się zaczyna, myśmy się znów już zbierały do drogi, która też miała pieszą być. Przez miasto tylko, do tunełu odwieźć miano rzeczy nasze, a potem... któż tam wiedzieć mógł, co nastąpi potem. Radziłyśmy właśnie o dalszych losach naszych w sali gościnnej na dole, kiedy podróżny jakiś, chodzący tu i tam, przemówił do nas po polsku.

Było to pierwsze polskie słowo od bardzo dawna z ust obcych słyszane. Kto był ten ziomek mój i jak się zwał, nie wiem, bo nam się poznać nie przyszło; jeżeli przecież kartki te wpadną mu kiedy w ręce, niech wie, że ja miałam wtedy błogą chwilę, słuchając mowy polskiej na dalekiej ziemi.

Jak my, jeniec tyrolskiego zalewu, wędrowiec ten przesiedział w Brixen dni dziesięć, zanim się do Bozano pieszo dostać mógł, a widząc nas, zabierające się do drogi, którą on już zostawił za sobą, odradzał nam gorąco nasz pośpiech i chciał nas koniecznie skłonić do zatrzymania się w Bozano dni kilka, póki by oślisze w górach ścieżki bezpieczniejszymi nie były. Ale nas już coś porywało, coś unosiło dalej, dalej...

To była tęsknota.

Ruszyliśmy tedy niecierpliwie, śmiało oczyma niebezpieczną drogę naszą mierzące.

Drobny deszczyk, który z nocy zaraz mżyć zaczął, wzmógłszy się teraz nieco, obiecywał być przez dzień cały cierpliwym towarzyszem podróży. Ale tyle już było w drodze tej wody, że jedno wiadro mniej albo więcej nie przstraszało nikogo. Jakoż z dobrą fantazją stanęliśmy u wejścia do ogłuchłego tunelu, przez który droga do Brixen szła, my dwie i czterech tragarzy, niosących rzeczy nasze. Zaraz za nami wpadło tam dnia trochę jasnością siną. Dalej — noc była, a wyteżone oko nie dostrzegало jej końca.

Przewodniczący zażęgli pochodnie i szli w czeluść tę czarną przed nami, syjąc iskry czerwone, z trzaskiem w powietrzu gasnące, i otrząsając na ziemię grube bryzgi palącej się smoły.

Cicho było, nikt nie wymówił słowa. Od czasu do czasu przewodnik podnosił pochodnię, a wtedy widać było strop, opelzły wilgotnymi mchami i pleśnią zieloną. Kroki nasze odbijały się glucho w tej pustce, a powietrze ciężkie było od żywicznych dymów.

Wreszcie pochodnie jedna po drugiej przygasać zaczęły i rzucone o ziemię, dopalały się gorejącymi kręgami, a u wyjścia świtał dzień chmurny. Tuśmy usiedli<sup>466</sup>, by odpocząć trochę, po tym, co było, i przed tym, co będzie.

Jeden z tragarzy, Hans Michael, podjął się kufer mój sam na plecach nieść i odprawił do domu pomocnika swego, więc już tak we dwoje tylko razem my się odtąd trzymaliśmy, wyprzedziwszy znacznie towarzystwo nasze.

Deszcz nie ustawał wprawdzie, ale mu znów tak bardzo nikt za złe tego nie miał. Od Lavis jeszcze porzuciłam kapelusz i rękawiczki, lekkie okrycie i chusteczka na głowie czyniły też zbytecznym dźwiganie parasola. A tak mając ręce swobodne, szłam, podpierając się kijem, kupionym w pierwszej spotkanej poza Botzen chacie, i błogosławiąc zacnego szewca z Salurn, który mi po góralsku, choć z gruba, buciki przyrządził. Przede wszystkim trzeba było przekroczyć Adygę i dostać się na jej brzeg lewy. Nie było to łatwym.

Most, przez który dawniej kolej szła, runął teraz jak długi i jednym tylko przęsłem gruntu się jeszcze trzymał, do tego to przęsła przyrzucono sośnic kilka, po których Hans Michael puścił się naprzód, jak wiewiórka leśna, aby mi pokazać, że tu można iść, a potem wrócił, i chwyciwszy mocno za rękę, powiódł mnie po tych pniach potężnych, które gałęzmi zamiatały pianę mętną.

Zaraz za rzeką urywała się droga, bo nasypy kolei zupełnie zniesione były, a powódź tak tu szalała, że na znacznej przestrzeni obdarła Alpy do żywego granitu z ziemi, z traw, z drzewin po stokach rosnących, ze wszystkiego, co dało się unieść, rozbić, zdruzgotać.

Od razu tedy wynieśliśmy się wysoko w góry, przebiegając się przez nie, jak Bóg dał, obchodząc turnie, drąc się przez wąwozy zarosłe. Mnie to nic jeszcze, ale Hans Michael,

<sup>466</sup> *Tuśmy usiedli* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: „tu usiedliśmy”. [przypis edytorski]

przyciśnięty tak znacznym ciężarem, wpół zgięty szedł, potem kipiąc cały. Prosiłam go, aby odpoczął nieco, lecz chłopak uśmiechał się tylko swoją szeroką, czarną, ospowatą twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto świerkową korą obszył, po czym kręcił głową i szedł dalej.

Już tedy nic nie mówiąc, przyzostawać zaczęłam, zbierając sobie goryczki błękitne i paprotki drobne, bom chciała, aby przewodnik mój wypoczął sobie trochę; Hans Michael wszakże szedł ciągle, a ile razy stracił mnie z oczu, wracał się po mnie natychmiast, zestraszony cały, czy mu się nie zbłąkałam kędy. Wszakże ktoś inny jeszcze prowadził mnie gromkim głosem swoim. Był to huk i łoskot Adygi rwącej nagle zwężonym łożyskiem w iskrach i w kataraktach, i w pianach, wyrzucanych aż na czoła gór.

Wściekłość to jakaś była, jakaś żądza wywarcia całej siły swojej, całej mocy podnieconej wewnętrznym parciem strumieni, aby potem omdleć w dolinie Grödener, i przewalać się, jak boa, kiedy zdobycz trawi.

— Co za zniszczenie! — mówiłam do przewodnika mego, patrząc na powaleń leżące winnice małej wioszczyzny, którąśmy spotkali odartą, spustoszoną, nagą, jakby po Tatarach.

Hans Michael podniósł głowę i popatrzył.

— *Wir leben doch*<sup>467</sup> — odrzekł mi po chwili spokojnie, z tą jakąś dumą ludzi wkoźnionych w ziemię swoją, którzy grunt pod nogami czują bądź co bądź.

W wioszczyźnie owej zrobiliśmy sobie mały odpoczynek; ja, siedząc na przewróconej do góry dnem taczce pod szopą jakąś gromadzką, gdzie wozy i narzędzia rolne całej tej ubogiej osady złożonymi były; Hans Michael, popijając kwaśnym winem i rozprostowując ramiona. Po czym raźniej już puściliśmy się w drogę, zawsze tym samym łańcuchem gór Ortles, szukając sobie przejścia na lewym brzegu Adygi, kędy też gromadki robotników włoskich pracowały z wielkim pośpiechem nad naprawą gościńca. Co do kolei żelaznej, na niższym niż gościniec ten poziomie zbudowanej, wszystko tu tak było zniszczone, że Tyrol wprawdzie musiał zebrać siły, nim wody swoje znów okiełzna i drogi w ruch puści.

Jużeśmy z godzinę szli albo i więcej może, kiedy nagle rozległ się w górach śpiew, a w chwilę potem ukazało się kilku podróżnych, którzy z przewodnikiem, niosącym bagażę, zstępowali w wąwóz górski, drogę sobie śpiewem skracając. Była to prosta, ludowa piosenka, którą Hans Michael w lot pochwyciwszy, rozłamał głos swój na echa niktające i na poświsty ciche, i tak z nuty w nutę, oddał się cały śpiewaniu.

Podróżni pozdrowili nas hucznie; od Klausen szli i radzili trzymać się ostro na oślizłych od deszczu ścieżkach. Zrazu prowadziło nas krzemieniste dno jakiegoś parowu, wśród ogromu skał dzikich, królujących w majestacie nieujarzmionej, wolnej jeszcze przyrody. Strumienie tak gęsto tu były, że ciągły szum napełniał powietrze perlowe; stromiaki świerkowina rzuciła się po stokach, wyżej mchy siwe pełzły po kamiennych ścianach, tak wygładzonych nieraz, jakby to były tablice spiżowe, czekające nieśmiertelnego imienia. Ale sława ludzka nie znała tu drogi. Potem grunt zniżał się coraz i stawał bardziej gliniastym, aż wreszcie zeszliliśmy ku Tierserthal, między podmiekkłe winnice, ciągle się przeciecz pilnując podgórza i twardszych posad jego.

Kawał już było z południa, kiedyśmy się do Atzwang dobili, kędy też strumień jakiś wielkiego wicherzyciela i rewolucjonistę udawał, przeskoczywszy aż trzy kładki i stargawszy babom konopie. Hans Michael powiedział mi, że to jest Finsterbach, a mówiąc to, miał w oczach błyski i uśmiech.

Na kamieniach siedząc przydrożnych, doczekaliśmy się wreszcie i reszty gromadki naszej, i tak już razem do miasteczka się dowlekli<sup>468</sup>, gdzie nam w altanie podała obiad świeża jak śnieg górski Julchen, znajoma Hansa mego, któremu też z lekkim okrzykiem zadziwienia przyszła uściśnąć rękę. Hans Michael w milczeniu dłonie jej ujął i w długim uścisku trzymał, a potem powiedział tylko *Mädchen!*<sup>469</sup>... i umilkł.

Zrozumiałam teraz, dlaczego nieśliśmy sami kufer i nie chcieliśmy w drodze odpoczywać, i byliśmy tu wcześniej niż inni. Hans Michael byłby tak może do wieczora stał, nie czując nawet zmęczenia, ale Julchen pierzchnęła nagle, odwołana głosem gospodyni,

<sup>467</sup> *Wir leben doch* (niem.) — Przeżyliśmy. [przypis edytorski]

<sup>468</sup> *do miasteczka się dowlekli* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, dziś: do miasteczka się dowlekliśmy. [przypis edytorski]

<sup>469</sup> *Mädchen!* (niem.) — Dziewczyna! [przypis edytorski]

gdyż przed oberżę, która była i pocztą zarazem, zatoczył się powozik jednokonny z parą żółtych butów ze sztyłpami i dodanym do nich Anglikiem.

Najpierw ukazał się but lewy, potem kawał płóciennego chałata, potem but prawy... ale nie, nie mam czasu przypatrywać się Anglikowi temu! On przyjechał — a więc tam jest droga! W chwilkę potem wszystko już było umówione. Powozik przybywał z Klausen i powracał tam, zabierając nas z sobą.

Wprawdzie był on tak szczupłym, że kufry nasze pomieścić się na nim nie chciały; jeden ciągnął nas i przechylał w tył, drugi nam na kolana spadał. No, ale bądź jak bądź, nie było to przynajmniej piechotą.

Najwięcej wątpliwości przedstawiał woźnica.

Był to czternastoletni Alois Flinks, syn mieszczanina z Klausen, do którego należał i koń, i powozik. Alois Flinks skończył wprawdzie cztery klasy w normalnej szkole miejskiej, ale tak był mały i drobny, że aż strach brał pomyśleć, jak się ten dzieciak na taką drogę waży. Przecież ważył się — i my z nim.

Deszcz ustał trochę, niebo wyjaśniło się na zachód. Przed nami pełne winnic podgórze opadały ku cichej dolinie, rozjaśnionej błogim latem plonów, których Adyga nie śmiała tknąć, bokiem się kędyś wygiąwszy. Na miękkich stokach bielily się wioski utulone w zieleni, jako łabędzie śpiące.

Gniazdo jakieś rycerskie na straży doliny tej stało, wybrawszy sobie na posadę najwyższej góry szczyt. Alois Flinks powiedział nam, że to jest Frostburg, zamek hrabiów Wolkenstein. Kilka ostatnich promieni słońca gasło cicho na skraju tej czarodziejskiej doliny, kiedy naraz góry dźwignęły się groźnie i przystąpiły bliżej, i zsunęły porfirowe ściany, i pokazały nam w nagłym zmierzchu posępne swoje oblicza.

Wnet też i rzeka huczeć poczęła głucho, gwałtownie wyprężwszy się ku nam, i napeniła złowrogim łoskotem cały wąwóz, który zamykał dolinę ową cichą.

Jeszcześmy się nie mogli obaczyć w tej nagłej zmianie, kiedy Alois Flinks obrócił się ku nam w milczeniu, a potem powstał z kozła i z całej siły zaciął konia, który parskał i cofał się, wszystkie cztery kopyta zbierając razem.

Chciałam krzyknąć, ale już było za późno.

Szum, trzask, huk ogłuszył mnie zupełnie, stalowe biczki wody spadły na nas potopem całym, zrobiło się ciemno jak w nocy. Co to było — nie wiem.

Pamiętam tylko, że w chwili, kiedy mi się zdawało, że jakaś przepaść nas pochłania, poczułam nagle świeżą woń malin dzikich w zbylczycim lasku, w jarze rosnących. A kiedy się opamiętałam wreszcie, kilku robotników otaczało powozik nasz wodą zalany, a jeden z nich wstrzymywał za uzdę zastraszonego konia, który zrywał się, parskał i uszami strzygł. Z zapalczywej ich mowy tyle tylko na razie wyrozumieć mogłam, że grożą chłopcu, który też błady był jak płótno i czapki na głowie nie miał.

Spojrzałam.

Za nami z prostopadłej skalnej ściany rzucił się strumień... nie, cała rzeka wody, która szaloną kataraktą przeskakiwała wąską, miejscami powyrywaną drogę i spadała z nierównym pędem wprost w Adygę, prawie na poziomie drogi otwierającą przepaści swoje. Jakaśmy to przebyć mogli, jakim sposobem ten wodospad straszliwy nie zmiotł nas, nie porwał z sobą do rzeki — nie pojmuję. Zuchwalstwo jakieś zbawiło nas albo też ciężkie kufry dodały wagi lekkiemu wózkowi naszemu, a tak przecież fatalaszki kobiece choć raz się na coś przydały.

W ciszy i osłupieniu jakimś przybyliśmy do Klausen i tu, nie wysiadając nawet z powozu, przestali godzinę jakąś na ulicy, podczas gdy Alois Flinks, opowiedziawszy ojcu, że podróżnych dalej jeszcze wiezie, konia swego bułką w czerwonym winie maczaną z ręki pasł. Po czym przy ostatnich dnia blaskach puściliśmy się dalej, ku Brixen drogą, która też roztoczyła się przed nami spokojniej, równiej, pozwalając odetchnąć nam po przebytych wzruszeniach uroczystą ciszą alpejskiej nocy.

## II

*Nocleg w Brixen — Nasz sąsiad — Hausknecht — Komenda burszów — Poranek — Brenner — Kufstein i Salzburg — Na mgle — Wiedeń — Nasza ziemia.*



Nie wiem, co to za szatan złośliwy, płatający figle podróżnym, rezyduje w hotelu Zum goldenen Kreuz<sup>470</sup> w Brixen — choć właściwie nie powinno być dla niego miejsca w świątobliwym książecko-biskupim grodzie, ale to wiem, że dał się on nam porządnie we znaki.

Przede wszystkim jedno tylko łóżko było w pokoju, do którego wprowadzono nas przez cały labirynt sieni, schodów i korytarzy; jakeśmy tedy zaczęły wzajem ustępować go sobie, skończyło się na tym, że łóżko stało próżne<sup>471</sup>, podczas gdy my drzemałyśmy w dwóch rogach nieludzko twardej sofki.

Następnie sąsiad nasz chodził po pokoju tak zdesperowanym krokiem, że lada chwila oczekiwałam jakiejś katastrofy za drzwiami, a w dodatku, powzięłyśmy wiadomość o tyle miłą, o ile niedogodną, że kolej do Vörgl o drugiej w nocy odchodzi. Do Vörgl mówię, w ciągłej tej bowiem niepewności nauczyłam się brać w rachubę tylko najbliższą stację.

Być przemoczoną do nitki, znużoną do ostatka, mieć łóżko i nie móc położyć się na nim, a przy tym słyszeć ciągle przeraźliwe skrzypienie śmiertelnych butów przyszłego samobójcy — było to chyba więcej przykrości, niż ich naraz na dwie osoby potrzeba.

Niesprawiedliwą byłabym jednakże utrzymując, że w Brixen z niczym dobrym spotkać się nie można. Owszem, z dawnych czasów książecko-duchownej świetności swojej zachowało to dobre miasto tradycję wykwintnej kuchni, a potem samobójca nasz spod nr 2 wpadł na ostatni szczęśliwy pomysł napalenia w piecu, ogrzewającym także i nasz pokój.

Prawdopodobnie napalić w nim musiał pamiątkami młodości, gdyż miłe ciepło rozszło się błogo — i sama nie wiem, jak pod wpływem jego zasnąłam.

Nagle zbudził mnie wystrzał.

Skoczyłam na równe nogi, serce mi biło jak młotem. Zza drzwi dolatywało chrapanie, które naturalnie czym innym być nie mogło, jak tylko chrapaniem konającego. W najwyższym przerażeniu rzuciłam się do okna, nie wiedząc sama, co robię, gdy wtem drugi wystrzał tuż za nim padł. Oprzytomniałam jakoś. Przed bramą stał wielki omnibus<sup>472</sup> do dworca kolei z hotelu Zum Stern idący, a Landsman, który nim powoził, zabierał się właśnie do trzaśnięcia z bicza po raz trzeci. Potężna klątwa zwiastowała w tej chwili przebudzenie się sąsiada naszego, który do piekła posyłał noc taką, miasto i hotel, gdzie się porządny człowiek nawet wyspać nie może za własne pieniądze.

Nie, to nie był samobójca.

Naturalnie, że cofnęłam mu natychmiast wszystkie dawniej powzięte sympatie, a nawawszy go Hofrathem, przestałam się troszczyć o niego.

Z wieczora jeszcze zamówiłyśmy sobie miejsca w omnibusie Sterna, dowiedziawszy się, że Pod złotym krzyżem powozu nie ma, a do banhofu<sup>473</sup> dobra wiorsta<sup>474</sup> drogi. Kiedy jednak i trzeci wystrzał z bicza okazał się nadaremny, grubych obyczajów Landsman ten, który nic o rycerskich względach damom należnych nie słyszał, cmoknął na konia raz i drugi, a omnibus potoczył się dalej spokojnie, zostawiając nas własnemu przemysłowi<sup>475</sup>.

Zbudziłam panią T., zaczęłam dzwonić i ubierać się na gwałt w ciemności, gdyż cienkie hotelowe świece dopaliły się i zgasły, podczas kiedyśmy spały. Na dzwonek nasz echo tylko odpowiedziało w pustym korytarzu. Widząc tedy, że nikt nie przybywa, zeszyliśmy poomacku ze schodów i szczęśliwie dobiły się do bramy. Ta jednak okazała się zamkniętą na głucho. Stukam kławką, ręką, kijem — przeciągłe tylko jęki odpowiadają mi w ciemności.

Zapalam zapałkę, spostrzegam bardzo wiele beczek, których nie zauważyłam wczoraj, a w głębi — drzwi drugie. Biegnę do nich, wyteżam wszystkie siły, wołam: głuche westchnienie odpowiada mi tylko złowieszczo.

Wracam się, idę na górę raz jeszcze, ale już nie mogę trafić do korytarza, z którego było wejście do pokoju naszego; w niepewności gdzie tu służby szukać, obawiam się zapukać gdziekolwiek, aby nie zbudzić kogo z nocujących gości; co gorsza, wcale teraz

<sup>470</sup>Zum goldenen Kreuz (niem.) — nazwa hotelu, dosł. „Pod złotym krzyżem”. [przypis edytorski]

<sup>471</sup>próżny — tu: pusty. [przypis edytorski]

<sup>472</sup>omnibus (daw.) — duży, kryty pojazd konny, używany dawniej jako środek komunikacji. [przypis edytorski]

<sup>473</sup>banhof (daw.) — dworzec. [przypis edytorski]

<sup>474</sup>wiorsta — dawna rosyjska miara długości. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>przemysł (daw.) — pomysłowość, spryt. [przypis edytorski]

nie mogę znaleźć drzwi naszych, i przy ostatniej zapałce widzę, że przed każdymi stoją świeżo wyczyszczone buty. Rozpacz mnie jakaś ogarnia, myślę, że zmyliłam się o piętro, idę wyżej jeszcze i trafiam na strych, gdzie w sieni na tapczanie chrapie Hausknecht<sup>476</sup> niecnota. Budzę go, wstrząsam, na nogi niemal stawiam, ocknął się przecie, ale dobra chwila upłynęła jeszcze, zanim zrozumiał, czego chcę od niego. Zrazu, w głowę się tylko drapał i zapewniał mnie, że za tydzień odda z pewnością. Potem zaprzysiął się na duszę swoją, że wczoraj tylko kwartę piwa wypił.

— *Nur einen Bock! Auf meine Seele*<sup>477</sup> — powtarzał gamoń obrzydły, bijąc się pięścią w piersi, podczas gdy tam kolej ruszała może.

Wreszcie rozjaśniło mu się jakoś w jego ciężkiej szwabskiej głowie; zapalił tedy latarkę i poszedł za mną, mrużąc przez zęby.

— *Was Teufel wollen doch die Damen da?*<sup>478</sup>

Tutaj dopiero, mając go już na dole, zaczęłyśmy z największą irytacją powstawać<sup>479</sup> na taki niesłychany nieład w hotelu, gdzie przy drzwiach nie ma portiera, gdzie wszystko pozamykane, gdzie się jak z więzienia wydobyć nie można.

— A tu kolej nie czeka — dodaje pani T. — Proszę natychmiast otwierać!

— *Na, sehen Sie*<sup>480</sup> — odrzekł Hausknecht z stoicką obojętnością, otwierając gębę, jak szeroką miał — *das ist ja aber unser Kubstall...*<sup>481</sup>

Tu okazało się, że zmyliwszy schody, zaszłyśmy na gospodarskie podwórko i dobijały się do obory, skąd nam odpowiadały głębokie westchnienia objedzonych jałowic tyrolskich.

Nie było nawet czasu rozśmiać się z tej przygody, zawołałam tedy na knechta, żeby się odział i poniósł za nami drobiazgi nasze podrózne, ale ten machnął obojętnie ręką i otworzywszy bramę, poszedł przed nami, jak stał, w bardzo silnym negliżu, mrużąc sobie pod nosem:

— *Wenn die Damen so etwas in Eile nehmen...*<sup>482</sup>

Bez tchu prawie dobiegłyśmy do dworca kolei, a tu już komenda jakaś ostra na peronie szła. Myślałam, że jest obyczajem w Brixen posługiwać się nią zamiast dzwonka, ale podszedłszy bliżej, przekonałam się, że byli to dwaj *lustige Bursche*<sup>483</sup>, z których jeden bębnił kijem po tłumoczku, wołając:

— *Trettner, trettner, kil-lo-lo-mettner.*

A drugi odpowiadał mu basem:

— *Wer hat ein Zweck, der nimm' sein Weg!*<sup>484</sup>

Jakoż czas na to był najwyższy; kasjer zamykał już okienko, trzeci dzwonek słyszeć się dawał. Chwyciwszy tedy bilety, rzuciłyśmy się do wagonu, zabite przez pół, oszołomione, to tylko wiedząc, że nareszcie naprawdę jedziemy.

Nad Franzensfeste mrok nocy jeszcze stał, w puklerzu z czarnych chmur i w hełmie stalowym. I nad Grosstein i Freienfeld stał tak jeszcze, olbrzymi cień swój rzucając na ruiny Thumburg i na Eisack drżący.

Potem dopiero zaczęły mu z hełmu tego mgliste pióra wiać i w kolorach zorzeć, a pancerz jego rozjaśniał się stopniowo i widać było, że w rubiny sadzon jest. A zaraz też i rusalki te, co na skałach pod Gossensass siedziały, zaczęły włosy czesać w obrzasku<sup>485</sup> dziennym i perły z nich suć<sup>486</sup> w wodospady, które się cicho z gór siały w powietrzu chłodnym.

A tu już biegly tunele owe sławne, co z ciemności w ciemność cię pędzą, i spadki gwałtowne, i nagle pędy w górę, które nas wyrzucały coraz wyżej, przez Sterzing, Pflersch, Schelleberg, aż na Brenner, po którym chmury chodzą i tęcze się kładą po burzy.

<sup>476</sup>*Hausknecht* (niem.) — stróż domowy, służący w oberży. [przypis edytorski]

<sup>477</sup>*Nur einen Bock! Auf meine Seele* (niem.) — Tylko złotówka! Na moją duszę! [przypis edytorski]

<sup>478</sup>*Was Teufel wollen doch die Damen da?*... (niem.) — Czego Panie chcą do diabła! [przypis edytorski]

<sup>479</sup>*powstawać* — tu: oburzać się. [przypis edytorski]

<sup>480</sup>*na, sehen Sie* (niem.) — zobaczmy. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>*das ist ja aber unser Kubstall...* (niem.) — to nasza obora. [przypis edytorski]

<sup>482</sup>*Wenn die Damen so etwas in Eile nehmen...* (niem.) — Skoro się Paniom tak spieszy. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>*lustige Bursche* (niem.) — młodzi żartownisie. [przypis edytorski]

<sup>484</sup>*Wer hat ein Zweck, der nimm' sein Weg!*... (niem.) — Kto ma cel, ten rusza w drogę. [przypis edytorski]

<sup>485</sup>*obrząsk* — początek brzasku. [przypis edytorski]

<sup>486</sup>*suć* (daw.) — obsypywać. [przypis edytorski]

Człowiek poszedł tam między nie i na kark góry jarzmo z żelaza wtłoczył, i dzieło to swoje nazwał Brennerjoch. Wieczny tu chłód i mgła, i zachmurzenie góry w jeństwo wziętej, która też działem wód dla Tyrolu jest i rozsyła jedne na południe do Adriatyku, a drugie do Morza Czarnego na północ. Sill, Adyga, Eisak, Inn płaczą się pod nim jako nitki srebrne; szumy ich u podnóża przepadły kędys<sup>487</sup>.

Brenner, to był najwyższy i ostatni punkt, z którego swobodnie dano mi było patrzeć na świat w złocie i purpurze stojący. Spadliśmy potem przez Gries, Steinach i Mattrei do Innsbrucku, skąd się już zaczęła ta zwykła, porządna, mieszczańska podróż, w czasie której sąsiad z lewej o pogodzie mówi, a sąsiadka z prawej zimną swoją i znudzoną twarzą zabija w tobie wszelką władzę wzruszeń. Szczęśliwyś, jeśli miejsce przy oknie masz, a odwróciwszy głowę, możesz myśli własne prząść i puszczać je, jak czółenko nawinięte nitką złotą, po olbrzymim postawie<sup>488</sup> przyrody.

Cóż powiem więcej?

Widziałam Kufstein na pikiecie, jak żołnierz stojący, widziałam Salzburg, zbrojny w średniowieczną kolczugę swych murów, wznoszący wieżę katedry swojej — jak kopię ku niebu, ale jakoż podziwiać je miałam, kiedy tam, dalej podnosiły się przede mną budowania Boże, którym piorun cieśla był, a rysownikiem błyskawica sina. Odjęta jest teraz ręka ich, ale po ognistych rysach gmachu znasz, jakiego cechu pracownicy byli.

Turnie na turniach stoją i w przepaście patrzą, jakoby tu mocarz jakiś wielki przed wiekami twierdzą miał, żeby duchy na łańcuch brać i życie tłumić. Aż kiedy zobaczył, że ze szczeliny skalnej puścił się kwiat dziki i że przylatują tam ptaki powietrzne, aby śpiewały swobody pieśń, porzucił z hukiem wielkim i z przekleństwem warownie swoje i zaszedł w noc i w cień.

A teraz tylko olbrzymim mrokiem po wąwozach górskich się włóczy i tumanem wód lejących w oczy bije, i słońce by zdmuchnąć rad — jeno<sup>489</sup>, że mu wysoko.

Około południa jakoś rozwlokły się chmurzyska dżdżyste, dalekie horyzonty zataryły się bez śladu, a góry we mgłach stojące były jak te pomysły z gliny lepione, na które rzeźbiarz mokrą płachtą zarzuca, odchodząc. Gdy wróci — nieśmiertelna piękność z nich wyblśnie, lecz teraz głuche są i martwe. Miasta i wioski, ponad którymi przelatywaaliśmy z pośpiechem, wyglądały jak ślepce przy drodze siedzące albo jak kominy, co dymią na slotę.

Z poręby oczadziałej torfowymi pary słyhać było stuk siekier niewidzialnych drwalów i zgrzyty mglistych pił, chwytających zębem potężne sosny tyrolskie.

Wyżej, na wąskim burcie, siedział chłopak płachtą okryty i świstał jak trznadel; przy nim dwa białe pasące się wółce<sup>490</sup> puszczały ciepłe tchy z wilgotnych nozdrzy. Pod zachód dopiero rozbłysło trochę powietrza, a lekkie przygaje<sup>491</sup>, jak arabski rzucone po łagodnych stokach nad Nordsee i Prien, mieniły się w słońcu jesiennym — od srebrzystej zieloności i różu, aż do złota i ciemnej czerwieni.

Z daleka widać było zaśnieżone rajhenhalskie czuby, a niżej Rosenheim stał w ciszy dolin swoich i chat podleśnych, i przejrzystych stawów. Pod nami, het, na dole, ciągnęła się droga wiejska wzdłuż pól kukurydzowych i podorów<sup>492</sup> jesiennych idąca.

A drogą szedł góral smagły z przerzuconym przez ramię workiem i prowadził kozę z koźlciem, śpiewając wesołego jodlera.

Nim jasność przeblysła, widziałam w blaskach zachodnich świecącą klamrę jego kapelusza, trzy rzędy guzików jego spencera i fajkę nabitą ćwieczkami. Z boku na lewo tłukły się dymy sine, a u ogniska, iż dzień był chłodny, grzało się kilkoro chłopiąt i pokur<sup>493</sup> owczarski.

I nagle przypomniała mi się wioska nasza i dział pod Grodziskiem, i żuraw, co tam rankiem na mokradła spadał, cały w zorzach i w rosach, i pies od Pietrycha, i konie spętane Bugaja, i Antek Maryśki w zgrzebnej koszulinie — i droga za Zimną Górę...

Wspomnienia, Tęsknota,  
Polska

<sup>487</sup>kędys (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>488</sup>postaw (daw.) — zwój sukna. [przypis edytorski]

<sup>489</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>490</sup>wółce (daw.) — młode woły. [przypis edytorski]

<sup>491</sup>przygaje (daw.) — skupisko drzew w pobliżu gaju. [przypis edytorski]

<sup>492</sup>podor (daw.) — zeorana ziemia. [przypis edytorski]

<sup>493</sup>pokurć a. pokurcz — gatunek psa, mieszaniec charta i brytana. [przypis edytorski]

Hej, hej! Czemu ja tutaj?... Czemu tam wszystko?

Nocą już prawie wysrebrzył się ku nam Dunaj siny i Wiedeń stanął przed nami w mnogości światła swego południowego dworca. Ale mnie tam inne błyski od Kahlenberga przez duszę szły — błyski szabel polskich. Pięć dni przypatrywałam się Wiedniowi.

Były to godziny zadumy spędzone w wielkiej jego gotyckiej katedrze i godziny włości po Ringach<sup>494</sup>, przedmieściach, ogrodach, teatrach, po czym rozstałam się pewnego wieczora z miłą towarzyszką moją, gdyż droga jej szła na zachód, a moja — na północ.

Przebywając wśród cichej nocy jesiennej znaną mi już od Linzu krainę, zauważyłam, że na każdej stacji słychać było jakąś bałamutną muzykę, ni to smętną, ni to wesołą, coś niby dumki, i niby hołubce, i śmiech — i płacz razem.

Nasłuchawszy się tego laskotliwego grania, zasnęłam.

Naraz, za Przyrowem już jakoś, zbudził mnie lament głośny.

Dzień jasny już był, na drodze stało kilka kobiet wiejskich.

Zaledwie się pociąg zatrzymał, kiedy głowy ogolone poczęły się wychylać z wagonu. A tak poznałam, że wieźli rekruta. Jeden z nich płakał. W tej chwili jakaś kobieta załamała ręce, krzycząc głośno:

— O mój Jezusieńku, mój Jezusieńku! Oj, mój Antek, oj, moje dziecko rodzone!  
Przez Boga żywego! To już nasza ziemia!

---

<sup>494</sup>Ringstraße — okazały bulwar w centrum Wiednia, powstały w latach 1860–1890; jedna z najbardziej reprezentacyjnych ulic miasta. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisałeś w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/konopnicka-wrazenia-z-podrozy>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, *Wrażenia z podróży*. Cztery nowele, wyd. Czytelnik, Warszawa 1974.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Ilona Kalamon, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6874-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).